PASZKWILEM W BISKUPA
JAK PRÓBUJĄ ZNISZCZYĆ ABP. MARKA JĘDRASZEWSKIEGO
WŁOCHY NA NOWYM KURSIE
CO ŁĄCZY MELONI Z KACZYŃSKIM?
NA HORYZONCIE ARMAGEDON
CZY ROSJA UDERZY ATOMEM?
PROF. RYSZARD LEGUTKO
OD BREŻNIEWA DO VON DER LEYEN. NOWA DOKTRYNA ZNIEWOLENIA NARODÓW
SIECI
SIECI
NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 40 (514) 2022
3–9 października 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)
RADOSŁAW SIKORSKI
KIM JEST?
KOMU NAPRAWDĘ SŁUŻY?
UJAWNIAMY, DLACZEGO TAK KONSEKWENTNIE DZIAŁA NA KORZYŚĆ ROSJI.
A MOŻE NA ZAMÓWIENIE ROSJI?
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
40
9 772544 269205

Kup e-prenumeratę SIECI teraz 50% taniej

e-book w prezencie

12 pasjonujących lekcji historii, dzięki którym poznacie m.in.:

- niesamowitą Polkę, najwybitniejszego szpiega i asa wywiadu
- żołnierza Piłsudskiego, który dostał Oskara
- Fina – postrach czerwonoarmistów
- napad na pociąg, w którym udział wzięli czterej przyszli premierzy II RP
- trwającą 16 lat wojnę, którą Polska wypowiedziała Japonii

aż 121 stron

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

eprasa.pl 5e28128ada

Polityczne wyroki, blokady, presje

Jakże to żenująco przewidywalne. Zwycięska Giorgia Meloni też została skrajną prawicą, znów nam grozi faszyzm, a większość demokratyczna okazała się radykalna, nieodpowiedzialna, z niewiadomych powodów niezadowolona z rządów sorosowej kamaryli. Rusza zakłamana machina medialnej nagonki, która mieli od lat środowiska premiera Jarosława Kaczyńskiego, Viktora Orbána, Janeza Janšy, Donalda Trumpa i wielu innych liderów.

Michnikowa gazeta leje już wiadra nienawiści, a sorosowa twierdzi: „Unia, która na pandemię i wojnę w Ukrainie zareagowała, idąc w kierunku większej integracji, teraz znów zdaje się wracać na nacjonalistyczną ścieżkę".

Jakże nieświadomi byli nasi przodkowie przez 1000 lat. Troskę o własną państwowość uważali za cnotę, a była to, jak się dowiadujemy, nacjonalistyczna ścieżka. Zapomnieli, że za to właśnie skazywano filomatów i filaretów, za szerzenie nierozsądnego nacjonalizmu polskiego.

Znikczemnienie narodowe zasmuca i budzi niepokój, ale musimy jasno umieć nazwać cel wszystkich środowisk patriotycznych w Europie. Tych, dla których polskość, węgierskość, włoskość, słoweńskość, chorwackość, hiszpańskość itp. nie jest obciążeniem, ale cennym skarbem, który trzeba ochronić i przekazać dalej.

Tym celem jest obalenie doktryny pani von der Leyen, która przy okazji włoskich wyborów została wyrażona jednoznacznie, brutalnie, w sposób niepozostawiający wątpliwości. I która bardzo przypomina doktrynę Breżniewa, sformułowaną we wrześniu 1968 r. w artykule redakcyjnym komunistycznej „Prawdy" po rozjechaniu czołgami ZSRS i państw Układu Warszawskiego Praskiej Wiosny. Stwierdzono wtedy, że ZSRS ma prawo do interwencji zbrojnej, jeśli uzna, że zostały naruszone podstawy ustroju socjalistycznego w którymś z krajów bloku komunistycznego.

Breżniew rozwinął tę tezę na V zjeździe PZPR w listopadzie 1968 r.: „Wspólnota socjalistyczna jako całość ma prawo do interwencji na terytorium każdego państwa członkowskiego bloku socjalistycznego w sytuacji, gdy wewnętrzne lub zewnętrzne siły, wrogie wobec socjalizmu, usiłują zakłócić rozwój tego kraju i przywrócić ustrój kapitalistyczny".

Najważniejszym jej skutkiem było otwarte podważenie nawet tych wątłych zasad i reguł, które dawały w systemach komunistycznych konstytucje, umowy międzynarodowe. Nad tym wszystkim stał superrząd, nadrząd moskiewski.

Dziś Ursula von der Leyen, choć w zupełnie innych warunkach, ogłasza zasadę w swojej istocie podobną. Wszystkie zasady i reguły, traktaty i konstytucje, plany odbudowy i procedury ich akceptacji, standardy antykorupcyjne, wybory demokratyczne i wola narodów są względne i obowiązują dopóty, dopóki brukselski superrząd, europejski nadrząd nie uzna tego za zagrożenie.

Tak jak za Moskwy, tak i teraz nie ma to żadnego oparcia prawnego – ma decydować naga siła. Przenoszona nie za pomocą czołgów (na razie), ale szantaży finansowych, dźwigni politycznych, sankcji. Narzędzia, o których pani von der Leyen wspomina, to polityczne wyroki, blokady, presje.

Przeczytajmy raz jeszcze: „Zobaczymy wynik głosowania we Włoszech. Były też wybory w Szwecji. Jeżeli sprawy pójdą w trudnym kierunku, mamy narzędzia jak w przypadku Polski i Węgier". Wszystko jasne: żadna tam praworządność, żadna troska o demokrację. Zły wynik wyborów, rządy suwerenne i troszczące się o państwo, a nie podległe i uległe – tylko o to chodzi.

Niemiecka potęga, minimalnie tylko zasłonięta unijnymi dekoracjami, ustami niemieckiej polityk przynosi nam współczesną odsłonę doktryny Breżniewa.

Obalenie zniewalającej narody doktryny von der Leyen jest dziś podstawowym zadaniem europejskich patriotów. Nie można pozwolić, by piękna idea współpracy europejskiej, wolnego handlu, swobodnego przepływu towarów i usług zmieniła się w nową niewolę, gdzie regulowane i narzucane jest wszystko, od spraw obyczajowych, religijnych, rodzinnych, przez jedzenie i edukację, po (nie)ochronę granic.

Objawił się w pełni groźny, z nikim niekonsultowany, narzucany siłą plan budowy niemieckiego superpaństwa europejskiego, którego głównym celem będzie jeszcze szybszy rozwój Niemiec, jeszcze większe ich panowanie i zredukowanie możliwości rozwojowych gospodarek i państw ościennych.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 5e28128ada

SIECI

spis treści

30 *Z niechęci do rodziny* *Dorota Łosiewicz*

44 *Moskal pędzony na wojnę* *Konrad Kołodziejski*

61 Anka to był uśmiech *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE** Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **TUSK VS. TUSK** Krzysztof Feusette
9 **DOŚĆ ŁUPIENIA POLAKÓW!** Dorota Łosiewicz
10 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Konrad Kołodziejski
12 **KREMLOWSKA SOLDATESKA I BRUKSELSKIE MARIONETKI** Jan Pietrzak
12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU** Dominik Zdort
13 **BUNT NARODÓW CD.** Bronisław Wildstein
14 **WALIZKA MAGDALENY KRZEMIEŃ** Michał Korsun
16 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki
17 **WŁOSKIE REMINISCENCJE** Marta Kaczyńska-Zielińska
18 **ROZLICZANIE PRZESZŁOŚCI TO NIE JEST PRZYJEMNY PROCES** Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **KIM PAN JEST, PANIE SIKORSKI?** Stanisław Janecki
23 **DZIĘKUJEMY CI, RADKU!** Prof. Andrzej Nowak
24 **Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM** rozmawia Mateusz Majewski

KRAJ

26 **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ** rozmawia Marek Pyza
30 **Z NIECHĘCI DO RODZINY** Dorota Łosiewicz
33 **PASZKWILEM W ARCYBISKUPA** Marzena Nykiel
36 **POLSKA SIĘ ZMIENIA. CO CIESZY, CO SMUCI** Maciej Walaszczyk

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

39 **NA HORYZONCIE ARMAGEDON** Marek Budzisz
42 **PRZYCZYNY ZWYCIĘSTW WIDZIANE Z FRONTU** Jakub Augustyn Maciejewski
44 **MOSKAL PĘDZONY NA WOJNĘ** Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

47 **PŁONĄCE CHUSTY** Aleksandra Rybińska
50 **TRUDNY BALANS GIORGII MELONI** Jan Rokita

HISTORIA

54 **MASZYNA DO PISANIA BYŁA JEJ BRONIĄ** Lidia Dudkiewicz

OPINIE

58 **POLSKI PROBLEM Z WĘGRAMI** Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

61 **ANKA TO BYŁ UŚMIECH** Jolanta Gajda-Zadworna
64 **ŁUKASZOWCY WRÓCILI DO DOMU** Wojciech Lada
68 **PARSZYWE CZASY** Robert Tekieli
69 **WOJNA CYWILIZACJI** Robert Tekieli
70 **FALSTART. „ORLĘTA. GRODNO '39"** Wojciech Stanisławski
72 **POLECA** Łukasz Adamski

GOSPODARKA

74 **BALTIC PIPE: KONIEC ERY ROSYJSKIEGO GAZU** Agnieszka Łakoma

SPORT

78 **Z KAMILEM BORTNICZUKIEM** rozmawia Marcin Wikło

PODRÓŻE

82 **MOJE SZLAKI: MIJIN MOK** Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **POLSKIE WROTA NA BAŁTYK** Wojciech Reszczyński
85 **ZŁUPIĆ KIEROWCÓW** Aleksander Nalaskowski
86 **WALKA Z RELIGIĄ W SZKOLE. TO JUŻ BYŁO!** Jan Pospieszalski
87 **NA RATUNEK SŁOŃCE PERU** Jerzy Jachowicz
87 **ATUTY PÓŹNEGO DEBIUTU** Adam Ciesielski
88 **SZOK PO SZOKU** Ryszard Makowski
89 **TAMTEN KIELISZEK, TO WINO...** Leszek Długosz
90 **„46 SEKUND"** Andrzej Zybertowicz

Reklama | 17/0922/F

eprasa.pl 5e28128ada

eprasa.pl 5e28128ada

Sygnalista nadaje

„Thank you, USA", czyli „Dziękuję ci, Ameryko". Tak ***Radosław Sikorski*** zareagował na wieść, że ktoś wysadził gazociąg Nord Stream na dnie Bałtyku. Kreml nie zmarnował szansy i natychmiast wykorzystał tę skrajnie nieodpowiedzialną wypowiedź w swojej propagandzie. Skoro były szef polskiego MSZ przekonuje, że to Waszyngton wysadza rury, to – słyszymy – musi to być prawda. Na falę krytyki Sikorski odpowiedział tak: „Teraz 20 mld dol. złomu leży na dnie morza, co oznacza dla Rosji kolejny koszt jej zbrodniczej decyzji o inwazji na Ukrainę. Pozycja Ukrainy i Polski się wzmocniła. Może jeszcze Turcji. Dlaczego naszej psychoprawicy to przeszkadza?". Prawicy to nie przeszkadza. Prawica wie, że słowa mają znaczenie. Są w Polsce „dyplomatołki", ale nie tam, gdzie je widział Bartoszewski.

Sikorski tak jak Tusk próbuje też zmienić przeszłość. „Jedyną logiką Nord Stream było to, by Putin mógł bezkarnie szantażować lub prowadzić wojnę z Europą Wschodnią. [...] Cieszy mnie, że Nord Stream, który zwalczały wszystkie polskie rządy od 20 lat, jest w 3/4 sparaliżowany. To dobre dla Polski". A jeszcze w 2015 r. mówił: „Sprzeciw rządu PiS wobec Nord Stream był błędem. Błędem było niedołączenie się do projektu, gdy jasne się stało, że nie potrafimy go zatrzymać. Mogliśmy uzyskać miejsce w zarządzie i przebieg rurociągu po naszym terytorium. Ale urzędnika, który o tym napomknął, brutalnie usunięto". Gdzie bylibyśmy dziś, gdybyśmy klepnęli tę propozycję za jakiś paciorek?

Marek Sawicki, poseł PSL, w rozmowie z portalem wPolityce.pl skomentował sprawę następująco: „Albo było to po dużej lampce whisky, albo to głupota i Sikorski zwyczajnie się odrealnił, odkleił. Wiedząc, jakie są relacje między Polską a USA, puszczenie tego wpisu jest zwyczajną głupotą i tyle". I dalej: „Dyplomaci i ministrowie spraw zagranicznych powinni być szkoleni w kwestiach zażywania trunków i prowadzenia debat i w sposób szczególny w tych sprawach wyczuleni". Ale w tym jest i coś więcej: brutalność, z jaką Sikorski eksploatował prawdziwe bądź urojone wpadki politycznych konkurentów, wróciła teraz do niego w pełnej krasie.

Niemiecki Związek Seniorów CDU przyznał Lechowi Wałęsie złoty medal „Za Zasługi dla Pojednania i Porozumienia Między Narodami". W swoim przemówieniu były prezydent wezwał Niemcy do przejęcia przywództwa w ratowaniu Europy. Według Wałęsy Niemcy powinni zjednoczyć mądre umysły w Europie. Jak wskazał, wynik wyborów we Włoszech miał też związek z brakiem przywództwa Niemiec w Europie. Wałęsa zaczyna parodiować samego siebie i robi to w sposób naprawdę zabawny.

Długo czekaliśmy na dobre wieści, ale w końcu się doczekaliśmy. Wybory we Włoszech wygrała prawica. Co więcej, Bracia Włosi Giorgii Meloni, sprzymierzeni z PiS w Parlamencie Europejskim, znokautowali Ligę Matteo Salviniego i Forza Italia Silvio Berlusconiego, czyli dwie partie, które miały i mają prorosyjskie sympatie. Węgrzy z Fideszu stawiali mocno na Salviniego, a Polacy z PiS chuchali i dmuchali na Braci Włochów. Ten korespondencyjny pojedynek wygrała Warszawa 3 : 1 (Bracia Włosi 26 proc., Liga – ok. 8–9 proc.). Ale najważniejsze, że do suwerennościowej zmiany doszło w dużym i ważnym państwie Unii. Jest szansa na chwilę oddechu, być może na poluzowanie smyczy, którą bez pytania, za pomocą oszustwa, założono państwom członkowskim.

W kampanii Meloni mówiła jasno: „Nie ma kompromisów. Albo jesteś na tak, albo jesteś na nie. Tak dla naturalnej rodziny – nie dla lobby LGBT+! Tak dla tożsamości płciowej – nie dla ideologii gender! Tak dla kultury życia – nie dla czeluści śmierci! Tak dla krzyża – nie dla przemocy islamu! Tak dla bezpiecznych

eprasa.pl 5e28128ada

granic – nie dla masowej imigracji! Tak dla zatrudnienia dla naszych obywateli – nie dla dużych międzynarodowych finansjer! Tak dla suwerenności ludu – nie dla biurokratów w Brukseli! I tak dla naszej cywilizacji, i nie dla tych, którzy chcą ją zniszczyć! [...] Niech żyje Europa patriotów!". W roli premiera z pewnością złagodzi retorykę, ale ważne, że rozumie, o co chodzi w wojnie o ocalenie naszej cywilizacji.

Będzie miała pewnie łatwiej niż PiS, bo włoska opozycja chyba nie ma w sobie genu zdrady. Matteo Renzi, były premier Włoch i lider Partii Demokratycznej, w rozmowie z lewicową stacją CNN pokazał, jak wygląda lojalność wobec państwa: „Osobiście, szczerze mówiąc, byłem przeciwko Georgii Meloni. Nie jestem jej najlepszym przyjacielem, razem rośliśmy w polityce, ale jesteśmy i będziemy rywalami. Zawsze. Ale myślę, że to nie jest zagrożenie dla włoskiej demokracji. Jest moim rywalem, ja jestem jej rywalem, będziemy nadal z sobą walczyli. Ale idea, że teraz jest ryzyko faszyzmu we Włoszech, jest całkowitym fake newsem. Wygrała wybory. Populizm wygrywał we Włoszech wielokrotnie". To jest tło, na którym nasza opozycja prezentuje się więcej niż nędznie.

W mediach polskiej opozycji żałoba i agresja. „Meloni jest zatrważająco szczwana. I na dodatek potrafi to swoje cwaniactwo sprzedać w sposób znakomity. Ma coś, czego Marine Le Pen nie ma w aż takim stopniu rozwiniętego: Meloni nie mówi, krzyczy. Części publiczności krzyczący lider jest najwyraźniej potrzebny. I stąd włoski sukces" – mówił w TVN24 red. Jacek Pałasiński. Prowadzący Andrzej Morozowski stwierdził: „Mieliśmy takiego lidera, który krzyczał – nazywał się Hitler i świetnie sobie radził". „Mussolini chyba też krzyczał" – dodał Jędrzej Bielecki z „Rzeczpospolitej". „Ale Mussolini robił długie przerwy i się nadymał" – wtrącił Pałasiński. Włoski pisarz, działacz socjalistyczny i były komunista Ignazio Silone miał rację, gdy mówił: „Nowy faszyzm nie powie: »Jestem faszyzmem«. On powie, że jest antyfaszyzmem".

Lider niemieckich CDU Friedrich Merz w wywiadzie dla telewizji Bild: „Obecnie mamy do czynienia z turystyką socjalną uchodźców: do Niemiec, z powrotem na Ukrainę, do Niemiec, z powrotem na Ukrainę". Dodał, że „mamy problem, który narasta". Zdaniem szefa CDU tłem tego zjawiska jest fakt, że początkowo ukraińscy uchodźcy mieli prawo do świadczeń na podstawie ustawy o świadczeniach dla osób ubiegających się o azyl, a od czerwca otrzymują świadczenia podstawowe. Niemcy najpierw martwili się, że Rosja nie wygrała w ciągu paru dni, potem pozorowali pomoc militarną, blokowali pomoc finansową, a teraz nie umieją przejść do porządku dziennego nad jakimiś drobnymi nadużyciami. Oni są jednak ulepieni z innej gliny.

Krzysztof Bosak z Konfederacji też sprawdza, czy tę kwestię da się podpalić. Przekonuje, że Polska pomaga Ukraińcom bardziej niż powinna: „Jeśli odbywa się to nieproporcjonalnie do możliwości, pod przymusem, rząd rozdaje pieniądze podatnika, równouprawnia ich z polskimi obywatelami pod względem socjalnym, to włącza się dzwonek ostrzegawczy. [...] Nie mając często pieniędzy na pomoc Polakom, [rząd] próbuje odgrywać rolę największego prymusa, na co nas po prostu nie stać". Na koniec mrożąca krew w żyłach opowieść o Cyganach z Ukrainy: „Mamy info od naszych ludzi z Rzeszowa, że przyjeżdżają Cyganie z Ukrainy, rejestrują się fikcyjnie jako uchodźcy, żyją na Ukrainie zachodniej, a w Polsce korzystają ze świadczeń". Tonący brzydko się chwyta.

Tymczasem piękny sanocki rynek był świadkiem niebywałego „sukcesu" antyukraińskiej akcji partii ***Grzegorza Brauna***. Przedstawiciele Konfederacji Korony Polskiej zorganizowali pikietę informacyjną na rynku w Sanoku. Rozstawili banner, głośniki i rozpoczęli agitację w ramach akcji „Stop ukrainizacji Polski". Puścili też wypowiedź Grzegorza Brauna. Współpracownicy Brauna nie mogą jednak zaliczyć akcji do udanych. Jak widać na nagraniu z Sanoka, przekaz ich partii nie zainteresował absolutnie nikogo. Nikogo! Rynek świecił pustkami, nawet jeden człowiek nie podszedł, by porozmawiać czy wziąć ulotkę. Polacy wiedzą, że tezy o ukrainizacji Polski są tanią prowokacją, prowadzoną wyłącznie w interesie Moskwy.

„Uważam, że Polska, udzielając pomocy Ukrainie i uchodźcom z Ukrainy, zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla" – podkreślił w rozmowie z PAP ambasador USA w Polsce. Mark Brzezinski zauważył, że Polacy pokazali zdolność do szybkiej mobilizacji. „I chciałem to raz jeszcze podkreślić, że daje to nadzieję na szeroką odnowę kraju, wzbudzenie takiego potencjału, żeby Polska kwitła i to dzięki właśnie tej szybkiej mobilizacji". Według ambasadora to niesłychanie ważny moment w historii polskiego kraju. „Nikt nie będzie w stanie ignorować tego, co Polacy zrobili, jak bardzo się zmobilizowali, jak bardzo pomogli, dając każdemu z nich dach nad głową i posiłek" – podkreślił Brzezinski. Komplement miły, ale da się zauważyć brak wzmianki o rządzie PiS, który pośpieszył z bezprecedensową pomocą i Ukraińcom, i samej Ukrainie. Czyżby „cancel culture", owa kultura anulowania objęła już także naszą teraźniejszość?

Fot. A Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 5e28128ada

Tusk vs. Tusk

KRZYSZTOF FEUSETTE

Prowadzący: Dzień dobry, witam państwa serdecznie na debacie polityczno-etycznej z udziałem kandydatów do tytułu Donalda Tuska Roku. Przypomnę, że do dzisiejszego finału po wieloetapowych eliminacjach przeszli dwaj panowie: Donald Tusk i Donald Tusk. W losowaniu przed programem prawo pierwszej wypowiedzi zdobył Donald Tusk i on też rozpocznie nasz show. Bardzo prosimy, panie Donaldzie, a pan, panie Donaldzie, na razie czeka. Po wypowiedzi adwersarza będzie pan mógł mówić. Pytanie pierwsze: co panowie sądzą o programie 500+? Jako pierwszy – pan Donald...

Donald Tusk: Według mojej najlepszej wiedzy nie ma możliwości finansowania tego projektu. [...] I ponieważ łatwo przychodzi formułować tego typu obietnice, to moim zdaniem wtedy, kiedy jest ktoś, kto ma wiedzę na temat tego, jak funkcjonuje państwo i ile można pieniędzy wziąć od podatników, to warto może z nim, czyli w tym przypadku ze mną, podyskutować o tym, czy to jest możliwe, czy nie. Jeśli ktoś w Polsce wie, gdzie te miliardy leżą zakopane – bo w Zakopanem nie...

Prowadzący: A pan Donald Tusk?

Donald Tusk: Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt dość podobny do 500+ z podobnymi skutkami. Duże programy socjalne – jestem o tym przekonany – my w tym samym czasie byśmy przeprowadzili.

Prowadzący: Wiek emerytalny – podwyższać czy nie? Jako pierwszy tym razem – Donald Tusk.

Donald Tusk: Wiem, że jeśli dzisiaj nie wprowadzimy tego mechanizmu, to już za kilka miesięcy, a najpóźniej za kilka lat będziemy mieli kłopoty.

Prowadzący: A Donald Tusk?

Donald Tusk: Ja nie pozwolę nikomu wrócić do tematu podwyższenia wieku emerytalnego, przymusowo. To musi być wybór każdego człowieka.

Prowadzący: Polskość – czym jest dla panów? Donald Tusk?

Donald Tusk: Jest etosem pechowców, etosem przegranych i zarazem niepogodzonych ze swoją przegraną. [...] Porywa się na czyny wielkie z mizernym zwykle skutkiem. Polskość w rzeczy samej jest nieadekwatną do ponurej rzeczywistości projekcją naszych zbiorowych kompleksów. Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski, tej na ziemi, konkretnej, przegranej, brudnej i biednej. I dlatego tak często nas ogłupia, zaślepia, prowadzi w krainę mitu. Sama jest mitem.

Prowadzący: I pan Tusk...

Donald Tusk: Nigdy nie opuszczajcie rąk, nie pomyślcie nawet przez chwilę, że jesteście na Polskę źli. [...] Ja kocham ją bez pamięci.

Prowadzący: Stosunki polsko-rosyjskie. I znowu pan Donald...

Donald Tusk: Ja bym nie chciał, żeby Polska była w jakiejś awangardzie antyrosyjskiej czy krucjacie antyrosyjskiej. Póki będę o tym decydował, Polska nie będzie krajem agresywnej koncepcji antyrosyjskiej.

Prowadzący: A pan Tusk?

Donald Tusk: W Brukseli miałem opinię rusofoba.

Prowadzący: Co sądzicie o Viktorze Orbánie? Pan Donald?

Donald Tusk: To nasz przyjaciel. Już tradycyjnie po wygranych wyborach Orbán przyjechał do polskiej stolicy z pierwszą zagraniczną wizytą. Podkreśla to świetną współpracę między naszymi rządami. [...] Wyznajemy te same wartości, z którymi startujemy do wyborów.

Prowadzący: A pan Tusk?

Donald Tusk: Viktor Orbán jest wyjątkowo bezczelnym, bo jawnym i bezwstydnym sojusznikiem Putina.

Prowadzący: Mur na granicy z Białorusią. Są panowie za czy przeciw? Pan Tusk.

Donald Tusk: Polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione. Kto to kwestionuje, nie rozumie, czym jest państwo.

Prowadzący: I pan Donald...

Donald Tusk: Klub Koalicji Obywatelskiej będzie przeciw specustawie w sprawie budowy tej zapory.

Prowadzący: A czy podoba się panom poziom debaty politycznej w Polsce? Pan Tusk...

Donald Tusk: Jestem ogólnie łagodnym człowiekiem, nigdy nie mam w sobie potrzeby odwetu, wolałbym łagodzić konflikt. [...] Można się spierać – na tym polega demokracja. Można mieć różne poglądy na różne rozwiązania, ale nie można w żaden sposób narażać dzisiaj Polski, narażać Polek i Polaków na ostry konflikt polityczny, który przypomina coraz bardziej polityczną wojnę domową.

Prowadzący: I adwersarz...

Donald Tusk: Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy i sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta...

Prowadzący: Czym dla panów jest praworządność? Pan Tusk?

Donald Tusk: Jeśli atakujesz praworządność, wolność mediów i prawa człowieka w swoim kraju, jesteś Putinem.

Prowadzący: A dla pana?

Donald Tusk: Nie trzeba będzie ustawy, żeby gościa wyprowadzić z NBP. Ja to zrobię, ja to wam gwarantuję.

Prowadzący: Panów stosunek do aborcji? Pan Tusk?

Donald Tusk: Prawo powinno ochraniać życie ludzkie. [...] Będziemy bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa.

Prowadzący: A pan?

Donald Tusk: Pierwszego dnia po wygranych wyborach zaproponujemy Sejmowi ustawę, zakładającą, że aborcja do 12. tygodnia będzie wyłącznie decyzją kobiety. Osoby, które uznają inaczej, nie znajdą miejsca na listach PO do parlamentu.

Prowadzący: Czas na podsumowanie debaty. Wszystkie wypowiedzi są autentyczne. Wydaje się, że nieznacznie wygrał Donald Tusk. Z kolei Donald Tusk może czuć się jednak wielkim przegranym.

eprasa.pl 5e28128ada

Dość łupienia Polaków!

Pilnie potrzebujemy tych przepisów. W innych krajach europejskich problem lichwy został ukrócony

Tylko w sierpniu br. Polacy pożyczyli chwilówek na kwotę prawie 1 mld zł! Jest to największa kwota miesięczna udzielanych pożyczek od pięciu lat. To tylko pokazuje, jak palącym problemem jest lichwa, która w Polsce wciąż niestety niszczy wielu pożyczkobiorców. Sejm pracuje nad tzw. ustawą antylichwiarską.

To nie pierwszy raz, gdy polski parlament zajmuje się problemem lichwy. Przed laty poseł Przemysław Gosiewski i senator Grzegorz Bierecki podjęli już ten temat. W 2006 r. Prawo i Sprawiedliwość po raz pierwszy uchwaliło rozwiązania legislacyjne w tej kwestii. Niestety, w 2011 r. Platforma Obywatelska usunęła dwa istotne przepisy penalizujące lichwę, wybijając zęby antylichwiarskiej ustawie i działając nie niekorzyść Polaków. Wówczas do naszego kraju zaczęły napływać firmy lichwiarskie z całego świata, żerujące na krzywdzie ludzkiej. Firmy te uwiły sobie w Polsce bezpieczną przystań, a koszty pożyczek zostały wywindowane bez ograniczeń. Do tego doszła bezkarność lichwiarzy, bo zmiana przepisów umożliwiła falę ich uniewinnień. Gdy zniknął przepis, który był podstawą odpowiedzialności, to prowadzone sprawy trzeba było zakończyć.

Jednak w 2016 r. prokurator generalny Zbigniew Ziobro nakazał podjęcie na nowo umorzonych 150 postępowań przeciw lichwiarzom z całego kraju. Badaniu poddano ok. 1,4 tys. aktów notarialnych, co zaowocowało licznymi aktami oskarżenia w sumie przeciwko ponad 50 oskarżonym, gdzie występuje ponad 250 pokrzywdzonych, a w grę wchodzi kwota ok. 30 mln zł. To wartość utraconych domów czy mieszkań.

Czym jest lichwa? – Lichwa to pobieranie nadmiernych odsetek oraz kosztów pozaodsetkowych. Na kredyt składają się dwa elementy: odsetki, które teraz i tak są wysokie w związku z podwyżką stóp procentowych, a drugi – to różne prowizje, opłaty, marże, które klienci płacą i na których są łupieni przez firmy pożyczkowe. Sięgają one niebotycznych rozmiarów i są znacznie wyższe niż w innych krajach Unii Europejskiej – tłumaczy mi wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł, który jest autorem zmian w ustawie antylichwiarskiej.

Największym problemem są tzw. chwilówki, które najbardziej uzależniają, są najdroższe, wpędzają w pętlę długu i najczęściej są rolowane. – W przypadku pożyczki trzy razy prolongowanej koszty urastają do 140 proc. wartości samej pożyczki, czyli trzeba oddać ponad dwa razy więcej, niż się pożyczyło. Niejednokrotnie te koszty są jeszcze wyższe i dlatego do niedawna ludzie tracili z tego powodu domy i mieszkania, bo możliwe było tzw. przywłaszczenie na zabezpieczenie – dodaje minister Warchoł.

Już dwa lata temu rząd wprowadził zakaz przywłaszczenia nieruchomości na zabezpieczenie przy rażącej różnicy między wartością długu a wartością nieruchomości. Zakazano także egzekucji z nieruchomości przy kilkuzłotowych długach. A kiedyś można było w takiej sytuacji stracić dom.

W tej chwili za pożyczkę w wysokości 1 tys. zł wziętej na miesiąc trzeba zapłacić 275 zł dodatkowych kosztów, a do tego dochodzą jeszcze odsetki. I firmy zarabiają na jednym i drugim. W projekcie, który przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości, został wprowadzony sztywny udział kosztów pozaodsetkowych, jednocześnie znacząco zostały one obniżone. Nawet pięciokrotnie! Tak więc za te same 1 tys. zł pożyczki po zmianach opłata wyniesie 50 zł. Za 2 tys. zł wziętych na 30 dni trzeba teraz zapłacić aż 549 zł. Po wprowadzeniu nowego prawa byłoby to 100 zł. Ale to nie wszystko. Ma także zostać wprowadzony nadzór Komisji Nadzoru Finansowego nad firmami pożyczkowymi. Oszuści mogą się spodziewać kary do 15 mln zł. Będą jednolite zasady kontroli dla całego rynku. Dotychczas tego nie było. Projekt zakłada także obowiązkowe badanie zdolności kredytowej, tak by ludzie nie wpadali w pętlę zadłużenia. A z tego powodu dochodziło przecież do samobójstw. Co więcej, sąd przy nadawaniu klauzuli wykonalności będzie badał, czy dochodzona przez wierzyciela umowa nie jest lichwiarska. Również notariusz powinien odmówić sporządzenia aktu notarialnego o poddaniu się egzekucji z pożyczki lichwiarskiej.

Polacy pilnie potrzebują tych przepisów. W innych krajach europejskich problem lichwy został ukrócony. Nie ma żadnego powodu, dla którego Polacy mieliby płacić za pożyczki więcej niż Czesi, Słowacy, Węgrzy czy Francuzi.

Dorota Łosiewicz

Niemcy

Masowa histeria

Lewica i prawica w Niemczech protestują przeciwko rosnącym cenom. Demonstracje odbywają się głównie we wschodnich landach. Dziesiątki tysięcy osób wychodzą co tydzień na ulice domagać się pokoju, wolności i dobrobytu oraz zniesienia sankcji na Rosję. „Uruchomcie natychmiast Nord Stream 2!" i „Nie będziemy marznąć dla waszej wojny!" – głosiły tydzień temu hasła na transparentach. Organizatorami byli politycy skrajnej lewicy – Die Linke – i skrajnej prawicy – Alternatywy dla Niemiec (AfD).

Są to środowiska tradycyjnie prorosyjskie. Ale to tylko jeden wymiar problemu. Od minionego lata władze miast i miasteczek zalewają rząd listami. Jedni żądają powołania sztabu kryzysowego w sprawie cen energii, inni apelują o regulację cen oraz zawieszenie transformacji energetycznej, a jeszcze inni chcą podjęcia gospodarczych negocjacji z Rosją. „Grozi nam recesja, bankructwa firm. Sankcje szkodzą nam, Niemcom, i chcemy, by rząd o tym wiedział" – czytamy w piśmie wysłanym przez burmistrza miasta Reichenbach w Saksonii, Raphaela Kürzingera (CDU), do ministra gospodarki Roberta Habecka. Niemiecki model, oparty na imporcie surowców z Rosji, gospodarczej zależności od Chin oraz bezpieczeństwie w ramach NATO, legł w gruzach, a Niemcy zareagowali na to paniką. „Grozi nam upadek" – grzmi dziennik „Die Welt". Według gazety nie da się zachować spokoju społecznego przy tak drastycznym pogorszeniu się poziomu życia.

Im bliżej zimy, tym histeria nakręca się coraz bardziej. „Der Spiegel" zastanawia się, czy to początek końca niemieckiego przemysłu. Krach gospodarczy, masowa emigracja, deindustrializacja – oto pojęcia, którymi media straszą obywateli. W badaniu branżowym 90 proc. firm stwierdziło, że wzrost cen stanowi dla nich egzystencjalne lub co najmniej poważne zagrożenie. Prawie co piąta firma myśli o przeniesieniu produkcji za granicę. A Yasmin Fahimi, szefowa niemieckiej federacji związków zawodowych, przekonywała, że jeśli rząd nie podejmie szybko środków zaradczych, Niemcom grozi katastrofa. Fakt, że producent papieru toaletowego Hakle zaprzestał produkcji, został odebrany jako dowód na słuszność tej tezy.

Nie da się ukryć, że Niemcom grozi recesja i rekordowa inflacja (ponad 10 proc.). Nie oznacza to jednak, że tak musi być. Zbiorniki z gazem są zapełnione w 90 proc., zwiększono import gazu z Norwegii, Holandii i Belgii. Rząd wprowadził trzy pakiety ulg dla obywateli o łącznej wartości 95 mld euro, które objęły m.in. dopłaty bezpośrednie dla gorzej sytuowanych, obniżkę części podatków i cen paliw. Dla wielu Niemców to za mało: gdy pod koniec sierpnia cena energii elektrycznej po raz pierwszy w historii przekroczyła 1 tys. euro za megawatogodzinę, zaczęto wykupywać drewno opałowe i węgiel, by „nie marznąć" na zimę.

Według gazety „Handelsblatt" histeria stała się sportem masowym. Stanowi to zaproszenie dla Putina, by kontynuował swoją politykę zastraszania.

Aleksandra Rybińska

Fot. JD Fotografiert/Shutterstock.com

Witajcie w Ambazonii

Kamerun

Czy słyszeli państwo o Ambazonii? To samozwańcze państwo, nieuznawane przez żaden kraj na świecie, które w 2017 r. ogłosiło niepodległość. W rzeczywistości jest ono częścią Kamerunu, która należała niegdyś do imperium brytyjskiego. Jest to istotne, ponieważ podziały z czasów kolonialnych do dziś determinują politykę w tamtym regionie globu. Obecny Kamerun składa się bowiem z terenów dawnej kolonii francuskiej, na których żyje 80 proc. populacji, oraz byłej kolonii brytyjskiej, gdzie mieszka 20 proc. ludności.

Anglojęzyczna mniejszość uważa się dyskryminowana przez francuskojęzyczną większość, dlatego pięć lat temu doszło do wybuchu powstania wznieconego przez separatystów i proklamowania niezależnej Ambazonii. Od tamtego czasu wojna domowa w Kamerunie kosztowała życie 4 tys. cywilów. Poza tym swoje domy w obawie przed śmiercią musiało opuścić 700 tys. przesiedleńców i 64 tys. uchodźców, którzy schronili się w sąsiedniej Nigerii.

Ostatnio konflikt wszedł w nową fazę. Celem ataków stał się bowiem Kościół katolicki, który stara się zachować w sporze neutralność i mediować między zwaśnionymi stronami. 16 września anglojęzyczni separatyści podpalili katolicką świątynię we wsi Nchang i porwali dziewięć osób, w tym pięciu księży, żądając okupu w wysokości 100 tys. dol. Episkopat Kamerunu stanowczo odmówił. Porywacze obniżyli więc stawkę do 50 tys., jednak biskupi nie podjęli negocjacji. Nie chcą bowiem stwarzać niebezpiecznych precedensów i zachęcać do podobnych akcji w przyszłości.

Secesjoniści coraz częściej oskarżają Kościół, że nie wspiera ich w walce przeciw frankofońskiej metropolii. Misjonarze, którzy poświęcili swoje życie, by pomagać miejscowej ludności, otrzymują pogróżki i życzenia śmierci. Nawet prowadzenie przez nich sieci szkół, czyli jedynych placówek oświatowych na tamtym terenie, staje się powodem do oskarżeń. Zarzuca się im bowiem, że manipulują dziećmi, by były posłuszne rządowi centralnemu. Nie wróży to dobrze Kościołowi w Ambazonii.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 5e28128ada

Tęczowy reżim

Kuba

Takie referendum mogłoby się spokojnie odbyć w jednym z krajów Unii Europejskiej, wywołując zachwyt jej lewicowo-liberalnego establishmentu. Ale to na pogrążonej w ekonomicznym kryzysie komunistycznej Kubie 67 proc. głosujących poparło nowelizację kodeksu rodzinnego, legalizującą małżeństwa homoseksualne. Rewolucja jest głębsza. Kodeks daje im także prawo do adopcji dzieci, wzmacnia ochronę mniejszości seksualnych, rozszerza ochronę ofiar przemocy na tle seksualnym, reguluje kwestię korzystania z surogatek, ustala nawet partnerski podział praw i obowiązków domowych.

Patronką tych zmian jest córka Raúla Castro i bratanica Fidela – Mariela Castro Espín, która kieruje Narodowym Centrum Edukacji Seksualnej w Hawanie. Bo nowy, liczący 100 stron dokument powstał z inicjatywy władz, które prowadziły intensywną kampanię propagandową za jego przyjęciem. Zakazując jednocześnie prowadzenia agitacji przez przeciwników tak drastycznych zmian.

Do głosowania przeciw nowemu kodeksowi rodzinnemu wzywał zarówno kubański Kościół katolicki, jak i pozostałe wspólnoty chrześcijańskie. Opozycja wzywała do bojkotu, powołując się na argumenty polityczne, wskazując, że poza celem ideologicznym izolowany w świecie reżim pragnie uzyskać sympatię zachodnich rządów i dostęp do pomocy gospodarczej. Władze nadal drastycznie rozprawiają się z opozycją, a za udział w demonstracjach można dostać co najmniej 10 lat więzienia. Nic zatem dziwnego, że do głosowania przeciw zmianom kodeksu rodzinnego nawoływała nawet część organizacji walczących o prawa LGBT+.

Jeszcze w latach 60. i 70. homoseksualizm był na Kubie zakazany, karany i uznany za burżuazyjną pozostałość po czasach, gdy wyspa była centrum rozrywki, hazardu i turystyki. W czasach dyktatury Castro przez obozy pracy miało się przewinąć nawet 25 tys. homoseksualistów. Co ciekawe, jeszcze w 2019 r. policja uniemożliwiła zorganizowanie w Hawanie parady równości, a próbę jej organizacji udaremnili funkcjonariusze tajnej policji.

Zachowanie się Kubańczyków jest interpretowane dwojako. Frekwencja sięgająca 74 proc. była rekordowo niska, a odsetek przeciwników zmian (33 proc.) rekordowo wysoki, co ma dowodzić społecznego niezadowolenia. Zdaniem obserwatorów referendum nie zostało sfałszowane, a jego wynik świadczy o głębokich zmianach obyczajowych, jakie komunizm odcisnął na Kubańczykach.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

Pod rosyjską presją

W centrum Kiszyniowa, stolicy Mołdawii, po masowych protestach organizowanych przez prorosyjskie formacje opozycyjne rozbito miasteczko namiotowe, a demonstranci domagają się odejścia prezydent Sandu, dymisji rządu i przedterminowych wyborów.

W związku z tymi protestami oraz ogłoszeniem przez Rosję mobilizacji, która może objąć również niektórych obywateli Mołdawii (republika uznaje podwójne obywatelstwo), w trybie pilnym zwołano posiedzenie Wyższej Rady Bezpieczeństwa. Po jej obradach prezydent Maia Sandu stwierdziła, że demonstracje opozycji są próbą destabilizacji wewnętrznej sytuacji i ostrzegła, że ci, którzy będą walczyć po stronie Rosji, mogą zostać pozbawieni mołdawskiego obywatelstwa i nie będą mogli już wrócić do kraju.

Zdaniem władz organizatorzy demonstracji, w tym opozycyjna partia Şor, są inspirowani przez Moskwę. Ma o tym świadczyć choćby fakt, że delegacja tej formacji przebywała niedawno w rosyjskiej stolicy i została przyjęta w Dumie przez Leonida Słuckiego, znanego ze swoich imperialistycznych poglądów przewodniczącego komisji ds. polityki zagranicznej. Partia Şor została założona przez Ilana Shora, przebywającego w Izraelu kontrowersyjnego oligarchę oskarżanego o udział w „kradzieży stulecia", kiedy to z rachunków bankowych Mołdawian zniknęło miliard dolarów.

Do protestów dochodzi nie tylko w Kiszyniowie, ale również w Gagauzji, autonomicznym terytorium, którego liderzy od dawna szukają wsparcia w Moskwie. Manifestacje trwają tam już od dwóch miesięcy, a jedno z najważniejszych żądań sprowadza się do tego, by władze regionu rozpoczęły bezpośrednie negocjacje z Rosją, ponad głowami rządu w Kiszyniowie, i uzyskały dzięki temu wznowienie dostaw taniego rosyjskiego gazu ziemnego. Od początku tygodnia zaczęli demonstrować także farmerzy, którzy po tegorocznej suszy domagają się wsparcia od rządu.

Sytuację w Mołdawii pogarsza również niepewność co do dalszych dostaw gazu z Rosji w sytuacji, gdy zgromadzone zapasy wystarczą co najwyżej na listopad. Gazprom domaga się zapłaty przez Kiszyniów długu w wysokości 700 mln dol., ale władze Mołdawii, które już czterokrotnie przekładały termin uregulowania zobowiązań, nie mają na to środków. Podobnie zresztą jak na opłacenie nowych dostaw już po aktualnych cenach giełdowych. Oznaczałoby to bowiem, że rachunki za ogrzewanie dla ludności musiałyby wzrosnąć kilkukrotnie, a dla przemysłu aż kilkunastokrotnie. Innymi słowy, Mołdawia przed zimą znalazła się w sytuacji bez wyjścia, co zamierza wykorzystać prorosyjska opozycja.

Marek Budzisz

Mołdawia

Fot. Sergei Elagin/Shutterstock.com

eprasa.pl 5e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kremlowska soldateska i brukselskie marionetki

Jan Pietrzak

Szaleńcza napaść Rosji na Ukrainę ujawniła m.in. bezradność Niemców w sytuacji kryzysu. Chytry plan omotania Europy rurami Gazpromu wziął w łeb! A tak się natrudzili kanclerze, by przekonać Putina, że przy ich pomocy łatwiej mu będzie okradać Rosję z jej głównego produktu: surowców. Oczywiście za pomoc należy się prowizja. Miało to się odbywać w eleganckiej atmosferze biznesowych gabinetów i korporacyjnych obyczajów. Z dala od politycznych namiętności i medialnych awantur. Kanclerka Merkel w kółko powtarzała, że współpraca gazowa to jedynie projekt biznesowy, w domyśle – nic takiego, czym społeczeństwa powinny się nadmiernie interesować. Od biznesu są specjaliści, a nie populiści.

Tak się złożyło, że na obecnym etapie (niedo)rozwoju w Rosji specjaliści są nazywani oligarchami. Niemieckiej klasie trzymającej władzę bardzo się spodobał ten „błogosławiony" system rządzenia. Korzystając z okazji, postanowili się podłączyć do oligarchicznej piramidy finansowej. Taki Schröder to po prostu jeden z oligarchów Putina. Jako partyjny kolega obecnego kanclerza Scholza podpowiada mu, jak niby pomóc Ukrainie, tak żeby Putin tego nie zauważył. Przecież po krótszej lub dłuższej wojnie Niemcy zamierzają dalej kultywować sprawdzoną przez wieki sztamę. Mają w genach potrzebę niszczenia Polski, a kto tego pragnie równie silnie? Kremlowska soldateska! W połączeniu z brukselskimi marionetkami organizują strukturę eksploatacji Mitteleuropy. Przykrywką dla kolonialnego wyzysku są modne ideologie, dające młodym pokoleniom złudzenie uczestnictwa w jakiejś quasi-rewolucji. Z braku lepszych pomysłów są to obsesje płciowe, erotyczne neurozy, które pomagają rozwalać narodową tożsamość, odrzucać moralne wartości, patologizować tradycyjne wspólnoty.

Trzeba przyznać, że przez wiele lat aż do buntu Ukrainy złowieszcza gra z Europą im się udawała. Kiedy jednak przyblokowano Nord Stream 2, Putin nie wytrzymał nerwowo i postanowił pokazać, na co go stać, rzucając się na Kijów. Już ponad pół roku świat obserwuje krwawe popisy ulubionego niemieckiego wspólnika...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Przewaga biologiczna

Dominik Zdort

Zacznę od cytatu z najbardziej oświeconej gazety w Polsce: „Rozdzielenie zawodów [sportowych] mężczyzn i kobiet spełnia funkcję ochronną: kobiety są chronione przed przewagą, jaką mężczyźni zyskują dzięki przewadze biologicznej". Naprawdę napisali, że mężczyźni mają przewagę! I nie dodali, że wynika ona z tysięcy lat panującego na świecie patriarchatu!

Cytowany tekst dotyczy zresztą problemów szerszych i poważniejszych niż mój skromny komentarzyk. Jest ważny, bo ilustruje bardzo wpływową filozofię i jej dramatyczne niekonsekwencje.

Otóż tak: w sporcie podobnie jak w innych dziedzinach powinny być równe szanse. Mężczyźni, którzy mają „lepszą" budowę fizyczną od kobiet, nie powinni z paniami rywalizować, podobnie jak bokserzy wagi ciężkiej nie mogą walczyć z tymi z wagi piórkowej, bo to nieuczciwe i niesprawiedliwe. Ciężar oraz inna budowa ciała ma w tej dziedzinie zasadnicze znaczenie.

No i teraz przejdźmy do sedna. Chodzi o lekkoatletów, biegaczy, zarówno długodystansowych, jak i o sprinterów, ale też np. o koszykarzy. Od wielu lat najlepsi są tu czarni. Murzyni dominują nie tylko w NBA, ale też w sprintach i maratonach. Ci z USA i Europy, ci z Kenii i Etiopii. O co chodzi?

Nie, nie o system treningu i warunki pracy (no bo te z Etiopii i te z Ameryki chyba się różnią, a sukcesy odnoszą czarnoskórzy ze wszystkich kontynentów), ale o nabyte przez tysiące lat cechy genetyczne oraz budowę ciała, a – mówiąc w uproszczeniu – o inaczej zbudowaną stopę, jej naturalne możliwości lepszego odbicia się od podłoża.

To nie miejsce, by wchodzić w szczegóły dotyczące budowy kości i ścięgien. Ale potrafi je wyjaśnić każdy badacz ludzkiego ciała, czy to lekarz, czy naukowiec. Ludzie jednej rasy są sprawniejsi fizycznie, innej umysłowo. Nie bez przyczyny Azjaci w zachodnich systemach edukacyjnych lepiej sobie radzą od innych.

No i teraz wróćmy do sportu i do pytania zadanego na wstępie. Czy byłoby w porządku postawić panie w jednych zawodach przeciw panom? Oczywiście, że nie. Kobiety i mężczyźni nie powinni razem startować, bo – w normalnych warunkach – najlepsze panie przegrywałyby z najlepszymi panami.

A teraz nieco prowokacyjnie. Czy wystawiani we wspólnych zawodach czarni i biali sportsmeni mają równe szanse? Czy przypadkiem Murzyni nie mają „biologicznej przewagi"?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 5e28128ada

BRONISŁAW WILDSTEIN

Bunt narodów cd.

Siedem lat temu napisałem o buncie narodów. Chodziło o narastanie sprzeciwu wobec dyktatu establishmentu, który w krajach zachodnich zmienił demokrację w oligarchię, czyli władzę nielicznych w swoim interesie, i nadał jej nazwę demokracji liberalnej. Można by uznać, że przez te kilka lat bunt nie przerodził się w trwałe zjawisko zachodniej polityki, a jaskółki na Węgrzech, w Polsce czy w USA (wybór Trumpa) nie obudziły wiosny. Procesy takie należy obserwować jednak w dłuższych przedziałach czasowych. Ostatnio mamy do czynienia z kolejnymi faktami, które demonstrują, że narody Europy nie położyły jeszcze uszu po sobie i nie podporządkowały się w pełni nowej władzy i jej ideologii.

W zeszłym roku Marine Le Pen przegrała wprawdzie z urzędującym Emmanuelem Macronem, ale zdobyła najwyższe poparcie, jakie dotąd przedstawiciel jej ugrupowania uzyskał w wyborach prezydenckich, a w br. jej partia znacząco awansowała w parlamencie. Szwedzcy Demokraci zajęli drugie miejsce w wyborach, stając się główną siłą prawicy w kraju, który wydawał się awangardą nowej ideologii. Nie wiadomo, czy kontestatorzy będą uczestniczyć w nowym rządzie, gdyż kordon sanitarny wobec nich ciągle obowiązuje, ale wyraźnie znajdują się na fali wznoszącej.

Najważniejsze były jednak wybory parlamentarne we Włoszech. Wygrała je prawdziwa prawica, a jej najsilniejszą partią okazali się Bracia Włosi z Giorgią Meloni na czele, która prawdopodobnie zostanie premierem w kolejnym gabinecie. Swój program sformułowała w wielu prostych formułach na wiecu pokrewnego stronnictwa Vox w Hiszpanii:
„Tak dla naturalnej rodziny – nie dla lobby LGBT+!
Tak dla tożsamości płciowej – nie dla ideologii gender!
Tak dla kultury życia – nie dla otchłani śmierci!
Tak dla krzyża – nie dla przemocy islamu!
Tak dla bezpiecznych granic – nie dla masowej imigracji!
Tak dla pracy naszych obywateli – nie dla międzynarodowej finansjery!
Tak dla suwerenności ludu – nie dla brukselskiej biurokracji!
Tak dla naszej cywilizacji – nie dla tych, którzy chcą ją zniszczyć!
Niech żyje Europa patriotów!".

Mało kto tak syntetycznie oddał, o co chodzi w obecnym konflikcie politycznym, który wyrasta z kulturowej wojny dzielącej Zachód. Uderzenie w rodzinę, religię, tożsamość narodową i płciową niszczy fundament jego cywilizacji i stwarza perspektywę nieograniczonej władzy dla oligarchii. Jak to powiedziała Meloni w innym wystąpieniu: „Pojęcie rodziny nas definiuje. Bo jest elementem naszej tożsamości. Tymczasem wszystko to, co nas definiuje, stało się obecnie wrogie. Dla tych wszystkich, którzy chcieliby, żebyśmy już żadnej tożsamości nie mieli. Żebyśmy po prostu byli doskonałymi niewolnikami konsumpcji". Meloni ma świadomość, że odbudowa Europy musi być dokonana wspólnymi siłami tych, którzy przeciwstawiają się dyktatowi europejskiego establishmentu. Świadczyła o tym jej wizyta w Warszawie i spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim.

Włochy to trzecia gospodarka Europy, chociaż mocno nadwyrężona przez eksperyment z euro, 60 mln mieszkańców i status jednego z założycieli Wspólnoty Europejskiej. Nie przeszkodziło to jednak Ursuli von der Leyen grozić temu państwu sankcjami, takimi jak wobec Polski czy Węgier, jeśli dokona złego wyboru.

Być może wypowiedź szefowej UE przysporzyła Meloni głosów. Z pewnością świadczy o skrajnej arogancji, a więc oderwaniu się od rzeczywistości brukselskiej socjety. Stan taki pogłębia obecny kryzys UE i demonstruje, że jej establishment nie cofnie się przed niczym, by utrzymać *status quo*. Politycy włoscy, również przeciwnicy prawicy, oburzyli się na deklarację von der Leyen. Włosi nie chcą podległości zagranicznej centrali. W Polsce liderzy PO na wszelkie sposoby usprawiedliwiali skandaliczne oświadczenie przewodniczącej UE. Polityka totalnej opozycji oficjalnie odwołuje się do zagranicznych mocodawców. Jeśli czyni to w odniesieniu do swojego kraju, trudno sobie wyobrazić, by respektowała suwerenność innego. Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że grając na polskich kompleksach, może wygrać wybory i prowadzić politykę wbrew interesom naszego kraju i Europy. Pocieszający jest fakt, że Polacy stopniowo uwalniają się od dawnych kompleksów.

Stan UE jest złożony. Z jednej strony kontynentalny establishment realizuje swoje interesy pod szyldem ponadnarodowej wspólnoty, z drugiej pod tym samym szyldem Niemcy zdobywają dominację w strukturach unijnych, przekształcając wspólnotę w wehikuł swoich imperialnych ambicji. Świadomość tego również zaczyna się upowszechniać. Wojna na Ukrainie powoduje, że Stany Zjednoczone przyjęły do wiadomości, że oddanie Europy Niemcom będzie ich klęską.

Zwycięstwo prawicy we Włoszech jest symptomem zmiany europejskich postaw. W najbliższej przyszłości najważniejszy będzie wynik wyborów w Polsce.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5e28128ada

Walizka Magdaleny Krzemień

piosenkarki i dziennikarki muzycznej

Najczęściej zdarza mi się podróżować w celach artystycznych. Jestem z Opola, stolicy polskiej piosenki, a trasa, którą często przemierzam, prowadzi do Warszawy. Zdarzają się też oczywiście inne miejsca na mapie Polski – muszę się do nich dostać na koncert lub event, na których mam zaśpiewać. Jeżeli chodzi o dalsze wyprawy, bardzo mile wspominam podróż do Japonii, koncerty w Dubaju czy autorski projekt elektroniczny realizowany w Abu Zabi. To były ciekawe doświadczenia. Pokochałam też Gruzję – Tbilisi i jej mieszkańców. Miłe wspomnienia łączę z Fuerteventurą, gdzie poleciałam sama, co można nazwać podróżą na hardcorze. Poznałam tam fantastycznych ludzi, pływałam na windsurfingu, słoneczna bryza morska przewietrzyła mi głowę.

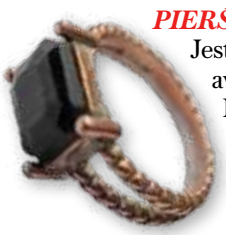

PIERŚCIEŃ

Jest ze mną wprawdzie od roku, ale szybko awansował do roli niezbędnego amuletu. Przy większych występach jego obecność na moim palcu jest obowiązkowa, dając mi poczucie komfortu.

OKULARY

Okulary przeciwsłoneczne to nieodłączna część mojej garderoby. Choć mam mnóstwo par, to te są moje ulubione. Może dlatego, że pasują do każdej stylizacji.

KRZYŻYK

Z bukszpanu. Moja mama była na procesji Bożego Ciała w Niemodlinie i przywiozła mi ten krzyżyk przed Krajowym Festiwalem Polskiej Piosenki. Jest poświęcony i zawsze go wożę w walizce. Jestem osobą wierzącą, a ten symbol wiele dla mnie znaczy. To nie pierwszy raz, gdy dostaję od mamy prezent, z którym nie potrafię się rozstać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5e28128ada

LITTLE DRAGON

Ten zespół poznałam w liceum i właśnie tę grupę uwielbiałam promować w swoich autorskich audycjach radiowych. Pochodzą ze Szwecji, ale wokalistka jest Japonką, co słychać w jej śpiewie. Choć fanów mają na całym świecie, nie jest to muzyka dla każdego. Trzeba lubić taki styl i vibe.

NOTES

Mój osobisty. Co mi wpadnie do głowy, od razu ląduje w notesie: od błahych spraw, przez cytaty z ciekawych książek, po nowe teksty piosenek. Jest w nim strasznie nadziobane, ale to trochę oddaje mój charakter i temperament.

SŁUCHAWKI

Najważniejsza rzecz dla mnie. Gdziekolwiek bym była, zawsze przy sobie mam słuchawki. Posiadam wiele modeli, większych i mniejszych, ale na tych konkretnych uwielbiam słuchać muzyki. Podróżując pociągiem, mam czas na eksplorowanie Spotify w poszukiwaniu ciekawych muzyków, których m.in. prezentowałam w swojej audycji w Radiu Opole.

MIKROFON

Przez dłuższy czas szukałam odpowiedniego dla siebie i na nim mój głos brzmi najlepiej. I na nim najlepiej mi się śpiewa. To Neumann, o którym zawsze marzyłam.

LAPTOP

W podróży mogę nadrobić różne prace, w tym produkcyjne. Jadąc pociągiem, odpalam GarageBanda albo Logica, podcasty ze swojej muzyki albo właśnie robię prewki swoich utworów. To w jedną stronę. Gdy wracam, odpoczywam i nadrabiam filmowe lektury na Netfliksie.

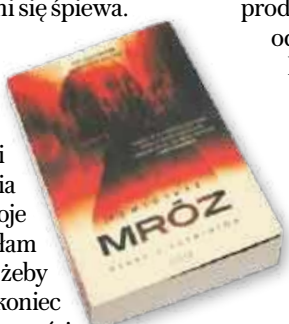

KRYMINAŁ

Jestem z wykształcenia prawnikiem i kończyłam prawo na specjalizacji karnistycznej. Wiktymologia i kryminologia to były moje koniki od zawsze, stąd moje zamiłowanie do kryminałów Mroza. Chodziłam na koło medycyny sądowej. Miałam aspiracje, żeby zostać prokuratorem. Nie wyszło, bo pod koniec studiów przeniosłam się na katedrę prawa własności intelektualnej. Magisterkę robiłam z praw pokrewnych do artystycznych wykonań. Tak połączyłam prawo i muzykę.

NAPÓJ

Spożywam bardzo dużo wody. Potrafię wypić cztery litry dziennie. Ponieważ prowadzę bardzo zdrowy tryb życia i zwracam uwagę na dietę, odpowiednie nawadnianie organizmu uważam za kluczowe.

FOUR TET

Brytyjski kompozytor muzyki elektronicznej, który swojego czasu bardzo inspirował się Japonią. „New Energy" właśnie uwielbiam za japońskie wstawki, bo wtedy wspomnieniami wracam do Kraju Kwitnącej Wiśni, gdzie spędziłam urlop.

NAGRODA

Jako mała dziewczynka, oglądając festiwal w Opolu, patrzyłam na artystów, którzy odbierają tę Karolinkę, i wtedy myślałam, że fajnie zapisać się w historii polskiej piosenki. W tym roku i mnie udało zostawić po sobie ślad w Muzeum Polskiej Piosenki, a szczęście jest tym większe, że zaśpiewałam swój tekst.

CHRISTIAN LÖFFLER

Genialny niemiecki producent muzyki elektronicznej. Jego muzyka towarzyszy mi podczas dłuższych podróży, w jesiennych nostalgiach. Zresztą jesień to ulubiona jest pora roku Löfflera.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 5e28128ada

OGNIEM NA WPROST

Chora miłość

Rosyjska mobilizacja, zwana przez Ukraińców „mogilizacją", nabiera rumieńców. Już ok. 250 tys. młodych ludzi zwiało za granicę. To prawie cały kontyngent, który miał pomaszerować na wojnę. Ale chytry Ruski w siódmym punkcie dekretu o mobilizacji, który utajnił, zaznaczył, że branka może mieć zasięg do 1,3 mln sztuk mięsa armatniego. Płoną komendy uzupełnień, na ulicach miast protestują ludzie, a tamtejsze siły porządkowe aresztują kogo się da, by wysyłać na front. Choć skala protestów rośnie, jednak dalej nie jest jakaś rewelacyjna, bowiem Rosjanie wolą zwiać za granicę, niż zrobić porządek we własnym chlewiku, który nazywają krajem. Ukraińcy właśnie przedstawili w mediach społecznościowych pierwszego zmobilizowanego sołdata, który po trzech dniach w wojsku trafił do ich niewoli. Na nagraniu gość jęczy, że na Ukrainie nie ma żadnych nazioli, tylko rosyjskie dowództwo każe strzelać do kobiet i dzieci. „Nie wierzcie propagandzie!" – apeluje do swoich rodaków jeniec, myląc z nerwów Rosję ze Związkiem Sowiecki, w której imieniu znalazł się w obszarze działań wojennych. A tak nawiasem mówiąc, wcale mu się nie dziwię, że wydaje mu się, iż nadal żyje w Sowietach, bo wot, kakaja raznica?

Obok „mogilizacji" uaktywniła się moskiewska propaganda, która od jakiegoś czasu powtarza narrację rządową o ataku nuklearnym na terytorium zarówno Ukrainy, jak i innych państw Zachodu. Deputowany do Dumy Państwowej i bliski przyjaciel Putina Andriej Gurulow groził w państwowej telewizji, że Rosja może uderzyć taktyczną bronią jądrową w Wielką Brytanię i Niemcy. No to się Niemiaszki powoli doigrywają swoją polityką stania okrakiem między cywilizowanym światem a chorą miłością do azjatyckiej dziczy na Kremlu. Sam Gurulow stwierdził, że ogólnie nie chcą używać broni nuklearnej na Ukrainie, „bo wciąż będziemy tam żyć". Co do ataku nuklearnego na Wielką Brytanię idiotę Gurulowa poparła pierwsza propagandystka Kremla zwana „żelazną lalką" Putina – Olga Skabiejewa. A jakże! W swojej chorej łepetynie doszła do wniosku, że najlepszym terminem na uderzenie byłby pogrzeb królowej Elżbiety II, bo to na tym wydarzeniu zgromadziło się wiele ważnych osób. U Skabiejewej gościł również politolog Dmitrij Jewstafiew. Zaproponował krucjatę denazyfikacyjną w kierunku Niemiec. „Musi być ona bardziej ideologiczna niż dawniej". Jewstafiew stwierdził: „Kolejna operacja denazyfikacyjna na terenie Niemiec musi być bardziej systematyczna, skuteczna i głębsza niż wcześniej". Czy pan słyszy, panie Scholz? Czy może pan jest głuchy?

Mimo gróźb nuklearnego ataku na terytorium Niemiec połączonego z operacją denazyfikacyjną w nowym stylu oraz czterema wybuchami rur Nord Stream 1 i Nord Stream 2 spowodowanymi ruską dywersją parlament za Odrą kolejny raz odrzucił propozycję, którą zaprezentowała opozycyjna unia CDU/CSU. Wzywano w niej do natychmiastowego i zauważalnego zwiększenia niemieckiego wsparcia dla walczącego narodu ukraińskiego. Projekt został poparty tylko przez 179 posłów. 476 było przeciwnych. Zdaniem posła SPD Ralfa Stegnera był on zbędny. Niemcy przypominają w swoim zachowaniu żonę menela, który co wieczór wraca pijany i leje kobietę do nieprzytomności. Kiedy rano pojawiają się w drzwiach pracownicy opieki społecznej, zaalarmowani przez sąsiadów słyszących krzyki, ta zaprzecza wszystkiemu, twierdząc, że jest w porządku i ogólnie nic strasznego się nie dzieje. Chora miłość Niemców do kacapów nie może zardzewieć.

Rosyjski zestaw artyleryjsko-rakietowego Pancyr-S1 (oznaczenie natowskie Greyhound) to duma systemu obrony przeciwlotniczej Moskali. Koszt jednego zestawu jest obliczany na 20 mln dol. W skład wchodzą dwie dwulufowe armaty automatyczne 2A38M kalibru 30 mm oraz 12 przeciwlotniczych pocisków rakietowych 57E6 lub 57E6-E. Ostatnio na Telegramie pojawił się filmik zrobiony przez moskiewskiego bojca, który chciał utrwalić dla potomności wystrzelenie salwy z Pancyra-S1. Na wideo widać, jak zestaw wystrzeliwuje pojedynczo rakiety. Świst, siwy dym, rakiety mkną pionowo w dal. Jak w kinie. Jednak ostatni, czwarty pocisk tuż po opuszczeniu wyrzutni skręca gwałtownie w kierunku filmującego i eksploduje w pobliżu. Widać tylko jakieś fruwające kawałki metalu i zalega ciemność. Znowu w życiu im nie wyszło.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5e28128ada

Włoskie reminiscencje

Marta Kaczyńska-Zielińska

W pięknych Włoszech społeczeństwo zdecydowało o zmianie kierunku polityki z dominującego wśród elit europejskich lewactwa na powrót do tradycyjnych wartości, którym zawdzięczamy europejski szeroko pojęty dobrobyt i które to stanowiły zasypane dziś zgubną ideologią filary UE. Włochy to w ostatnim czasie drugie po Szwecji państwo, w którym nastąpiła ogólnonarodowa refleksja zmaterializowana w postaci wyrażonej w urnach wyborczych aprobaty dla nowoczesnego konserwatyzmu i przewidywalnej przyszłości. Nie da się ukryć, że za sprawą nowo otwartego rozdziału we włoskiej polityce stajemy się sobie jeszcze bliżsi, choć jak wiadomo – w historii mamy wiele wspólnych mianowników, do których zawsze warto powracać.

Na Zamku Królewskim w Warszawie trwa największa w dziejach polskiego muzealnictwa wystawa twórczości Bernarda Bellotta, zwanego Canalettem. Wspaniała ekspozycja zatytułowana „Bernardo Bellotto. W 300. rocznicę urodzin malarza" składa się z 150 obrazów, grafik, rysunków i szkiców wybranych z całego dorobku artysty. Malarz wedut, czyli pejzaży przedstawiających widoki miast, uwieczniał obrazy z Wenecji, w której się wychował, Rzymu, Florencji, Werony. Ważnym etapem jego malarstwa był pobyt w Dreźnie, gdzie przez 20 lat pracował dla króla Augusta III Wettina – z przerwą spowodowaną wybuchem wojny siedmioletniej, kiedy to przeniósł się na pewien czas do Wiednia i Monachium. Ostatnim przystankiem jego malarskiej podróży była Warszawa, w której spędził ostatnie 13 lat swojego życia. Polski etap twórczości nie był przez artystę uprzednio zaplanowany. Canaletto podróżował do Petersburga, gdzie miał zatrudnić się na dworze carycy Katarzyny II. W trakcie postoju dzięki Marcellemu Bacciarellemu, malarzowi Stanisława Augusta Poniatowskiego, został przedstawiony królowi. Warto wspomnieć, że Bacciarelli to prekursor tzw. malarstwa narodowego, autor wielu portretów, które dzięki skrupulatności w oddaniu szczegółów i subtelnym operowaniem światłocieniem stanowiłyby z pewnością poważną konkurencję dla współczesnej fotografii. Będąc w Warszawie, warto zajrzeć na maleńką uliczkę nazwaną imieniem tego włoskiego malarza, która znajduje się nieopodal siedziby MON, Belwederu i Łazienek Królewskich.

Twórczość Bellotta do tego stopnia zachwyciła władcę, że zaproponował mu wieloletni kontrakt na tak korzystnych warunkach, że artysta zdecydował się pozostać w Warszawie. Canaletto przystąpił do tworzenia dekoracji do Zamku Ujazdowskiego. Do dziś zachował się jedynie jego „Projekt plafonu" pozostający w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Pejzaże i malowidła ornamentalne zostały zniszczone, gdy w 1784 r. zdecydowano o zaadaptowaniu zamku na potrzeby koszar. Bellotto stworzył cykl wedut przedstawiających Warszawę, które stanowiły ozdobę ścian Sali Prospektowej na Zamku Królewskim, współcześnie nazywanej Salą Canaletta. Do dziś zachowały się 24 obrazy, a wśród nich m.in. „Widok Warszawy od strony Pragi", „Widok Warszawy z pałacem Ordynackim" czy „Krakowskie Przedmieście od strony Nowego Światu".

Malarz z fotograficzną precyzją odzwierciedlał wizerunek XVIII-wiecznej Warszawy. Z jego obrazów można się dowiedzieć, jak na przestrzeni wieków kształtowała się jej urbanistyka, architektura, w których miejscach powstawały pierwsze restauracje, jakie stroje noszono, co kupowano na targu, z jaką wrażliwością odnoszono się do dzikich zwierząt, karmiąc łabędzie, czy też jakimi pojazdami podróżowano. Stopień precyzji w odwzorowywaniu detali był na tyle doskonały, że na obrazach włoskiego mistrza można np. zobaczyć różne rodzaje dachówki i stan, w jakim się znajdowały. Precyzja i realizm wiernie oddające poszczególne perspektywy, z których Bellotto spoglądał na Warszawę, zawarte w wedutach, mają nie tylko wartość artystyczną, ale także historyczną, dokumentalną, które okazały się bezcenne, bo pomocne w rekonstrukcji zabytkowego serca Warszawy zniszczonej przez Niemców w czasie II wojny światowej. Współczesna kolorystyka Zamku Królewskiego czy też plan ogrodów królewskich to także zasługa Canaletta, którego twórczość pełna detali zainspirowała konserwatorów.

REKLAMA

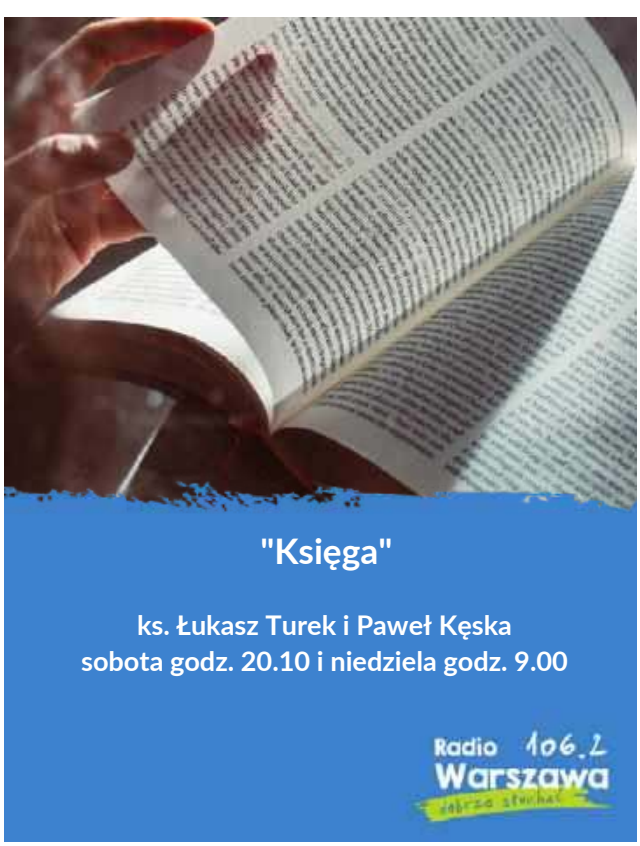

49/0922/F

eprasa.pl 5e28128ada

Rozliczanie przeszłości to nie jest przyjemny proces

Samuel Pereira

Każdy polityk, który postanowi kłamać, powinien pamiętać, że jest to podróż w jedną stronę. Przed obraniem takiego kursu powinno chronić go sumienie, ale jeśli go nie ma lub nie używa, to może powstrzymać go świadomość, że kłamanie to bardzo ciężkie i ryzykowne zajęcie, bo trzeba pamiętać każde z kłamstw, a zmieniając wersje zdarzeń czy poglądy – zawsze może znaleźć się ktoś, kto ma dobrą pamięć.

„Rozliczanie przeszłości to nie jest przyjemny proces, bo wymaga twardej skóry i determinacji" – stwierdził niedawno we Wrocławiu Donald Tusk i ja się z tymi słowami w pełni zgadzam. Mimo iż mówił to w kontekście swoich planów odwetowych po wymarzonym zwycięstwie, to nieświadomie pochwalił tych, których na co dzień obraża, czyli dziennikarzy TVP, „GP", „Sieci" i innych mediów, którzy wydobywają dziś z zapomnienia prorosyjską erę Tuska. Jak bardzo jest to wciąż potrzebna praca, widać po zdziwieniu ludzi, do których dociera, jak bardzo oddana Rosji była ekipa Donalda Tuska, Waldemara Pawlaka i Bronisława Komorowskiego. Gdy TVP odkurzyła niedawno słowa Radosława Sikorskiego z 2020 r.: „Rosja nie jest naszym wrogiem, a Putin to nie Stalin – jeśli morduje to detalicznie, a nie hurtowo", to wiele osób było w szoku. Film „Nasz człowiek w Warszawie" wywołał wściekłość polityków PO i Lewicy, mimo iż w znacznej mierze opierał się na przypomnieniu faktów i archiwalnych wypowiedzi. Nawet ostatnie pół roku, gdy wydawało się, że po wybuchu wojny na Ukrainie prorosyjscy politycy przefarbują się i będą dobrze udawać rusofobów – okazało się, że niektórzy postanowili się ostatecznie odsłonić.

Zaczęło się w marcu, gdy Tomasz Lis z Romanem Giertychem, Siergiejem Ławrowem i Donaldem Tuskiem, każdy na swój sposób lansował insynuację o Polsce planującej rozbiór Ukrainy. Później była wypowiedź lidera PO o zagrożeniu ukraińskim zbożem, którą szybko podchwyciła rosyjska propaganda, antyamerykańska okładka „Newsweeka" uderzająca w prezydenta RP, a ostatnio Radosław Sikorski postanowił przy okazji wycieku gazu z rur Nord Stream 1 i 2 wskazać jako sprawców Stany Zjednoczone. Dajmy im mówić i liczmy ruskie pionki.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Charakterna dziewczyna

Z aktorką Martą Stalmierską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Akpa

Została pani aktorskim odkryciem tegorocznego festiwalu w Gdyni – dzięki rolom w dwóch bardzo różnych, ale i znakomicie przyjętych filmach: „Johnnym" i „Apokawiksa", która wchodzi właśnie do kin.

Marta Stalmierska: Grałam też w mikrobudżetowym filmie pod tytułem „Hela" w reżyserii Ani Kasperskiej. Na planie „Johnny'ego" spotkałam Piotrka Trojana i Dawida Ogrodnika. Na początku, wiadomo, był stres, jak się obok nich odnajdę, ale potem mocno się skupiłam i weszłam w swoje zadanie, ale też Piotrek i Dawid dawali mi poczucie luzu.

„Apokawiksa" Xawerego Żuławskiego to film w zupełnie innym klimacie niż „Johnny".

Ale takim, który bardzo mi odpowiada u tego reżysera, od kiedy zobaczyłam jego „Wojnę polsko-ruską" (debiutancki „Chaos" obejrzałam później). Można powiedzieć, że czujesz się w trakcie seansu „Apokawiksy", jakbyś zażyła narkotyki.

Pani bohaterka ma okazję nie tylko przeobrazić się w zombie, ale też m.in. pościgać się na motocyklu.

Pozdrawiam tu Asię Miller, mistrzynię Polski w motocrossie, która bardzo mi pomogła. Sprawiła, że Jagna jest wiarygodna w swojej motoryzacyjnej pasji. Nie miałam z tym wcześniej do czynienia.

A jak się pani odnalazła w roli ukochanej córeczki Cezarego Pazury?

Było bardzo sympatycznie i też trochę zaskakująco. To aktor z wielkim doświadczeniem i dorobkiem i przy zdjęciach w ciężkiej charakteryzacji i niskich temperaturach w nocy nie usłyszałam od niego słowa narzekania. Profesjonalizm i pokora. Patrząc na superpostawę Cezarego, sama nie chciałam marudzić.

Co dalej?

Za mną zdjęcia do „Wyrwy". To film Bartka Konopki na podstawie kryminału Wojciecha Chmielarza. Znów zagrałam charakterną dziewczynę, lubię takie role. I miałam okazję pracować m.in. z Tomaszem Kotem i Grzegorzem Damięckim. No fajnie mi się na razie udaje. Grać z takimi wspaniałymi ludźmi i aktorami to jest coś.

eprasa.pl 5e28128ada

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, B.KRUPA/EAST NEWS, GRAND WARSZAWSKI, B.YULIYA, ROMAN BABAKIN, ASATUR YESAYANTS, WIOLA WIADEREK, ALONES, ALESSIA PIERDOMENICO/SHUTTERSTOCK

nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

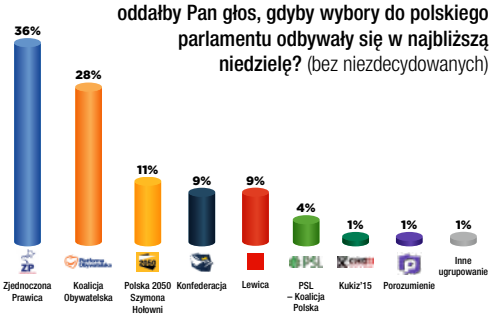

Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?

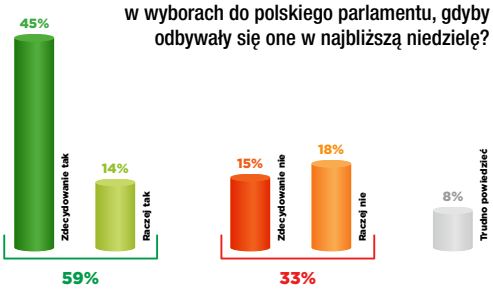

Czy popiera Pani/Pan przyjmowanie do Polski Rosjan, którzy nie chcą walczyć po stronie Rosji na Ukrainie i uciekają ze swojego kraju przed powołaniem ich do wojska?

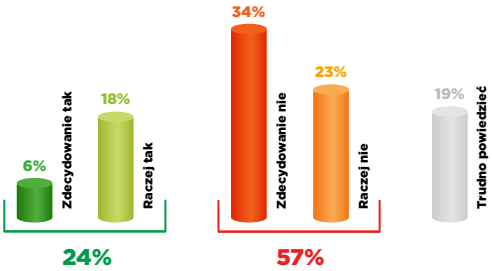

Czy według Pani/Pana wyeliminowanie węgla i paliw kopalnych jest konieczne dla ochrony planety?

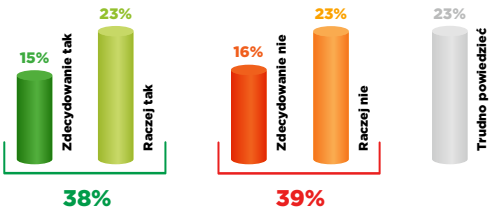

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1088.

Zakres czasowy badania 23–26 września 2022 r.

eprasa.pl 5e28128ada

Kim pan jest, panie Sikorski?

Dziękując Ameryce, można przykryć to, że się działa na korzyść Rosji. A może na jej zamówienie?

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

STANISŁAW JANECKI

Czy można się zachowywać tak jak internetowy troll, a w najlepszym razie swawolny bloger? Można, jeśli nie było się ministrem obrony i (o wiele dłużej) ministrem spraw zagranicznych państwa należącego do NATO i odgrywającego ważną rolę w tym pakcie. Radosław Sikorski takie funkcje pełnił, co wiąże się z tym, że kogoś takiego nigdy potem nie traktuje się inaczej niż jako szefa MSZ i MON, czyli kogoś poważnego. Tak się traktuje np. kolegę Sikorskiego, byłego premiera i ministra spraw zagranicznych Szwecji (2006–2014) Carla Bildta. I jest nie do pomyślenia, by Bildt powiedział czy napisał to, co Radosław Sikorski, czyli „Thank you, USA", ilustrując to śladami po wybuchu (jednego z czterech), który uszkodził rurę gazociągu Nord Stream.

Jeśli się nie jest trollem, a funkcjonuje w świecie jako minister spraw zagranicznych, to stanowiska w tak ważnej sprawie nie sposób uznać za przypadek. A jeśli było to celowe, co w ten sposób Radosław Sikorski chciał zakomunikować? Komu chciał się przysłużyć, a komu zaszkodzić? W Waszyngtonie i w Moskwie zareagowano na wpis Sikorskiego tak jak w wypadku wypowiedzi ważnego polityka, ministra spraw zagranicznych sporego państwa paktu północnoatlantyckiego. Dlatego Ned Price, rzecznik Departamentu Stanu, powiedział: „Idea, że

eprasa.pl 5e28128ada

Stany Zjednoczone są w jakikolwiek sposób zamieszane w ten prawdopodobny sabotaż gazociągów Nord Stream, jest niedorzeczna. To nic więcej niż funkcja rosyjskiej dezinformacji i tak powinna być traktowana". Departament Stanu USA uznał więc, że ważny polski polityk (także marszałek Sejmu i kandydat na prezydenta RP) realizuje funkcję rosyjskiej dezinformacji, czyli obiektywnie to, co zrobił, służy Rosji. Takie oświadczenie dotyczące polityka z sojuszniczego państwa jest absolutnym ewenementem.

Tym bardziej jest wyjątkowe, że rzeczniczka MSZ Rosji Maria Zacharowa stwierdziła: „Polski eurodeputowany i były minister spraw zagranicznych Radek Sikorski podziękował na Twitterze Stanom Zjednoczonym za wypadek na rosyjskich gazociągach. Czy jest to oficjalne oświadczenie, że był to atak terrorystyczny?". A Dmitrij Poljanskij, pierwszy zastępca stałego przedstawiciela Rosji w ONZ, wprost Sikorskiemu podziękował: „Dziękuję ci, Radosławie Sikorski, za jasne pokazanie, kto jest odpowiedzialny za ten terrorystyczny atak na cywilną infrastrukturę".

Słowa Sikorskiego są wyjątkowo niebezpieczne, gdyż nie tylko napędzają rosyjską propagandę, ale mogą być uzasadnieniem dla ataków na gazociągi użytkowane przez Zachód, w tym Baltic Pipe. Oczywiście byłby to albo wypadek, albo działanie nieznanych sprawców. Gdy ktoś rozpętuje tego typu złowieszczy ciąg zdarzeń, uzasadnione jest pytanie: kim pan jest, panie Sikorski? Komu pan służy? Czy ktoś ma na pana haki? Czy można to wszystko traktować jak wybryk czy świadome i celowe uruchomienie bardzo niebezpiecznego scenariusza? Czy można przez lata funkcjonować w polityce i dyplomacji, by w odpowiednim momencie zrobić ten jeden ruch, swego rodzaju złoty strzał?

ZADANIE WYKONANE

Radosław Sikorski nie mógł nie wiedzieć, jaką lawinę uruchamia. Przecież nie jest przypadkiem, że sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg oraz sekretarz obrony USA Lloyd Austin ogłosili, że zrobią wszystko, by bronić wrażliwej infrastruktury przesyłowej sojuszników, gdyby była zagrożona. Kpt. Tamara Lawrence, rzeczniczka prasowa US Navy, dodała, że marynarka Stanów Zjednoczonych została postawiona w stan gotowości, by zapewnić wsparcie i pomoc w ścisłej koordynacji z naszymi sojusznikami i partnerami, jeśli będzie to konieczne. A może być konieczne właśnie dlatego, że doszło do wybuchów uszkadzających rury Nord Stream. I może być zagrożona z tego powodu, że były szef MSZ Polski wskazał na USA jako sprawcę ataku. Nic dziwnego, że w Moskwie zaraz uznano Polskę za wspólnika bądź nawet wykonawcę.

Sikorski nie może być aż tak niepoczytalny, by nie zdawać sobie sprawy z tego, w jaką grę się wpisał, jak bardzo ułatwił Rosji ewentualny odwet, choćby to sam Putin zdecydował o odpaleniu ładunków, być może pozostawionych przez Rosjan w rurach na wypadek takiej właśnie sytuacji (potrzeby). Gdyby tak na to patrzeć, Sikorski wykonał zadanie. Tylko kto to zadanie wyznaczył? I jak długo się do niego przygotowywał? Czy to nie nakazuje uważnie spojrzeć na to, jak w 1981 r. uczeń bydgoskiego liceum, syn pracowników biura projektowego, znalazł się w Wielkiej Brytanii (formalnie, żeby doskonalić angielski)? Jak dostał się na studia w Pembroke College Uniwersytetu w Oksfordzie? Jak został przyjęty do ekskluzywnego Bullingdon Club? Jak w 1986 r. znalazł się w Afganistanie jako korespondent wojenny brytyjskich mediów?

W marcu 2010 r. „Super Express" rozmawiał z Jamesem Delingpole'em, brytyjskim pisarzem i publicystą, kolegą Sikorskiego ze studiów w Oksfordzie. „Radek i ja byliśmy członkami tego samego męskiego klubu, czegoś w rodzaju klubu dżentelmenów. W Bullingdon Club zawsze było miejsce dla wytwornych młodych ludzi o odpowiednim pochodzeniu. [...] Jego wielkie nazwisko, zajmujące tak ważne miejsce w polskich dziejach" – mówił Delingpole. Na uwagę dziennikarza, że Radosław nie jest potomkiem gen. Sikorskiego, Delingpole stwierdził: „To zaskakująca wiadomość. Wszyscy przypuszczaliśmy wówczas, że Sikorski jest przedstawicielem polskiej arystokracji. [...] Muszę przyznać, że wielu jego dawnych znajomych z Oksfordu byłoby bardzo zdumionych [że nie ma arystokratycznych korzeni]. [...] Obcokrajowcy w Bullingdon Club musieli być potomkami książąt bądź innych szlachetnie urodzonych rodów. Radkowi pomogło to, że nie znaliśmy zbyt wielu ludzi z Europy Wschodniej. Postrzegaliśmy go jako jednego z polskich arystokratów, którzy mieszkali na Wyspach, choćby w Londynie. [...] Jeżeli Radek nie był arystokratą, to jestem tym bardziej pod wrażeniem drogi, którą przeszedł". Czy ta droga jest właściwie znana? Jakie tajemnice kryją się za tym, co Sikorski robił w latach 80. w Wielkiej Brytanii i Afganistanie?

Słowa Sikorskiego są wyjątkowo niebezpieczne, gdyż nie tylko napędzają rosyjską propagandę, ale mogą być uzasadnieniem dla ataków na gazociągi użytkowane przez Zachód, w tym Baltic Pipe

BEZCZELNOŚĆ I HUCPA

Nie jest tajemnicą, że Radosław Sikorski miał trudne do zrozumienia nastawienie do USA. Gdy był szefem MSZ, mówił Janowi Vincentowi-Rostowskiemu (wtedy ministrowi finansów): „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa [...]. Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy". Sikorski zaogniał relacje z USA w czasie, gdy kierował MSZ, co skutkowało opóźnieniem budowy amerykańskiej bazy antyrakietowej w Redzikowie. To Sikorski razem z żoną Anne Applebaum są autorami prowokacyjnych tez (już w 2022 r.), jakoby Stany Zjednoczone nie chciały

eprasa.pl 5e28128ada

bezwarunkowo bronić Polski, a nawet zgodziłyby się na jakąś formę okupacji Polski przez Rosję.

Prof. Antoni Kamiński, socjolog z PAN, w Polskim Radiu 24 (29 września 2022 r.) był zdumiony tym, że właściwie Radosław Sikorski bardzo słabo zna świat anglosaski i panujące w nim zasady, choć spędził dużo czasu w Wielkiej Brytanii i USA. Wybitny historyk i znawca Rosji, prof. Andrzej Nowak, tak oceniał wschodnią politykę Radosława Sikorskiego: „Uważał, że trzeba rozmawiać z silniejszymi sąsiadami, z Rosją i Niemcami, nawet na kolanach [...], a na słabszych można krzyczeć albo ich zignorować". Sikorski szukał porozumienia z Rosją kosztem Litwy i Ukrainy. Upokarzał te państwa, na co wobec Rosji nigdy się nie odważył, a wręcz zachowywał się jak wasal Siergieja Ławrowa, z którym się spotykał, a nawet zaprosił jako mentora dla polskich dyplomatów. Prof. Andrzej Nowak stwierdził: „Dech zapiera bezczelność, hucpa ludzi [Tuska i Sikorskiego] najbardziej zaangażowanych w popieranie agresywnej polityki Putina całkowitą biernością i podporządkowaniem Polski jego planom. A dzisiaj ośmielają się pouczać, występować bez zmrużenia oka w roli jakichś autorytetów moralnych w sprawie polityki wschodniej. Nikt – poza oczywiście Władimirem Putinem – nie zrobił tyle, ile Donald Tusk i Radosław Sikorski, żeby zaszkodzić Ukrainie. Żeby wesprzeć Putina w agresji na Ukrainę".

Co najmniej zastanawiające jest to, co Radosław Sikorski przekazał 17 maja 2016 r. czytelnikom dziennika „Svenska Dagbladet": „Jeśli chodzi o Donbas, to Rosja będzie negocjować tylko wtedy, gdy przyjmie do wiadomości, że ten region jest dla niej ciężarem, a dla Ukrainy jego strata jest ulgą. [...] Myślę, że Ukraina powinna się skoncentrować na pomyślnym rozwoju tych 90 proc. swego terytorium, które kontroluje. [...] Ukraina straciła część swego terytorium – Krym i Donbas, ale te regiony wydają się dla niej nieopłacalne. Na Krymie mieszka bardzo wielu emerytów, a różne gałęzie przemysłu w Donbasie poniosły znaczące straty. [...] Oczywiście utrata części terytorium jest bolesna dla każdego państwa, ale obawiam się, że gdyby nagle cudownie Donbas wrócił do Ukrainy, ich reintegracja i odbudowa byłyby ponad możliwości Ukrainy".

Rosyjska agencja RIA Novosti tylko czekała na takie słowa, streszczając je tak, iż Sikorski powiedział, że Ukraina nie powinna dążyć do odzyskania Krymu i Donbasu, gdyż jest to nieopłacalne. Czy ktoś, kto nie potrafi przewidzieć, jaki prezent robi Putinowi takimi dywagacjami, nadaje się na dyplomatę reprezentującego państwo członkowskie NATO?

Będąc szefem MSZ, Sikorski zachowywał się tak, jakby był zakładnikiem Putina i Rosji, wpisującym się w rosyjską politykę dezintegracji, dezinformacji i manipulacji wobec Polski. Grając rolę antykomunisty i przeciwnika Rosji, *de facto* jej nie szkodził ani nie utrudniał realizacji jej imperialnej polityki, także tej wrogiej Polsce. Atakując rząd PiS za putinizm, Sikorski usprawiedliwiał Putina, bo relatywizował nie tylko jego zamordyzm w kraju, ale także jego imperializm z napaścią na Ukrainę na czele. Absolutnie kompromitujące (chyba że było to zaplanowane i odpowiednio legendowane) były wypowiedzi Sikorskiego o stworzeniu dla Rosji ścieżki do NATO i traktowanie tego państwa jak normalnej demokracji, z którą uprawia się przyjacielską dyplomację.

Fatalna strategia Sikorskiego zaczęła się od ataków na prezydenta Lecha Kaczyńskiego, by uniemożliwić mu prowadzenie aktywnej polityki zagranicznej. Były kpiny po incydencie w Gruzji (ostrzelanie miejsca, gdzie byli prezydenci Saakaszwili i Kaczyński), była współpraca z Rosją przeciw prezydentowi w przededniu katastrofy smoleńskiej. Jest znamienne, że Sikorski należał do pierwszych, o ile w ogóle nie był pierwszy, który odpowiedzialnością za spowodowanie katastrofy smoleńskiej obciążył polskich pilotów. To samo zrobili wtedy Rosjanie.

PRZECIWNIK CZY POMOCNIK

Jest zastanawiające, jak bardzo Radosław Sikorski stał się użyteczny dla Kremla i Putina. Ewolucja Sikorskiego trwała od mniej więcej 2007 r. W styczniu 2017 r. MSZ ujawniło notatkę z marca 2008 r., która w ocenie ówczesnego szefa resortu Witolda Waszczykowskiego była początkiem porzucania przez rząd Donalda Tuska polityki proukraińskiej na rzecz polityki prorosyjskiej. Dokument „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy" z 4 marca 2008 r. (autorstwa ówczesnego dyrektora Departamentu Wschodniego MSZ Jarosława Bratkiewicza), którym Sikorski się zachwycił, był koronnym dowodem przestawienia polskiej polityki zagranicznej na prorosyjskie tory: „Autorzy nieświadomie czy świadomie przyznawali Rosji specjalne prawa w odniesieniu do naszego regionu i to zaczyna się dopiero dzisiaj [w 2017 r.] zmieniać". Ukraina była „stygmatyzowana, natomiast Rosja potraktowana jako kraj, który nie zagraża, który jest rezerwuarem surowców, który ma chęć współpracy. [...] Totalnie fałszywą tezą jest to, że Rosja nie będzie skłonna podjąć ryzyka zderzenia ze zjednoczoną Europą i Zachodem, już po kilku miesiącach mieliśmy Gruzję, a teraz wojnę na Ukrainie" – mówił wtedy Witold Waszczykowski. W tym czasie Sikorski zachowywał się wobec Rosji tak, jakby przeszedł jakieś pranie mózgu. A to, co robi obecnie, wiedząc o zbrodniach rosyjskich na Ukrainie, mając świadomość, jak szkodliwa była polityka wobec Putina i jego giermka Ławrowa, upoważnia do pytania, czy kiedykolwiek faktycznie Sikorski utrudniał Rosji to, co widać w jej działaniach wojennych, terrorystycznych i imperialistycznych. Poprzestanie na sprowadzeniu go do roli użytecznego idioty to o wiele za mało.

Fot. Twitter

eprasa.pl 5e28128ada

Dziękujemy ci, Radku!

Andrzej Nowak

Wybuch, który uszkodził gazociąg Putin–Berlin w Morzu Bałtyckim, Radosław Sikorski, niegdyś minister spraw zagranicznych RP, skomentował publicznie na Twitterze słowami: „Dzięki, USA". Tę wypowiedź polityka Koalicji Obywatelskiej i jej obecnego reprezentanta w Parlamencie Europejskim natychmiast wykorzystała dyplomacja/propaganda Putina. Dmitrij Poljański, pierwszy zastępca stałego przedstawiciela Rosji przy ONZ, napisał wprost: „Dziękujemy ci, Radku Sikorski! Jasno napisałeś, kto stoi za terrorystycznym uderzeniem w cywilną infrastrukturę".

To właśnie ma ogłosić Władimir Putin jako oczywisty dowód na napaść zbrodniczej Ameryki na bezbronne szprotki w Bałtyku i chroniących je ekologów z Rosji oraz postępowej części Europy. I jako koronny argument w uzasadnieniu słuszności referendów przeprowadzanych właśnie w okupowanych i atakowanych obwodach Ukrainy: trzeba ochronić biednych ludzi w Doniecku, Zaporożu, Chersoniu przed amerykańskimi terrorystami, o których pisze minister Sikorski. Trzeba ochronić tak właśnie jak w 1939 r. Stalin zaopiekował się proszącą go o to w podobnych referendach na zachodniej Ukrainie i zachodniej Białorusi miejscową ludność. Przyłączyć, przesiedlić, niepokornych eksterminować. Wtedy uzasadnieniem tego działania zajmowali się w podbitej Polsce propagandyści z kręgu Zofii Dzierżyńskiej (wdowy po Feliksie), Jerzego Putramenta i Wandy Wasilewskiej, wyrodnej córki pierwszego ministra spraw zagranicznych II RP, Leona. Teraz pomaga sam minister spraw zagranicznych – Radosław. Nie od dziś pomaga.

O jego entuzjazmie dla resetu z Putinem (już po agresji militarnej na Gruzję, po zamordowaniu Politkowskiej, Litwinienki, Magnickiego i setek innych uznanych za wrogów Kremla), o hołdowniczych adresach drukowanych przez Radka w „Gazecie Wyborczej" pod adresem Putina z 2009 r., o trzymaniu popielniczki ministrowi Ławrowowi na specjalnej odprawie, której (na zaproszenie Sikorskiego) nowy Mołotow udzielił zwołanym specjalnie dla tego zaszczytu polskim ambasadorom – o tych i wielu, wielu innych zabiegach naszego ministra o Order Przyjaźni pisałem już nieraz. Tu przypomnę inne, charakterystyczne słowa Sikorskiego na pozór jedynie sprzeczne z najnowszą jego deklaracją („Thank you, USA").

Zacytujmy: „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa [...]. Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość". Sikorski osobiście potwierdził autentyczność tych słów i swoje ich autorstwo w rozmowie z węgierskim portalem Válasz Online. Minister kształtujący politykę zagraniczną Polski w latach 2007–2014 wyjaśnił przy tej okazji zasady owej polityki wobec Rosji: „Robisz pozytywny ruch i czekasz na reakcję drugiej strony. Naszym pozytywnym ruchem było wycofanie polskiego weta wobec przyjęcia Rosji do OECD. To był ruch, który nic nas nie kosztował, ponieważ w naszym interesie jest zintegrowanie Rosji z zachodnimi instytucjami, których członkowie przestrzegają zasad".

Co dostaliśmy w zamian? Minister rządu Tuska nie ma wątpliwości: warto było, bo dostaliśmy w zamian wizytę premiera Putina na Westerplatte 1 września 2009 r., a także „z moim rosyjskim kolegą Siergiejem Ławrowem przekonaliśmy ministrów spraw wewnętrznych UE, by zmienić zasady i ustanowić lokalny, bezwizowy ruch przygraniczny dla 3 mln Polaków i Rosjan z obwodu kaliningradzkiego, co było ogromnym sukcesem".

Dziennikarz węgierski zapytał Sikorskiego, czy po agresji Rosji na Krym i Donbas nie uważa tej polityki wobec Putina za klęskę, Talleyrand Tuska odpowiedział: „Nie, ponieważ zawsze trzeba próbować. Dokonałem również otwarcia w stosunku do Łukaszenki, bez wielkich nadziei, że to zadziała, a jednak zadziałało, ponieważ pomogło Łukaszence w jego manewrach wobec Moskwy". Po pełnym potwierdzeniu prawdziwości swoich nagranych słów o szkodliwości polsko-amerykańskiego sojuszu Sikorski potwierdził także swoją opinię, że jeśli nawet PiS zdołał po 2015 r. sprowadzić amerykańskich żołnierzy i bazy do Polski, to i tak nie jest to żaden sukces ani gwarancja bezpieczeństwa. Dziennikarz węgierski skonkludował, że sternik polskiej polityki zagranicznej w latach 2007–2014 nie wierzy widocznie w skuteczność art. 5 paktu NATO. I Sikorski tę konkluzję otwarcie potwierdził. To było ledwie trzy lata temu: rozmowa z Válasz Online odbyła się w grudniu 2018 r.

Sikorski chyba nie jest aż tak niemądry. Wydaje się nawet dosyć konsekwentny. Zasługuje na pochwały Kremla od dawna. I nareszcie całkiem otwarcie je otrzymuje. Order Drużby (czyli Przyjaźni) otrzymał niedawno z rąk prezydenta Putina minister spraw zagranicznych Węgier Péter Szijjártó. Najwyższy czas docenić Radosława Sikorskiego.

eprasa.pl 5e28128ada

Znacznie więcej niż reset z Rosją

Jako minister spraw zagranicznych Sikorski wprowadzał wraz z Tuskiem Rosję do Polski

Z Witoldem Waszczykowskim, byłym ministrem spraw zagranicznych, posłem do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Mateusz Majewski

Jak wspomina pan współpracę z Radosławem Sikorskim? Zawsze taki był?

Witold Waszczykowski: Wszyscy się zastanawiają, czy to, co Sikorski palnie od czasu do czasu, to są takie żarty zgrywusa, luzaka itd. Można przecież przytoczyć: „dorżniemy watahę", „relacje polsko-amerykańskie to jest robienie laski". Było więcej takich przykładów. Robi to w prześmiewczy sposób, ale to jednak rezultat zmiany jego poglądów politycznych. Ta zmiana zaczęła się, kiedy został dymisjonowany z urzędu ministra obrony narodowej w 2007 r. za czasów rządów PiS. Odchodził, ponieważ były do niego zastrzeżenia w sprawach, o których nie mogę mówić. Ale także za zblatowanie się z częścią generalicji i to, że jego głównym doradcą był m.in. gen. Marek Dukaczewski. Mogę tylko powiedzieć, że chodziło o dziwne interwencje Sikorskiego, które podejmował wraz z gen. Dukaczewskim w sprawach osób zatrzymanych, podejrzanych itd.

Jednak absencja Sikorskiego w rządzie nie trwała długo. Po wyborach wygranych w 2007 r. przez PO objął tekę szefa dyplomacji.

Przystąpił do Platformy, która za swojego mentora w Europie uważała Niemcy. A Niemcy chciały rozwijać Unię Europejską w ścisłej współpracy z Rosją. W związku z tym Sikorski stał się neofitą tego myślenia i musiał oczywiście inaczej spojrzeć na Rosję. Stąd już na przełomie 2007 i 2008 r., gdy jeszcze byłem w rządzie (negocjowałem tarczę antyrakietową z USA), to on spowalniał mi te negocjacje i domagał się konsultacji z Rosjanami. A potem tę tarczę odrzucili. Wrócili do niej dopiero po rosyjskiej napaści na Gruzję. Ale w tym samym czasie szły już przygotowania do resetu z Rosją. Następowało to na długo przed Smoleńskiem. Później były przygotowania do przyjęcia Putina, który przyjechał do Polski 1 września 2009 r.

Kiedy możemy mówić o ostatecznym zbliżeniu Polski rządzonej przez PO z Rosją i jakie jeszcze działania Sikorskiego o tym świadczyły?

Stanowczy reset nastąpił po Smoleńsku. Sikorski inicjował również otwarcie małego ruchu granicznego między obwodem kaliningradzkim a naszymi dwoma województwami północnymi. Jego inicjatywą był Trójkąt Królewiecki – Polska, Rosja, Niemcy. A więc jako minister spraw zagranicznych robił coś więcej niż reset, bo wprowadzał wraz z Tuskiem Rosję do Polski. Za tym miały iść inwestycje rosyjskie – przejmowanie Lotosu, Azotów, inwestycje na naszych nabrzeżach portowych itd. To on chciał w latach 2013–2014 realizować rok kultury rosyjskiej w Polsce. Równolegle Biuro Bezpieczeństwa Narodowego publikowało białą księgę nt. bezpieczeństwa, gdzie oceniano, że Rosja nikomu nie zagraża. Niedługo później zaatakowała Krym.

Jak wyglądały relacje z Amerykanami w czasie, gdy współpracował pan już z prezydentem Lechem Kaczyńskim?

Obserwowałem to wszystko z Kancelarii Prezydenta RP, gdzie pełniłem funkcję wiceszefa BBN. Pracowałem bezpośrednio z prezydentem Lechem Kaczyńskim jako doradca ds. NATO i amerykańskich. Amerykanie widzieli, że rozmowy polsko-amerykańskie są zawłaszczane przez Tuska i Sikorskiego, a Lecha Kaczyńskiego próbuje się omijać. Stąd też każda de-

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 5e28128ada

legacja amerykańska, kiedy przyjeżdżała do Warszawy, rozmawiała z Sikorskim i potem przyjeżdżała do mnie, do BBN, by poinformować, o czym rozmawiali, co następnie przedstawiałem prezydentowi. Po katastrofie smoleńskiej wszyscy musieliśmy odejść, więc robili, co chcieli – Tusk z Sikorskim poszli w relacjach z Rosją na całość.

Widzimy, że wpis Sikorskiego przypisujący USA sprawstwo sabotażu na gazociągu Nord Stream wywołał poruszenie nie tylko w Polsce. Czy według pana mogą być jeszcze jakieś poważniejsze konsekwencje międzynarodowe związane z tym tweetem?

On już je spowodował. Po pierwsze, Rosjanie bardzo szybko tego tweeta podchwycili, i to na najwyższych szczeblach. Rzecznicy najważniejszych urzędów już go używają jako argumentu, że zrobili to rzekomo Amerykanie, bo przecież pisze to człowiek, który kiedyś był marszałkiem Sejmu w Polsce, czyli drugą osobą w państwie, a dzisiaj jest jednym z liderów PO. Ma to też reperkusje na świecie, ponieważ jest odpowiedź z NATO, że to była prowokacja lub rosyjski atak, sabotaż.

Dlatego Amerykanie szybko to zdementowali?

Departament Stanu określił te wynurzenia jako niedorzeczne. Zwykle nie reaguje on na tweety, a tutaj uznano, że jest to na tyle poważna ingerencja w politykę amerykańską i NATO, że trzeba zareagować, szczególnie w czasie toczącej się wojny w Europie. Jak widać, konsekwencje są poważne.

Według pana może to wpłynąć na postawę ambasadora Marka Brzezinskiego, który do tej pory chętnie pokazywał się w towarzystwie polityków PO?

Jestem zadziwiony amerykańską postawą, że przez tyle lat wykazują jakąś niesłychaną cierpliwość do Sikorskiego. On już przed laty obraził się na Amerykanów. Różne chodzą słuchy. Podobno kiedy był jeszcze w trakcie stypendium, to bardzo obcesowo go potraktowali. Później bardzo mocno przeżył wizytę w Pentagonie w 2005 r. [gdy był szefem MSZ – przyp. red.]. Odgrażał się, że załatwi poparcie USA i sowity udział broni amerykańskiej za to, że poszliśmy z nimi do Afganistanu i Iraku. Na spotkaniu z ówczesnym sekretarzem obrony Donaldem Rumsfeldem położył listę życzeń uzbrojenia na ponad 20 mld dol. W tym zażądał broni, którą Amerykanie mieli jeszcze w opracowaniu. Wiem z różnych relacji, że został wyśmiany.

> Jestem zadziwiony amerykańską postawą, że przez tyle lat wykazują jakąś niesłychaną cierpliwość do Sikorskiego. On już przed laty obraził się na Amerykanów. Różne chodzą słuchy

Od tamtego czasu zaczął odchodzić od Amerykanów, a potem, gdy w 2007 r. przeszedł do PO, kupił koncepcję, że należy oprzeć naszą politykę na Niemczech. Tak też radził Platformie śp. Zbigniew Brzezinski: bądźcie jak najbliżej Niemiec, to może będziecie dostrzeżeni przez Amerykanów.

Może ta linia się opłaciła?

Jak PO tak mocno zblatowała się z Niemcami, to Obama w ogóle odstąpił od budowy tarczy w Polsce. Uznał, że skoro tak, to Amerykanie nie muszą się tu angażować. Ale to postawienie na Niemcy przede wszystkim wzmacniało Rosję. Niemcy w tamtych czasach zakładali, że będą hegemonem Europy w oparciu o ścisłą współpracę z Rosją i płynące stamtąd tanie surowce. Planowali, że zbudują nową architekturę bezpieczeństwa w Europie wraz z Rosją, ale bez USA. W to weszli Tusk z Sikorskim. Jak już wspomniałem, żeby być przyjaciółmi Niemiec, musieli przyjąć ich optykę, spojrzenie na Rosję. Stąd też swoisty reset Polski i ściganie się z Niemcami, kto Rosji zagwarantuje więcej koncesji.

Na tym ołtarzu została złożona także tarcza antyrakietowa?

Nie byłem informowany przez Sikorskiego o jego działaniach. Zostałem zostawiony w resorcie, by dokończyć negocjacje w sprawie tarczy antyrakietowej, ale przez wiele miesięcy nie pozwolił mi wróć do rozmów z Amerykanami, bo uważał, że trzeba tę kwestię wyjaśnić z Rosją, żeby to zaakceptowała. Rosja byłaby skłonna to zaakceptować, gdyby pozwolono jej decydować o użyciu tej tarczy, a w bazie w Redzikowie siedziałby oficer, który decydowałby z Amerykaninem, czy można użyć antyrakiety, czy nie. To był absurd. Dopiero po wielu miesiącach mogłem wrócić do tarczy. W międzyczasie Tusk z Sikorskim podnosili jej cenę. Domagali się coraz większego wkładu wojskowego USA. Za tym stał taki antyamerykański ideolog, prof. Roman Kuźniar, który pisał wtedy tajną notatkę i rozsyłał po całej Warszawie, jak to baza amerykańska nam zaszkodzi.

Jak zareagowali na to Amerykanie? Przecież musiało to dojść do ich uszu.

Oczywiście. W maju i czerwcu 2008 r. miałem rundę rozmów w Rzymie. Zaproponowali, że do tarczy antyrakietowej dołożą jeszcze baterie Patriot, która będzie przyjeżdżała do Polski i broniła Warszawy bądź jakiegoś polskiego zgrupowania. A więc odpowiadali na te zastrzeżenia. Wtedy postanowiono następny warunek, że żołnierze amerykańscy stacjonujący w Polsce muszą podlegać polskiemu wymiarowi sprawiedliwości. To był warunek nie do przyjęcia. Wypracowaliśmy z nimi pewne kompromisowe rozwiązanie, ale 4 lipca 2008 r., w amerykańskie Święto Niepodległości, Tusk odrzucił tarczę. Dopiero miesiąc później, po rosyjskim ataku na Gruzję, pospieszne wrócono do tematu tarczy i szybko podpisano w Warszawie porozumienie, którego jednak strona polska nie ratyfikowała.

eprasa.pl 5e28128ada

Bruksela jak Breżniew

eprasa.pl 5e28128ada

Unijna asymetria przeradza się w despotyzm. I znów – jak w doktrynie ZSRR – chodzi o to samo, czyli pozbawienie państw suwerenności. Główny brukselski nurt jest niepewny dnia ani godziny, dlatego chce wszystkich odszczepieńców zastraszyć, zmarginalizować, usunąć – mówi ***prof. Ryszard Legutko***, europoseł Prawa i Sprawiedliwości, w rozmowie z Markiem Pyzą

Czy nastaje nowa epoka w Unii Europejskiej, w której eurokraci – głównie z Niemiec – zaczynają stosować otwarte groźby? Ursula von der Leyen na trzy dni przed wyborami w Italii stwierdziła: „Zobaczymy wynik głosowania we Włoszech. Były też wybory w Szwecji. Jeśli sprawy pójdą w trudnym kierunku, mamy narzędzia jak w przypadku Polski i Węgier". Szantaż stosowany dotychczas wobec naszego kraju idzie dalej – poucza się narody poszczególnych państw, jak mają głosować.

Ryszard Legutko: Ta epoka trwa już od pewnego czasu, ale coraz lepiej ją dostrzegamy. Opiera się na usankcjonowanej w Unii Europejskiej zasadzie asymetrii, która łatwo może się przerodzić – i zaczyna powoli przeradzać – w despotyzm. Są tacy, którzy mogą rządzić, i tacy, którym nie wolno. Tę asymetrię widać z jednej strony w dominacji Europy Zachodniej nad Wschodnią (ta ostatnia nie może mieć głosu w jakiejkolwiek istotnej sprawie), z drugiej – w tym, że rządzi główny lewicowy nurt. Kto do niego nie należy, ten jest wykluczany, a jeżeli się postawi, to spotka się z ostrą reakcją. Słowa wypowiedziane przez Ursulę von der Leyen do włoskich wyborców ilustrują ten głęboko już zakorzeniony sposób myślenia. Problem Brukseli polega na tym, że teraz musi zdyscyplinować państwo na zachodzie Europy. Na razie mamy więc gniewną reakcję pełną inwektyw o skrajnej prawicy, lecz po niedługim czasie zobaczymy być może próbę zmiękczania włoskich władz i ich kooptacji.

A podobno Niemcy tak wiele w ostatnich miesiącach zrozumieli, tak spokornieli. Tymczasem wychodzi z nich buta, odsłaniająca inklinacje do działań zupełnie pozademokratycznych. Pan to porównał do czasów Leonida Breżniewa.

To porównanie jest zasadne, bo sformułowana na potrzeby inwazji w Czechosłowacji w 1968 r. doktryna Breżniewa dotyczyła ograniczonej suwerenności. W Unii jest podobnie z suwerennością niektórych rządów, którym „duzi" chcą narzucać swoją wolę. Ale rzecz nie dotyczy tylko Niemców. Francja głównego nurtu też uważa się za lepszą. Pamiętamy te niezwykle aroganckie wypowiedzi Jacques'a Chiraca, który mówił, że „Polska straciła okazję, by siedzieć cicho", Sarkozy'ego pod adresem prezydenta Lecha Kaczyńskiego czy ostatnie chamskie słowa Macrona. To wszystko wynika z tego, że ich niemożebnie irytuje ktoś, kto okaże minimum samodzielności. Nie toleruje się czegoś takiego jak zdanie odrębne.

Jak w Układzie Warszawskim. Breżniew na zjeździe PZPR w listopadzie 1968 r. mówił: „Wspólnota socjalistyczna jako całość ma prawo do interwencji na terytorium każdego państwa członkowskiego bloku socjalistycznego w sytuacji, gdy wewnętrzne lub zewnętrzne siły, wrogie wobec socjalizmu, usiłują zakłócić rozwój tego kraju". Wystarczy w tym zdaniu zamienić socjalizm na „wartości europejskie" i już mamy współczesną doktrynę Berlina, Paryża?

A czy tak nie jest? Tę nierówność i skłonność do dyktatu znajdujemy także w quasi-oficjalnym języku unijnym. Dziś kanclerz Niemiec mówi o przywództwie niemieckim, kiedyś nazywanym francusko-niemieckim. Nawet były polski minister spraw zagranicznych prosił o silniejsze przywództwo Niemiec. Pokazuje to nierozwiązywalny problem Unii. Z jednej strony ma to być organizacja równych podmiotów, ale nią nie jest i być nie może. Jak może funkcjonować na zasadach równości system składający się z tak dramatycznie różniących się siłą krajów jak Cypr i Niemcy? Z drugiej strony mamy przywództwo najsilniejszych państw, które nigdzie nie jest zapisane w traktatach i na które przecież żaden kraj członkowski się nie godził. Czy wyobraża pan sobie, że po wyjściu z dominacji sowieckiej mielibyśmy świadomie wstępować do Unii z dominacją niemiecką albo jakąkolwiek inną? Problemu tego nie da się rozwiązać i dlatego Unia jest skazana na patologię, hipokryzję, dwójmyślenie i wszelkie inne grzechy wynikające z konfliktu między równościową retoryką a realną asymetrią władzy.

Chyba poznajemy właśnie nowe narzędzia nacisku w tej dominacji. Szef Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber zagroził Włochom, że dostaną środki europejskie pod warunkiem, że nowy rząd będzie kontynuował reformy rozpoczęte przez poprzedni. Czyli demokratycznie wybrane władze nie mogą nawet realizować własnego programu.

Przypominam, że Komisji Europejskiej już raz udało się wcisnąć Włochom premiera bez konsultowania tego z wyborcami. Po ostatnich wyborach w Italii panuje w Europie atmosfera paniki, dlatego obserwujemy fazę zastraszania w wykonaniu elit unijnych. One są już tak zdemoralizowane, że bez oporów używają brutalnego języka. Mam nadzieję, że Włochy się nie podporządkują i nowy rząd włoski pójdzie twardym kursem.

Ile faktycznie Polska zyskuje wraz z nową władzą w Rzymie? Jak zmieni się układ sił w Brukseli? Czy widzi pan na horyzoncie koalicję zdolną zablokować to „kreowanie nowego świata i nowego człowieka" pod płaszczykiem wydumanych wartości

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5e28128ada

europejskich, jak mówił pan w czasie forum w Karpaczu?

Przy obecnym układzie sił nie możemy jeszcze mówić o przełomie. Ale mogą się zmienić proporcje w Radzie Europejskiej. Dotychczas dwa rządy – polski i węgierski – opierały się polityce głównego nurtu i próbowały zachować jakiś rodzaj suwerenności. Z tego grona wypadła niestety Słowenia wraz z odejściem premiera Janšy. Jeśli we Włoszech powstanie centroprawicowa koalicja i zostanie podtrzymana eurorealistyczna linia, to układ sił w RE zacznie ewoluować. Życie brukselskich monopolistów polityczno-ideologicznych znacznie się utrudni i mogą poszukiwać kompromisów. Dziś ich nie potrzebują.

Czy Polska może się już pożegnać z myślą, że przed wyborami otrzymamy należne nam pieniądze z KPO?

Nie mam jakichś tajemnych informacji w tej sprawie, ale na co dzień rezyduję w jaskini potwora, widzę, jak ci ludzie działają, co mówią. Pozwala mi to wyciągnąć jeden wniosek: nie ma żadnego powodu, by te pieniądze zostały nam udostępnione. Jeśli przyjeżdża do naszego kraju szefowa Komisji Europejskiej i coś podpisuje, a niedługo później stawia kolejny warunek – zaporowy – to nie chodzi jej o zamknięcie sporu, lecz uniemożliwienie wypłacenia tych pieniędzy.

Przypomnijmy – Komisja Europejska domaga się możliwości kwestionowania statusu jednych polskich sędziów przez drugich.

Czyli czegoś kompletnie pozaprawnego. Widać więc, że Bruksela chce co najmniej upokorzyć polski rząd. Nie możemy też abstrahować od jeszcze jednego czynnika. Ursula von der Leyen ma ambicję pozostać na stanowisku w kolejnej kadencji. Niemal w 100 proc. można zagwarantować, że jeśli wykona jakikolwiek gest pojednawczy wobec Polski, to nie będzie miała szans na utrzymanie szefostwa w komisji. Zjednoczona lewica wciąż będzie miała większość i do tego nie dopuści.

Pani przewodnicząca zapomniała już, że to głos polskiego rządu miał znaczenie przy jej wyborze?

Polska uznała wówczas, że von der Leyen będzie mniejszym złem jako szefowa Komisji niż Frans Timmermans. Jednak proces patologizacji Unii postępuje tak szybko, że wchłonął on ją i uczynił jednym ze swoich aktorów. W poprzedniej kadencji mieliśmy Jeana Claude'a Junckera, który mówił nieco bardziej oględnie. Jego następczyni posługuje się dużo ostrzejszym językiem, częściowo dostosowuje się do ogólnej fali, a częściowo tym językiem stara się wybić nad innych. Wie, że w przeciwnym razie system ją wypluje.

> Mamy przywództwo najsilniejszych państw, które nigdzie nie jest zapisane w traktatach i na które przecież żaden kraj członkowski się nie godził. Czy wyobraża pan sobie, że po wyjściu z dominacji sowieckiej mielibyśmy świadomie wstępować do Unii z dominacją niemiecką albo jakąkolwiek inną?

Czy brukselscy decydenci nie obawiają się, że taka postawa przyniesie skutek odwrotny od zamierzonego? Jeśli sytuacja gospodarcza naszego kraju wciąż będzie dobra, to Polacy nie odczują braku środków z KPO. Jednak kolejne dokręcanie śruby może wywołać efekt podobny do włoskiego.

Myślę, że nie biorą tego pod uwagę. Wpadli w pułapkę radykalizmu i obawiają się, że każda forma wyłamania się z głównego nurtu spowodowałaby efekt domina i emancypację kolejnych państw. Muszą więc coraz radykalniej potępiać niepokornych i coraz dobitniej domagać się dalszej centralizacji. Mamy tu podobieństwo do polskiej opozycji, która jakiś czas temu podjęła agresywną retorykę i poniekąd stała się jej ofiarą – teraz może tylko eskalować agresję, przy okazji niszcząc przestrzeń polityczną wokół siebie. Podobnie jest w Brukseli. Jeśli ustąpimy – sądzą – to otworzymy proces niszczący to, co osiągnęliśmy do tej pory. Czasem słyszymy metaforę, według której integracja jest niczym jazda na rowerze – trzeba kręcić pedałami, bo inaczej się upadnie. Do niedawna uważałem, że to idiotyczne porównanie. Ale zdanie nieco zmieniłem. Widzę bowiem, że główny europejski nurt jest absolutnie niepewny dnia ani godziny. Obawia się, że jakakolwiek luka sprawi, iż system zacznie się odkręcać. A skoro tak, to tym bardziej trzeba wszystkich odszczepieńców zastraszyć, zmarginalizować, usunąć.

Gdzie to jeszcze widać poza naciskami na rządy krnąbrnych państw?

Choćby w Parlamencie Europejskim, gdzie partie prawicowe nie są do niczego dopuszczane, nawet do jakichś błahych funkcji, ich neutralne poprawki są z urzędu odrzucane. Lewicowi monopoliści boją się dać sygnał, że jest miejsce dla ludzi o odmiennych poglądach. Jednocześnie nieustannie słyszymy tę buńczuczną i kłamliwą narrację o wspaniałości Unii, zdawaniu przez nią kolejnych egzaminów z solidarności itd. Ilość samochwalstwa w wypowiedziach przywódców unijnych jest odrażająca. Ale wcale nie przykrywa poczucia niepewności, że ta konstrukcja może się okazać nie do uratowania. Jest to bowiem rzeczywiście konstrukcja zasadniczo wadliwa.

Jakie znaczenie dla unijnych decydentów ma postawa polskiej opozycji? We Włoszech nawet lewica oburzyła się na słowa Ursuli von der Leyen. W Polsce podobnie, choć nie tak głośno. Ale nasza największa par-

eprasa.pl 5e28128ada

tia opozycyjna nie widzi nic niestosownego w połajankach szefowej KE wobec wyborców suwerennego państwa. Można by to było tłumaczyć jakąś zbyt daleko posuniętą lojalnością wobec koleżanki z Europejskiej Partii Ludowej, ale już np. prezes PSL (też w EPL) jednoznacznie ostro odniósł się do zachowania von der Leyen.

Wydawało się, że ta polska choroba – na którą cierpimy od kilku wieków – została nieco podleczona po wyzwoleniu się z komunizmu. Że wtedy wszyscy zrozumieliśmy, jak niedobrze jest być pod dominacją zewnętrzną. Okazało się jednak, że całkiem spora część polskiej inteligencji (czy może: półinteligencji, ćwierćinteligencji) nie marzy o niczym innym niż oddaniu Polski pod władanie podmiotu zewnętrznego. Unia Europejska miała być tworem, który zmieni Polaka i polski charakter – ucywilizuje, unowocześni i zastąpi polskość europejskością. Ta tradycja recyklingu polskości też jest stara, a odradzając się dzisiaj, ujawnia całą swoją absurdalność. Słyszymy, że zabory pozwoliły na wielką falę modernizacji Polski, że siłą modernizacyjną był PRL. A na tym tle Unia to niemal pełne spełnienie marzeń modernizatorów: przymusowe unowocześnianie, ale bez łagrów, bez NKWD. Istny raj.

Nie wchodziliśmy do Unii, by w niej współrządzić, lecz by rządzili nami „ci lepsi"?

Tak, a my będziemy się starali do nich jakoś doszusować. Mamy więc kolejną wersję Targowicy. A przecież wręcz odruchowa dla polskiego polityka z opozycji powinna być taka postawa: po prawej stronie mamy przeciwników, nie lubimy ich, chcemy ich pokonać w wyborach, ale zewnętrznych podmiotów nie wolno nam angażować w nasze konflikty. Po pierwsze dlatego, że to niehonorowe i odegrało fatalną rolę w polskiej historii, a po drugie, że gdy my wygramy wybory, to też będziemy chcieli mieć wolną rękę do działania. Jeżeli zaś już teraz zaangażujemy podmioty zewnętrzne w nasze sprawy, to one już zdobytej nad nami władzy nie oddadzą i będą przeszkadzać wszystkim kolejnym rządom. Dlaczego opozycja tak nie myśli? Jej przywódcy, a kiedyś polskiemu premierowi, udało się wywołać wojnę polsko-polską i podnieść do niesłychanego poziomu agresję, zajadłość, chamstwo w debacie publicznej. Napełnili oni język kłamstwem o takim natężeniu, że odrzucili wszelkie rodzaje komunikacji, a nawet samą możliwość skupienia myśli. Co gorsze, wojna wywołana przez Donalda Tuska osłabiła polityczne i moralne odruchy troski o bezpieczeństwo Polski.

> Wpis Sikorskiego Rosja mogła odczytać tak: „Oto istnieje w Polsce duże środowisko, które jest wyraźnie antyamerykańskie i pojednawcze wobec Moskwy, a więc w sytuacji bliskości wojny Polska nie jest jednolita. Można ją zatem rozgrywać różnymi konfliktami". Gdyby stosować standardy nawet niezbyt wygórowane, to ten wpis powinien go wykluczyć z polskiej polityki

Ale to te środowiska mogą za rok wrócić do władzy.

Tak, żyjemy nad przepaścią. Rządzący Polską i ich zwolennicy starają się coś wywalczyć, ale w zasięgu naszego wzroku jest możliwość skrajnie złego scenariusza. Proszę sobie wyobrazić rządy obecnej opozycji. Spowodują wielki ruch w kierunku ubezwłasnowolnienia Polski i kompletnego poddaństwa. To realna perspektywa zagrażająca wręcz kolejną utratą niepodległości. Świadomie używam wielkich słów. Jeśli zmiany w Unii nie zostaną powstrzymane i np. zostanie odrzucona zasada jednomyślności, to będziemy mieć finis Poloniae. I już żadna decyzja nie będzie zapadać w Polsce, a nasz rząd będzie tylko pełnił funkcję namiestnika instytucji unijnych.

Rozmawiamy w środę, ledwie dobę po opublikowaniu przez Radosława Sikorskiego szokującego wpisu na Twitterze przypisującego Stanom Zjednoczonym sprawstwo eksplozji w gazociągach północnych. Czy z tej krótkiej jeszcze perspektywy możemy już szacować szkody, które w ten sposób polityk PO poczynił interesom Polski?

Przykro mi o tym mówić. Poznałem Radosława Sikorskiego dość dawno, lubiłem go i miałem z nim doskonałe kontakty. Kiedy przestał być ministrem w pierwszym rządzie PiS, powszechna była opinia o nim, że nie słynie on, mówiąc delikatnie, z wielkiej mądrości. Jeśli do tego dodamy niesłychaną butę i ponadprzeciętną predylekcję do chamstwa, to będziemy mieli niezbyt budujący obraz człowieka. W czasach gdy był politykiem PiS, te dwie ostatnie cechy trzymał na wodzy, bo nie było dla nich przyzwolenia w partii. Gdy przeszedł do Platformy i Tusk wypuścił na Polskę wszystkie złe moce, odsłoniły się te jego cechy w całej odstręczającej okazałości.

Ale to przecież były szef polskiej dyplomacji, przewodniczący grupy ds. relacji UE – USA w Parlamencie Europejskim, mąż publicystki „The Washington Post".

Pielęgnuje on do wyimaginowanych wrogów i krzywdzicieli tak wielką nienawiść, że robi rzeczy zagrażające bezpieczeństwu Polski. Jego wpis Rosja mogła odczytać tak: „Oto istnieje w Polsce duże środowisko, które jest wyraźnie antyamerykańskie i pojednawcze wobec Moskwy, a więc jest z kim współpracować. W sytuacji bliskości wojny Polska nie jest więc jednolita, można ją zatem rozgrywać różnymi konfliktami". Gdyby stosować standardy nawet niezbyt wygórowane, to ten wpis powinien go wykluczyć z polskiej polityki.

eprasa.pl 5e28128ada

Z niechęci do rodziny

Od lektury popularnych liberalno-lewicowych portali włos może zjeżyć się na głowie. Straszni mężowie, potworne żony, toksyczni rodzice, koszmarne dzieci – taki obraz budują te media. Skąd ta niechęć do rodziny i próba obrzydzenia jej na wszystkie możliwe sposoby?

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Panna młoda z kałachem i krwawe zwłoki męża. Tak wyglądają torty rozwodowe" – oznajmia tytuł na jednym z kobiecych portali. Już w pierwszych słowach tekstu dowiadujemy się, jak wygląda impreza rozwodowa.

„Miejskie legendy o tych imprezach mówią, że podobnie jak w Stanach Zjednoczonych przygotowuje się na nie np. piniatę z figurą byłego męża, którą traktuje się dość brutalnie, np. kijem baseballowym. Do nowej świeckiej tradycji należy z kolei taszczona przez pół miasta kartonowa figura znanego, przystojnego aktora (Clooneya, Goslinga), z którym się fotografuje »odzyskana panna«. Okazuje się, że takie imprezy stają się także popularne w Polsce. Tort rozwodowy proponowany na stronie cukierni artystycznej Anna w Katowicach nie pozostawia złudzeń – nie tyle liczy się w nim smak, ile przybranie. A owym przybraniem jest panna młoda – w białej sukni, z karabinem pod cukrową pachą, która stoi w triumfalnej pozie nad klęczącym mężczyźnie w stroju pana młodego. Jego odstrzelona, łysa głowa tonie we krwi. Napis głosi: »Życie zaczyna się po rozwodzie«". Po lekturze takiego artykułu niejeden młody człowiek trzy razy się zastanowi, zanim zamówi klasyczny tort weselny. Po co, skoro może się skończyć jak w „Teksańskiej masakrze piłą mechaniczną"?

MAŁŻEŃSTWO? TYLKO NIE TO!

Rzućmy okiem na inny popularny portal. Tytuł krzyczy: „Przespała się z ty-

eprasa.pl 5e28128ada

Fot. Shutterstock

siącem żonatych mężczyzn. »Uważam się za profesjonalną kochankę«". Któż nie przeczyta tekstu nęcącego takim tytułem? „»Gdybym chciała umówić się z boleśnie przeciętnym mężczyzną, po prostu odpaliłabym Tindera« – stwierdza Gweneth Lee, 50-latka, która z bycia profesjonalną kochanką, jak to określa, uczyniła swój sposób na życie. »Na randkowej scenie jest tak wielu żonatych mężczyzn, z którymi można wejść w romans. A w dodatku wrzesień to na to najlepszy okres« – wyznaje bez ogródek w social mediach. Lee otwarcie dzieli się z fanami swoim specyficznym stylem życia" – czytamy. I tu już niejednej potencjalnej przyszłej pannie młodej ma przyjść do głowy taka myśl: po co wychodzić za mąż, skoro można czerpać z życia garściami?

I zaraz z innego portalu dowiadujemy się, że nawet jeśli klamka już zapadnie, to jeszcze nic straconego. „Kocham męża, ale i tak nie zostawię kochanka" – informuje w liście do redakcji czytelniczka. Następnie wyjaśnia: „Nasze małżeństwo straciło swój urok. On był poirytowany wspólnym czasem. Ja nie czułam już tego podniecenia. On szukał pretekstów, żeby wysłać mnie znowu do rodziców. Płakałam przez wiele nocy. Czułam się bezradna. To trwało aż do momentu, kiedy spotkałam JEGO".

Nieco przygnieciona tą ilością negatywnego przekazu na temat instytucji małżeństwa zapytałam Dorotę Bojemską, szefową Rady Rodziny przy Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, jak rozumie codzienny wysyp tego typu treści.

– Czytając niektóre portale, które poruszają tematykę rodziny, ma się wrażenie, że albo te teksty piszą ludzie skrzywdzeni bądź wykolejeni w sensie wyobraźni, jakie są faktyczne troski i dylematy współczesnych rodzin, albo jest to krecia robota ludzi z premedytacją sączących antyrodzinne treści. Tak czy owak, polscy rodzice, w tym szczególnie kobiety, bo to one w sensie biznesowym są odbiorcami tych treści, są traktowane jak osoby głupie, nieświadome i pozbawione potrzeby głębszych relacji. W część publikacji jest wpisany plan demoralizacji. A wydumane problemy, o których można tam przeczytać, mają chyba ambicje kreowania potrzeb, a nie mierzenia się z realnymi problemami. Ogólnie czyta się to jak niezły kabaret – mówi Bojemska, która zauważa, że zakaz demoralizacji jest wpisany do polskiej konstytucji.

ZDEMORALIZOWAĆ

I faktycznie w art. 72 traktującym o zasadzie dobra dziecka czytamy: „Rzeczpospolita Polska zapewnia ochronę praw dziecka. Każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją". Biorąc pod uwagę powszechny dostęp młodych ludzi do takich treści, można się zastanawiać, czy ktoś o tej zasadzie jeszcze dziś pamięta.

– Od dawna w liberalnych mediach można dostrzec próbę przeforsowania myślenia o rodzinie i małżeństwie jako o miejscach patologii społecznych i problemów, od których można uciec, rozstając się lub najlepiej rozwodząc. To zjawisko obserwujemy w mediach, ale również w nowoczesnych platformach streamingowych oraz produkcjach filmowych – zauważa Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny. – Współczesny świat, agenda LGBT+ i rewolucja kulturowa dążą do redefinicji takich pojęć jak rodzina czy małżeństwo i aby skutecznie te cele zrealizować, trzeba wykoślawić, zmienić wizerunek i postrzeganie tych fundamentalnych dla społeczeństwa wartości. Dlatego używa się do tego mediów. Tam pod pozorem informowania i przekazywania ciekawostek promuje się rozwiązłość, tzw. mentalność rozwodową, i opowiada o patologiach rodzinnych (nierzadko fikcyjnych). W ten sposób wykrzywia się obraz rodziny i zmienia ludzką mentalność, podkopując wagę i znaczenie rodziny dla życia społecznego – dodaje Ozdoba. – W liberalnych mediach regularnie możemy znaleźć pochwalne przekazy dla jednego z małżonków, który po wielu latach małżeństwa wreszcie „odnalazł własne ja" i odszedł do kochanka, ponieważ nie mógł bez niego żyć. O rozwodach mówi się jak o długo wyczekiwanym nowym otwarciu i podkreśla, że to rzekomo czas radości, powrotu na matrymonialny rynek, a sam moment rozwodu często celebruje się w gronie znajomych. W tych medialnych przekazach brakuje choćby krzty krytycyzmu dla tego rodzaju postaw. Nigdy nie zwraca się uwagi na tragedię, jaką jest rozwód, rozpad rodziny i przede wszystkich ból, który odczuwają dzieci. Liberalne media nigdy nie zachęcają również do tego, by walczyć o rodzinę, nawet mimo wielu trudności. Trywializują treść przysięgi małżeńskiej i prowadzą do podejścia „nie ten, to inny" lub „nie ta, to inna" – uważa Ozdoba.

Z tą oceną zgadza się psychoterapeutka Sabina Zalewska. – Chodzi o to, żeby przekonać czytelników, że rodzina nie jest warta tego, żeby o nią walczyć. Życie ma być lekkie i przyjemne, pozbawione trosk. Skoro w małżeństwie się nie układa, to po co o nie walczyć. Złe emocje

eprasa.pl 5e28128ada

i porażki są naturalne, wszyscy mają do nich prawo, bo jest wolność. Z większości badań przeprowadzanych w Polsce wynika, że dla młodych ludzi rodzina jest ważna i jest wartością. Ale gdy z drugiej strony pyta się młodych ludzi (18–25 lat), czy chcą być w stałych związkach, to raczej ich nie planują, bo po co, skoro i tak wszystko się rozpadnie. Oni z góry zakładają, że to nie przetrwa. A dlaczego? Bo taki obraz wyłania się z mediów. Młodzi myślą: „To się nie uda, nikomu się nie udaje, wszyscy się rozwodzą po kilka razy. Po co się więc męczyć?". Antypromocja rodziny i usprawiedliwienie słabości wylewa się z mediów. Praca nad sobą nie jest potrzebna, praca nad związkiem nie jest potrzebna. Trzeba dać upust emocjom. A przecież kryzysy spotykają nas po to, byśmy wyciągali z nich lekcję, dokonywali autorefleksji, uczyli się na błędach. A media mówią: „To nie był błąd, innym się nie udaje i tobie się nie udało" – tłumaczy Zalewska.

Te słowa potwierdzają dane CBOS z 2019 i 2022 r. Aż 80 proc. Polaków wskazuje, że to rodzina daje szczęście. Zdaniem prawie połowy (46 proc.) idealna liczba dzieci w rodzinie to dwoje, a co piąty badany (22 proc.) twierdzi, że chciałby mieć troje dzieci. Prawie połowa Polaków ma niespełnione aspiracje pod względem liczby dzieci (41 proc.) i chciałaby mieć ich więcej, niż ma obecnie! Jedynie 7 proc. w ogóle nie myśli o rodzicielstwie. Średnio Polacy chcieliby mieć 2,28 dziecka.

Z kolei z raportu „Razem? Tak. Ślub? Niekoniecznie. A może leasing?", przeprowadzonego przez Centrum Profilaktyki Społecznej i Wyższej Szkoły Biznesu i Przedsiębiorczości w Ostrowcu Świętokrzyskim, wynika, że młodzi Polacy chętnie zamieszkują razem – żyją bez podpisów i przysięg. Co trzeci młody człowiek (w wieku 18–30 lat) chociaż chce trwałego związku, to nie zamierza brać ślubu – świeckiego ani kościelnego. Prawie 31 proc. kobiet i mężczyzn deklaruje, że na pewno nie weźmie ślubu kościelnego, a kolejne 16,5 proc. nie jest tego jeszcze pewne. Ale blisko 55 proc. z nich myśli o tym, by w przyszłości – jeśli ich obecne związki się spełnią – sformalizować relację w formie świeckiej lub sakramentalnej. Najwięcej młodych ludzie deklarujących niechęć do związków formalnych mieszka w wielkich aglomeracjach, najmniej w tradycyjnych wiejskich i małomiasteczkowych regionach Małopolski, Warmii i Mazur oraz Podlasia.

CELOWA ROBOTA

– Szerzenie i promowanie w mediach nieodpowiedzialnych postaw ma jedynie stymulować osoby, które takie treści czytają, do podejmowania własnych tragicznych decyzji. To wspieranie jawnej destrukcji rodziny i małżeństwa. Przedstawianie ich jako miejsc patologicznych i wręcz niebezpiecznych. Niestety, prym w takich przekazach wiodą nie tylko media liberalne, ale również te, które z zasady są przeznaczone dla kobiet – dorzuca prezes Centrum Życia i Rodziny.

> W dzisiejszych czasach, gdy statystycznie w skali kraju rozpada się co trzecie małżeństwo, powinniśmy raczej czytać o wyjątkowych przykładach wierności i miłości. O rodzinie jako miejscu szczególnego bezpieczeństwa i dobrej inwestycji na przyszłość – twierdzi Paweł Ozdoba

Wróćmy więc na nasze portale i zobaczmy, co tam znajdziemy o dzieciach, rodzeństwie, rodzicach. „Manipuluje, skupia się wyłącznie na sobie. Jak żyć z toksyczną córką?" – pyta jeden z nich. „Mój brat najpierw odebrał mi miłość rodziców, a po latach cały majątek, żonę i córki. Ten człowiek to prawdziwy potwór" – straszy inny. „Mama symulowała chorobę, żeby odciąć mnie od ludzi. Żądała całodobowej opieki, więc nie miałam czasu na miłość" – przeraża kolejny tytuł. No i kto po takiej lekturze chciałby wdepnąć w koszmar, jakim jest rodzina?

O tym, że taki przekaz to celowa robota, jest przekonany Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty. – Podzieliłbym środowisko dziennikarskie proponujące takie treści na dwie grupy. Pierwsza to pewnie ludzie pokrzywdzeni, którzy sami niezbyt dobrze czują się w rodzinach, którzy mają wewnętrzne przekonanie, że jak rodzinę się zniszczy i zdezawuuje, to wówczas świat będzie piękniejszy. Jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi pokazują, że tak nie będzie. Jednak druga grupa ma świadomość celowego działania, wpisującego się w szerszą, realizowaną od lat operację. To wręcz zaangażowani ideolodzy, którzy mocno trzymają się tego, co pisał Marks w Manifeście komunistycznym o tym, że rodzinę trzeba zlikwidować, że niezbędna jest tzw. wspólnota żon, czyli likwidacja instytucji małżeństwa. Rodzina obok religii jest głównym elementem, który blokuje rewolucję komunistyczną. Jak zniszczy się religię i rodzinę, wówczas rewolucja komunistyczna i świetlana przyszłość pod wodzą Marksa i potomnych nastąpią – podsumowuje Grabowski.

– W dzisiejszych czasach, gdy statystycznie w skali kraju rozpada się co trzecie małżeństwo, powinniśmy raczej czytać o wyjątkowych przykładach wierności i miłości. O rodzinie jako miejscu szczególnego bezpieczeństwa i dobrej inwestycji na przyszłość. Bo niezależnie od lewicowej propagandy tak właśnie jest – rodzina to piękna i wyjątkowa inwestycja, która wymaga wiele ciężkiej pracy, ale ostatecznie okazuje się, że było warto – postuluje cytowany już Paweł Ozdoba. – Wspieranie rodziny jest niezwykle cenne, także biorąc pod uwagę poziom dzietności i kryzys demograficzny. Bez małżeństw i trwałych rodzin nie wyjdziemy z tej zapaści. Dlatego uważam, że promocja tzw. mentalności rozwodowej i poglądów, że rodzina to miejsce wielu społecznych patologii to jawna dywersja – podkopywanie interesu społecznego i narodowego – dodaje prezes Centrum Życia i Rodziny.

Czy ten obraz rodziny uda się odkłamać? Taki powinien być m.in. cel mediów konserwatywnych.

eprasa.pl 5e28128ada

Paszkwilem w arcybiskupa

„Tygodnik Powszechny", dla którego bohaterami są m.in. eksksiądz gej Krzysztof Charamsa, Strajk Kobiet i Obywatele RP, zaatakował abp. Marka Jędraszewskiego. Kolejny raz. Odsiewając insynuacje od konkretów, widać wyraźnie, że redakcji najbardziej przeszkadza katolickość krakowskiego metropolity, konsekwentne trzymanie się nauczania Kościoła i jednoznaczna obrona rodziny, dzieci nienarodzonych i katolickiej postawy w zawirowaniach współczesności

MARZENA NYKIEL

„Kościół jest zamknięty" – krzyczy okładka „Tygodnika Powszechnego", pytając: „Kim jest arcybiskup Jędraszewski?". Aż troje redaktorów ruszyło do piór, by stworzyć paszkwil na swojego metropolitę. Sięgają do archiwalnych tekstów publicystycznych opublikowanych przez ks. Jędraszewskiego w „Przewodniku Katolickim" w latach 90. i ze zgorszeniem przytaczają ich zawartość. „Jego zdaniem po upadku komunizmu, niemal wcielonego zła, przychodzą inne zagrożenia:

eprasa.pl 5e28128ada

Zachód (krytykuje hasło »powrotu do Europy«) i skojarzony z nim humanizm świecki czy »humanitaryzm bez Boga«. Bierze na warsztat kolejne »cele«, np. ówczesnego rzecznika praw obywatelskich Tadeusza Zielińskiego za jego postawę w sporze o aborcję. Pod koniec 1992 r. pisze o AIDS – homoseksualizm jest brakiem ładu moralnego, który zagraża cywilizacji. Homoseksualistów porównuje do narkomanów. »Gazetę Wyborczą« – do biuletynów PZPR".

W tekście pojawiają się też fragmenty wypowiedzi krakowskiego metropolity, które redakcja najwyraźniej uznaje za skandaliczne, zwłaszcza te o rodzinie, LGBT+ i postprawdzie. Co w nich oburzającego? Dlaczego rzekomo katolicka gazeta tak piekli się z powodu katolickich treści?

- O rodzinie, 2012: „Rodzina w jej kształcie, w jej rozumieniu jako podstawowej struktury społecznej, jest zagrożona, odrzucana i lekceważona. Stąd te prawdziwe nieszczęścia, które trapią także polskie społeczeństwo: wolne związki, rozwody, podważenie najbardziej podstawowej roli mężczyzny i kobiety, ucieczka od dzieci, dla których nie chce się mieć czasu, i ucieczka przed dziećmi przez rzucanie się w otchłań antykoncepcji i aborcji".

- O LGBT+, 2019: „Czerwona zaraza po naszej ziemi na szczęście nie chodzi. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska i bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha – neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa".

- O protestach zwolenników aborcji, 2016: „To, co się dzieje, te czarne marsze są przerażającą współczesną manifestacją cywilizacji śmierci. Chce się dzisiaj bronić anty-Ewangelii. Można by powiedzieć, czarnej Ewangelii".
- O postprawdzie, 2017: „Czas, w którym przyszło nam żyć, jest czasem ogromnego kryzysu kulturalnego. W którym nie ma miejsca na prawdę. Nie bez powodu Uniwersytet w Oksfordzie ogłosił, że słowem kluczem do zrozumienia naszych czasów jest postprawda. Nie liczą się żadne argumenty obiektywne. Nie liczy się żadne uczciwie dążenie do prawdy. Ważne są tylko narracje odwołujące się do emocji, do ludzkich uprzedzeń, lęków".

W sumie nie dziwi fakt, że na takie słowa katolickiego biskupa „Tygodnik Powszechny" reaguje jak diabeł na święconą wodę. Od lat trudno znaleźć na jego łamach choć jedną istotną sprawę, w której redakcja stałaby po stronie Kościoła i razem z nim broniła człowieka przed destrukcyjnymi zagrożeniami współczesności. Promowany jest skrajny relatywizm i spychanie nauczania w nurt lewicowo-liberalny. Mimo to tygodnik z premedytacją używa przymiotnika „katolicki" i uzurpuje sobie prawo do nieomylności, otwierając czytelników na zdeprawowaną rzeczywistość.

> Trudno oprzeć się wrażeniu, że trwa operacja niszczenia arcybiskupa. Komuś najwyraźniej przeszkadza nie tylko katolickość abp. Jędraszewskiego, ale także to, że przyszedł spoza Krakowa i nie liczy się z utartymi dotąd układami

KATOLEWICA W NATARCIU

Nie ma granicy, której „Tygodnik Powszechny" nie byłby w stanie przekroczyć w swojej misji lewicowania Kościoła. Doskonale wtóruje mu w tym „Więź", której redaktorzy niezwykle aktywnie atakują abp. Jędraszewskiego.

W 2015 r., „Tygodnik Powszechny" osiągnął taki poziom zapiekłości, że sięgnął po ks. Krzysztofa Charamsę z Watykanu, by uderzyć w polskich biskupów za niezdolność kroczenia z duchem czasu. Tuż po publikacji numeru bohater z okładki poszedł za tym duchem tak dynamicznie, że wystąpił z Kościoła, ogłaszając na wspólnej konferencji prasowej ze swoim wieloletnim partnerem, że od lat jest czynnym homoseksualistą. Wypromowany przez „TP" watykański duchowny już po przejściu do stanu świeckiego jeździł po Polsce z wykładami, na których przekonywał, że marsz dla życia i rodziny to marsz przeciwko prawom człowieka, Jan Paweł II i Józef Ratzinger są największymi homofobami, którzy zatrzymali Kościół w rozwoju, a św. Teresa z Avila była biseksualna.

W październiku 2019 r., gdy polski Kościół przeciwstawiał się tęczowej indoktrynacji, a ogromna część rodziców oczekiwała prawnej ochrony dla swoich dzieci, „TP" wskazywał na nowe wzorce kulturowe i zachęcał do otwartości na środowiska LGBT+. W przeddzień tzw. tęczowego piątku, gdy ogromna część rodziców zastanawiała się, jak uchronić swoje dzieci przed indoktrynacją, miesięcznik „Więź" na swojej stronie internetowej opublikował list ewangelickiego duchownego, dziękującego szkole za zorganizowanie dnia promującego homoseksualizm.

W momencie gdy w Polsce rozgrywała się batalia o życie dzieci nienarodzonych, „TP" stanął po stronie Strajku Kobiet. W listopadzie 2020 r. na okładce pojawiła się Dorota Segda ze swoim proaborcyjnym przesłaniem: „To, czego dopuścił się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożałują".

W lipcu 2020 r. na łamach „TP" ukazał się artykuł poświęcony wróżbitom i ich pracy w czasie pandemii koronawirusa. W sumie można docenić, że redakcja nie poszła w ślad „Gazety Wyborczej" i nie trapiła się problemami z brakiem zatrudnienia prostytutek podczas lockdownu.

eprasa.pl 5e28128ada

Jakieś styczne z katechizmem Kościoła katolickiego? Społeczne oburzenie na taką postawę trwa od lat. Redakcja „TP", nieustannie atakując kurię, żerowała na swojej historii, autorytecie swoich założycieli i za grosze wynajmowała od kurii kamienicę przy ul. Wiślnej w Krakowie. Abp Jędraszewski położył temu kres.

WYPROWADZKA Z KURIALNEJ KAMIENICY

W styczniu 2021 r. „Tygodnik Powszechny" ogłosił, że musi szukać nowej siedziby. Archidiecezja krakowska wypowiedziała mu umowę najmu lokalu przy ul. Wiślnej 12. Wielu odetchnęło z ulgą, ale stronnicy „TP" i „Więzi" przystąpili do jeszcze ostrzejszego ataku. Każde wystąpienie metropolity było poddawane analizie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że trwa operacja niszczenia arcybiskupa. Komuś najwyraźniej przeszkadza nie tylko katolickość abp. Jędraszewskiego, ale także to, że przyszedł spoza Krakowa i nie liczy się z utartymi dotąd układami.

KANONADA ZARZUTÓW

W ostatnim numerze redakcja „Tygodnika Powszechnego" ogłosiła paszkwil w odcinkach. Trudno w nim odróżnić prawdę od pomówień. Pojawiają się anonimowe wypowiedzi, zasłyszane podejrzenia, wydumane historie, wstrząsające zdarzenia z życia innych kapłanów oraz zarzuty, które dawno zostały odparte i wyjaśnione. „Wysłanie księdza podejrzewanego o przestępstwa seksualne do pracy w domu pomocy społecznej. Sojusz z władzą. Czystki w kolejnych kuriach. Co historia Marka Jędraszewskiego mówi o Kościele?" – pytają autorzy tekstu, po czym karmią czytelnika magmą własnych niechęci. A co ten tekst mówi o Kościele „Tygodnika Powszechnego"? Z pewnością wiele.

Jednym z zarzutów wobec metropolity jest nieopublikowana synteza synodalna archidiecezji krakowskiej, w której według dziennikarzy Kościół jawi się jako instytucja ksenofobiczna, homofobiczna, niekierująca się postawą miłości. W braku publikacji „TP" węszy spisek. Jednak z naszych informacji wynika zgoła coś innego. Dokumentacja synodalna jest obszerna i trwają nad nią prace. Planowane są też w najbliższym czasie spotkania z kapłanami w kwestii zebranych materiałów synodalnych. Działania kurii krakowskiej nie ograniczały się jedynie do przejrzenia ankiet. Abp Jędraszewski spotykał się w wiernymi, m.in. z przedstawicielami duszpasterstw akademickich, o czym kuria informowała na bieżąco. – Jesteśmy przekonani, że synod, który nadal trwa w Kościele powszechnym, przyniesie nowy impuls do pracy duszpasterskiej i zaangażowania osób świeckich w życie parafii. W archidiecezji chcemy etap diecezjalny uroczyście zakończyć przekazaniem konkretnych wskazówek kapłanom i wszystkim wiernym. Data i miejsce zostaną przekazane po konsultacjach z duszpasterzami – mówi nam ks. Łukasz Michalczewski, dyrektor biura prasowego archidiecezji.

> Informacje są nieprawdziwe i przedstawiają tendencyjną teorię o zamknięciu Kościoła krakowskiego. Rzeczywistość jest inna – mówi o ostatniej publikacji „Tygodnika Powszechnego" ks. Łukasz Michalczewski, dyrektor biura prasowego archidiecezji

Wśród zarzutów przeciwko abp. Jędraszewskiemu jest także ten, że w Łodzi wspierał on inicjatywę powstania pomnika upamiętniającego ofiary katastrofy smoleńskiej oraz że utrzymuje kontakty z ludźmi, z którymi współpracował w poprzedniej diecezji. Szeroko jest też opisana historia księdza, który miał molestować niepełnosprawną pacjentkę domu opieki. Wiadomo jednak, że kuria podjęła stosowne kroki po otrzymaniu tej informacji, przeciwko księdzu toczy się postępowanie kanoniczne i prokuratorskie. – Wszystkie sprawy zawsze są załatwiane zgodnie z literą prawa zarówno kościelnego, jak i państwowego. Tak było i w tej sytuacji – podkreśla rzecznik kurii. Odnosi się także do okładkowego zarzutu zamknięcia Kościoła i uczynienia z niego twierdzy. – Przedstawione informacje są nieprawdziwe i prezentują tendencyjną teorię o zamknięciu Kościoła krakowskiego. Rzeczywistość jest inna, co potwierdza chociażby kalendarium metropolity oraz setki audiencji, na które ksiądz arcybiskup poświęca wiele godzin. Nauczanie metropolity jest mocno zakorzenione w Biblii i nauczaniu Kościoła. Paradoksalnie zdjęcie, które otwiera artykuł, jest zaczerpnięte z obrzędu Niedzieli Palmowej. To właśnie arcybiskup wprowadził ten ryt w archidiecezji – otwarcia drzwi dla wiernych – to przez swoją posługę w diecezji robi arcybiskup – mówi nam ks. Łukasz Michalczewski.

Gdyby wycisnąć zawartość tekstu i przytomnie ocenić, co jest faktycznym działaniem metropolity krakowskiego, co jest rzeczą od niego zależną, a co jest jedynie przypuszczeniem, niepokojem, mitem lub atmosferą, widać jasno, że najbardziej uwiera autorów katolicki światopogląd arcybiskupa, jego odważna, bezkompromisowa postawa, niezgoda na liberalizowanie nauczania Kościoła, brak podatności na wewnętrzne, diecezjalne gierki i sprzeciw wobec szkodliwej idei tzw. Kościoła otwartego. Warto więc na koniec przytoczyć słowa śp. ks. bp. Stanisława Stefanka TChr, który określał ten twór jednoznacznie: „Kościół otwarty to jedno z największych kłamstw. To nie jest jakieś drobne przekłamanie. To próba skrótowego uderzenia w samą istotę Kościoła i rozbicia go od środka. To jest wyjęcie nośnego filaru, na którym jest zwornik trzymający całą strukturę Kościoła. Jest to wyjątkowo niebezpieczne środowisko – zadufane w sobie, zadowolone ze swojej aktywności społecznej i oczekujące poklasku".

eprasa.pl 5e28128ada

Polska się zmienia. Co cieszy, co smuci

W ponad jednej piątej wszystkich gmin w Polsce odsetek osób w wieku poprodukcyjnym (65+) jest wyższy niż 20 proc. Postarzała się również grupa aktywnych zawodowo. W ciągu dekady staliśmy się jednak zamożniejsi – o czym świadczy wysoki wzrost liczby mieszkań i gwałtowna rozbudowa przedmieść Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania i Trójmiasta. Wyludniają się za to gminy na wschodzie kraju i Pomorzu Zachodnim

MACIEJ WALASZCZYK

Główny Urząd Statystyczny opublikował właśnie kolejny raport z przeprowadzonego w ub.r. Narodowego Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań. To już kolejna odsłona wyników ubiegłorocznego spisu przeanalizowanych przez statystyków. Na dużym poziomie szczegółowości pozwala on na obserwację zmian zachodzących w społeczeństwie. A te zdają się znaczące i nieodwracalne. Wrześniowa analiza dotyczy m.in. zmian, które zaszły w okresie dekady, w liczbie ludności na poziomie miast i gmin czy liczbie budynków i mieszkań. Dane zebrane podczas spisu w 2021 r. nie obejmują jednak napływu obywateli Ukrainy, którzy masowo uciekli do Polski po wybuchu wojny. Nie wiadomo dokładnie, jaka część z nich planuje zostać nad Wisłą na stałe.

Jest nas mniej

Przede wszystkim notujemy ciągły spadek liczby ludności i jej widoczne starzenie się. Już wyniki spisu zaprezentowane podczas III Kongresu Demograficznego w styczniu br. pokazały, że liczba Polaków się zmniejsza. Obecnie Polskę zamieszkuje ponad 38 mln ludzi i w porównaniu z ostatnim spisem z 2011 r. jest nas o 476 tys. mniej. A to oznacza średni ubytek nieco ponad 30 tys. osób rocznie. Kobiety, stanowiące prawie 52 proc. ogółu społeczeństwa, nieco więc liczebnie przeważają nad mężczyznami. Wyludniają się głównie gminy z tzw. ściany wschodniej, a w szczególności województwa: podlaskie, warmińsko-mazurskie, lubelskie. Te niekorzystne zmiany są z pewnością wyzwaniem dla państwa i wielu samorządów.

Jesteśmy coraz starsi

W ciągu ostatnich 10 lat udział mieszkańców w wieku produkcyjnym spadł aż o 5,1 proc. Do tego jest obserwowany większy spadek ludności w wieku produkcyjnym mobilnym (do 44. roku życia) niż udział w wieku produkcyjnym niemobilnym (46–65 lat). Oznacza to, że co piąty mieszkaniec Polski ma ponad 60 lat. To zmiana najbardziej istotna. Jak mówi Dominik Rozkrut, prezes Głównego Urzędu Statystycznego, te wskaźniki stanowią bardzo poważne wyzwanie dla polityki społecznej państwa. Już dzisiaj trzeba myśleć, jak zorganizować w przyszłości opiekę nad osobami samotnymi po 80. roku życia. W 2011 r. odsetek osób w wieku 65+ był wyższy niż 20 proc. w zaledwie 51 gminach (2 proc.), które leżały przede wszystkim w województwach podlaskim i lubelskim. Po 10 latach ich liczba wzrosła 10-krotnie. W 2011 r. liczba gmin, w których udział

eprasa.pl 5e28

osób w wieku powyżej 65 lat nie przekraczał 10 proc., wynosiła aż 221. 10 lat później takich gmin pozostało zaledwie siedem. Najmłodsze demograficznie są Pomorze i Małopolska, gdzie odsetek zamieszkujących tu młodych Polaków jest najwyższy. Jednocześnie w tych regionach było stosunkowo niewiele gmin z wysokim odsetkiem osób w wieku 65+.

Pod koniec lipca GUS publikował dane spisowe na temat zatrudnienia. Choć liczba bezrobotnych jest mniejsza, aktywnych zawodowo wyższa, to widać starzenie się grupy ludzi pracujących. I tak liczba osób aktywnych zawodowo w wieku 55 lat i więcej zwiększyła się o 7,2 proc., a odsetek osób pracujących do 34. roku życia spadł o 9 proc. W porównaniu z 2011 r. o 10 proc. wzrosła liczba pracujących mężczyzn, a kobiet aż o 18,4 proc.

Cztery województwa tętniące życiem

Tylko w czterech województwach rośnie liczba ludności. W pozostałych spada. Relatywnie dobrą sytuacją demograficzną charakteryzują się obszary położone w województwach: małopolskim, pomorskim, wielkopolskim oraz centralna część województwa mazowieckiego. Mazowsze jest zresztą największym województwem, które zamieszkuje 14 proc. ludności całego kraju. Chodzi tutaj o dynamicznie rozwijająca się aglomerację warszawską wraz z przyległymi gminami. To tutaj rozbudowują się osiedla, inwestują deweloperzy, budowane są nowe domy, drogi, szkoły. Ogólnie największy przyrost mieszkań odnotowano właśnie w województwach: pomorskim (19,8 proc.) i małopolskim (19,3 proc.), a także w województwach: wielkopolskim, dolnośląskim i mazowieckim – o ponad 17 proc. Na tle pogrążonej raczej w stagnacji ściany wschodniej wyróżnia się pozytywnie województwo podkarpackie, w którym odsetek gmin o znacznym spadku ludności jest stosunkowo niewielki. A będące niegdyś przemysłową i ludnościową potęgą województwo śląskie, choć wciąż stanowi dużo, bo 11,6 proc. ogółu ludności kraju, sukcesywnie się jednak kurczy.

476 tys.

– o tyle zmniejszyła się liczba Polaków w latach 2011–2021

Większość regionów w stagnacji

W większości województw odnotowano spadek liczby ludności. Spore ubytki mieszkańców (6–7 proc.) dotyczą województw: śląskiego, świętokrzyskiego, kujawsko-pomorskiego i lubelskiego. Łącznie dotyczą one 1776 gmin, w tym w 397 z nich powyżej 10 proc. Większość gmin, które odnotowały tak duży spadek populacji, znajduje się na terenach tzw. ściany wschodniej. Najwięcej jest ich w województwie podlaskim, w południowej części województwa lubelskiego, na obszarach przy granicy z Rosją, we wschodniej części Pomorza Zachodniego oraz na terenach górskich w południowej części kraju.

Jednak to województwo świętokrzyskie wyludnia się najszybciej. Przez ostatnią dekadę ubyło blisko 7 proc. jego mieszkańców. Bardziej zaludnione są tu wsie niż miasta, 55 proc. mieszkańców Kielecczyzny mieszka na terenach wiejskich. Jednak tamtejsze społeczeństwo szybko się starzeje, jest coraz więcej emerytów, rodzi się mało dzieci. Również najmniej nowych budynków przybyło w województwie świętokrzyskim, w dalszej kolejności w lubelskim, opolskim i podlaskim.

Najmniejszymi województwami pod względem liczby mieszkańców są opolskie i lubuskie. Zamieszkuje je w obu przypadkach poniżej miliona mieszkańców i wciąż ich ubywa. Jeśli chodzi o konkretne gminy, to rekordzistami są Dobrzeń Wielki (woj. opolskie), gdzie w ciągu dekady ubyło 36,2 proc. mieszkańców, i w Dubicze Cerkiewne (woj. podlaskie) – 21,7 proc.

5,5 mln

– to liczba mieszkańców województwa mazowieckiego, największego w kraju. W dalszej kolejności są województwo śląskie liczące 4,4 mln mieszkańców i wielkopolskie – 3,5 mln

Miasta sukcesu

Ogólnie obserwowany jest spadek populacji większości głównych ośrodków miejskich. Spośród 37 miast liczących powyżej 100 tys. mieszkańców jedynie w ośmiu wystąpił wzrost liczby ludności. Wśród nich są miasta wojewódzkie, takie jak Zielona Góra, Warszawa, Rzeszów, Wrocław, Kraków, Gdańsk, Opole i Białystok. Warszawa przekroczyła barierę 1,86 mln mieszkańców.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl

To o 66 tys. więcej osób, niż zakładano. Na drugim miejscu plasuje się Kraków. Druga stolica Polski przekroczyła pod względem liczby ludności barierę 800 tys. mieszkańców i liczy o prawie 20,7 tys. osób więcej, niż się spodziewano. W ciągu ostatnich 10 lat Wrocław awansował z czwartego na trzecie miejsce pod względem liczby ludności w Polsce, zrzucając z podium Łódź. Przyrost liczby mieszkańców w latach 2011–2021 wyniósł 6,8 proc., co w liczbach bezwzględnych oznacza zwiększenie się liczby mieszkańców z 630 tys. do prawie 673 tys. Znaczne przyrosty liczby mieszkańców odnotowano też w trzech gminach aglomeracji wrocławskiej: Czernicy (wzrost o 79,1 proc.!) oraz Siechnicach i Długołęce (po 70 proc.). Te same gminy znalazły się też w zestawieniu obszarów o największym przyroście liczby nowych budynków mieszkalnych. W samej Czernicy liczba mieszkań zwiększyła się ponad dwukrotnie. Na mapie Polski urosły także Poznań (ponad 546,8 tys. mieszkańców) i Gdańsk (ok. 486 tys. mieszkańców). Jednak największy przyrost liczby mieszkańców od 2011 r. wśród miast wojewódzkich zanotowała Zielona Góra, bo o 17 proc. Coraz częściej są również nadawane nowe prawa miejskie.

Rozbudowujące się przedmieścia

Ludność migruje i rozlewa się poza miasta, na tereny bezpośrednio je okalające. To jedno z najważniejszych zjawisk ostatniej dekady. Oznacza ono również wzrost zamożności i świadczy o poprawie sytuacji ekonomicznej społeczeństwa. Miasto opuszczają nie tylko młodzi ludzie, ale po prostu ci, którym się powiodło. Budują domy w sąsiednich, spokojnych gminach wiejskich, kosztem dłuższych dojazdów do pracy. GUS zwraca uwagę, że proces suburbanizacji dotyczy również miast średniej wielkości. Tak jak we wspomnianych gminach podwrocławskich największym przyrostem ludności charakteryzowały się przede wszystkim gminy położone w bezpośrednim sąsiedztwie największych miast, co wynika z siły przyciągania wielkich aglomeracji jako atrakcyjnych rynków pracy. Tak jest m.in. w powiecie olsztyńskim, gdzie liderem jest gmina Stawiguda, której ludność powiększyła się niemal dwukrotnie. To także gminy poznańskie, jak Komorniki, Dopiewo, Rokietnica, wpisujące się we wspomnianą tendencję. Rozbudowa przedmieść to oczywiście zjawisko bardzo widoczne wokół Warszawy i okalających ją gmin. Również w województwie pomorskim nastąpił wzrost liczby mieszkańców wsi, co oznacza coraz częstsze przeprowadzki z Trójmiasta na jego przedmieścia. Wyróżniają się na tym tle gmina Kosakowo (o 89,5 proc. w ciągu dekady) i Pruszcz Gdański (69,3 proc.) Również drastyczne wyludnienie się ludności Helu wiąże się z wyprowadzaniem części jego mieszkańców do Trójmiasta lub do gmin ościennych.

W 2021 r. na wsi mieszkało ponad 15,2 mln ludzi. To 40,2 proc mieszkańców kraju i – co interesujące – jest tu notowany wzrost o ok. 180 tys. osób. Jednak są to głównie pracujący w miastach, którzy zdecydowali się wyprowadzić na przedmieścia, co również jest efektem siły przyciągania wielkich aglomeracji.

15,2 mln

– tyle mamy mieszkań w Polsce. To o 1,7 mln więcej niż 10 lat temu

Miasta regresu

Miasta, które w latach 2011–2021 straciły najwięcej mieszkańców, to Katowice i Łódź, a także Kielce, Częstochowa i Bydgoszcz. W stolicy Śląska spadek wynosi 8,1 proc. i średnio co roku ubywa tam kilka tysięcy mieszkańców. Tendencja ta utrzymuje się od kilkudziesięciu lat i nie wiadomo, kiedy się zatrzyma. Ale też w Zabrzu, którego populacja okazała się o blisko 7,5 proc. niższa od spodziewanej, wynosi ona 158 tys. osób. Również Częstochowa jest miastem, które notuje gwałtowny spadek mieszkańców, co jest widoczne gołym okiem. Jeszcze w 1993 r. Częstochowa miała 260 tys. mieszkańców, ale według najnowszych danych w mieście żyje niecałe 200 tys. osób

Najbardziej spektakularnym faktem jest zmniejszenie się liczby mieszkańców Łodzi o ponad 58 tys. Jednak władze miasta od razu zareagowały, tłumacząc, że nie wynika on z rejestrowanego przez GUS ruchu naturalnego ludności, ale z migracji. Osoby osiedlające się, np. zostające po studiach lub przyjeżdżające do pracy, nie ujawniają się przez zameldowanie w ewidencji ludności. A prognozy dla Łodzi i tak były gorsze od rzeczywistości.

W liczbach bezwzględnych spadki o ponad 3 tys. osób odnotowały także: Piotrków Trybunalski, Radom, Sosnowiec, Włocławek, Płock, Legnica, Elbląg, Rybnik, Kalisz, Kędzierzyn-Koźle, Gliwice, Racibórz. Jeśli chodzi o miasta mniejsze, to największy ubytek ludności – o 25 proc. – zaliczył wspomniany wcześniej Hel i wyludnia się w zastraszającym tempie. Obecnie mieszka tu ok. 3 tys. ludzi., ale jeszcze 20 lat temu było ich 4,3 tys.

Więcej mieszkań

Najbardziej optymistyczną informacją z opublikowanego we wrześniu raportu GUS jest to, że w ciągu dekady przybyło w Polsce 1,7 mln mieszkań, co oznacza wzrost o 12,8 proc. Dziś mamy ich łącznie ponad 15,2 mln. Zwiększyła się też ich ogólna powierzchnia o prawie 175 mln m^2, czyli o 18,5 proc. Najwięcej budowano w województwach i gminach, które charakteryzowały się największym przyrostem ludności. Najmniej mieszkań przybyło w województwach: opolskim, świętokrzyskim, łódzkim i śląskim, co pokrywa się również ze zmniejszaniem się tam liczby mieszkańców. W miastach dynamika przyrostu liczby mieszkań i budynków była wyższa niż na terenach wiejskich. I co znamienne, zwiększanie się liczby mieszkań jest szybsze niż mieszkańców. Jednak na szczegółowe wyniki spisu powszechnego dotyczące sytuacji gospodarstw domowych trzeba poczekać do listopada. Wtedy GUS przedstawi m.in. informacje o liczbie gospodarstw domowych w mieszkaniach, ich formach własności, wieku, stanie technicznym i wyposażeniu.

eprasa.pl 5e28128ada

Putin rozpoczął rozgrywkę nuklearną. Amerykańskie służby wywiadowcze zostały postawione w stan podwyższonej gotowości. Sytuacja jest poważna

Na horyzoncie armagedon

MAREK BUDZISZ

Władimir Putin, w przemówieniu informującym o ogłoszeniu częściowej mobilizacji, która zresztą częściową jest tylko – jak się wydaje – z nazwy, dwukrotnie odwołał się do rosyjskiego potencjału nuklearnego. Deklarował, że Rosja może go użyć i podkreślał, że nie jest to blef. Rosyjscy politycy niższego szczebla i eksperci w swoich wojowniczych deklaracjach poszli jeszcze dalej.

ROSYJSKI STRASZAK: TAKTYCZNE ATAKI NUKLEARNE

Dmitrij Miedwiediew, były prezydent i premier, a obecnie zastępca Putina w Radzie Bezpieczeństwa, napisał na swojej stronie w portalu społecznościowym, że jego zdaniem Zachód nie odpowie jądrowym uderzeniem odwetowym, jeśli Rosja użyje jednej ze swoich głowic na Ukrainie. Stwierdził: „Bezpieczeństwo Waszyngtonu, Londynu, Brukseli jest o wiele ważniejsze dla paktu północnoatlantyckiego niż los bezużytecznej i umierającej Ukrainy".

Podobne myśli ma Siergiej Karaganow, jeden z najbardziej cenionych przez władze rosyjskich ekspertów ds. polityki zagranicznej, który w wywiadzie udzielonym już po wystąpieniu Putina, powiedział, że jest na 99 proc. pewien, iż jeśli

Fot. Mikhail Semenov / Shutterstock

eprasa.pl 5e28128ada

Rosja uderzy bronią atomową na państwo sojusznika Stanów Zjednoczonych, to Waszyngton nie odpowie kontruderzeniem nuklearnym. Ameryka będzie się bowiem w jego opinii obawiała wojny globalnej. Tylko szaleniec w Białym Domu – rozwinął swoją myśl Karaganow – będzie ryzykował istnienie Bostonu, dlatego że Rosja zaatakowała np. Poznań.

Dmitrij Trenin, do wybuchu wojny kierujący moskiewskim Centrum Carnegie, uchodzący notabene za liberała i ceniony w intelektualnych kręgach Zachodu, w innym wywiadzie snuje rozważania na temat przywrócenia przy użyciu broni jądrowej „równowagi strachu" w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. „Ale powiem więcej – oświadczył Trenin. – Moim zdaniem wiele osób w Stanach Zjednoczonych i Europie (w znacznie mniejszym stopniu w Europie) prawdopodobnie postrzega wymianę nuklearną na europejskim teatrze wojny, czyli nie tylko na Ukrainie, ale szerzej, jako coś w zasadzie nie katastrofalnego. A najważniejsze jest moim zdaniem przekształcenie broni jądrowej w skuteczny element odstraszania w specyficznej sytuacji ukraińskiej, by przekonać Stany Zjednoczone, że uderzenie nastąpi również na terytorium USA".

Autorzy piszący w rosyjskich anonimowych kanałach na platformie Telegram kolportują informacje, z których wynika, że Moskwa ma już gotowy plan użycia swego potencjału jądrowego i wszystko zacznie się zaraz po planowanym na 30 września przyłączeniu do Federacji Rosyjskiej okupowanych terenów na Ukrainie, w których odbyły się ostatnio pseudoreferenda. Kolejnym krokiem ma być rosyjski atak manewrującymi rakietami hipersonicznymi z głowicami jądrowymi niewielkiej mocy na cele na Ukrainie. „Taktyczne ataki nuklearne – pisał jeden z nich – będą przeprowadzane w celu zademonstrowania determinacji Zachodowi, a niektóre cele znajdują się w pobliżu polskiej granicy".

STANY ZJEDNOCZONE NIE LEKCEWAŻĄ GRÓŹB

W Waszyngtonie odebrano te sygnały i uznano sytuację za poważną z pewnością bardziej niż na początku wojny, kiedy Putin odwoływał się również do gróźb nuklearnych, a nawet deklarował – co zresztą okazało się blefem – że wojska strategiczne obsługujące instalacje nuklearne zostały postawione w stan wyższej gotowości. Świadczy o tym reakcja amerykańskiej administracji.

Jake Sullivan, doradca prezydenta Joe Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego, powiedział na spotkaniu z mediami, że Moskwa została uprzedzona o katastrofalnych konsekwencjach, jakie pociągnie dla niej atak nuklearny na Ukrainę. Minister Zbigniew Rau podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych też był pytany przez przedstawicieli tamtejszych mediów, w jaki sposób NATO mogłoby odpowiedzieć na rosyjskie uderzenie. Odparł, że odpowiedź powinna być konwencjonalna, ale niszczycielska. Wojskowi, tacy jak choćby Ben Hodges, były dowódca NATO-wskich sił lądowych w Europie, zaproponował zatopienie w takiej sytuacji rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Pojawiły się też głosy o potrzebie ustanowienia nad obszarem całej Ukrainy „no-fly zone", strefy wolnej od przelotów, co zdaniem wielu ekspertów równałoby się wejściu sił paktu północnoatlantyckiego do wojny z Rosją. Julian Spencer-Churchill, kanadyjski ekspert będący jednocześnie oficerem rezerwy, zaproponował, by w odpowiedzi na ewentualny rosyjski atak nuklearny uderzyć na Białoruś, co mogłoby doprowadzić w jego opinii do obalenia Łukaszenki i osłabienia systemu sojuszniczego konstruowanego przez Moskwę.

W podzielonych amerykańskich elitach politycznych w tej akurat kwestii, czyli jak odpowiedzieć Rosji, gdyby ta zdecydowała się użyć swojego potencjału nuklearnego, panuje – jak się wydaje – jedność. Senator Lindsey Graham z Partii Republikańskiej mówił niedawno mediom, że rosyjski atak nuklearny na cele znajdujące się na Ukrainie będzie traktowany przez Stany Zjednoczone tak jak uderzenie na jedno z państw NATO. Powód jest oczywisty, bo zaznaczył: „Promieniowanie wpływa nie tylko na Ukrainę, ale na całą Europę".

Sytuacja jest poważna, bo jak napisał portal politico.com, powołując się na anonimowych przedstawicieli amerykańskich służb wywiadowczych, te zostały postawione w stan podwyższonej gotowości. „Przyglądamy się temu bardzo uważnie" – powiedział dziennikarzom jeden z rozmówców, mając na myśli rosyjskie instalacje nuklearne, przede wszystkim magazyny, w których są trzymane głowice i cały system logistyki związany z bronią jądrową. Jednym z obszarów, które są pod szczególnym nadzorem amerykańskim, jest m.in. enklawa kaliningradzka, gdzie Rosjanie już kilka lat temu dyslokowali systemy przenoszenia o podwójnym przeznaczeniu – takie, które mogą zostać użyte do przenoszenia broni jądrowej. W ostatnich dniach pasjonaci lotnictwa donosili też o skokowym wzroście liczby lotów patrolowych amerykańskich samolotów zwiadu elektronicznego RC-135 Rivet Joint wzdłuż granic obwodu.

Jednak zdaniem specjalistów nawet ta zwiększona czujność amerykańskich służb nie gwarantuje, iż odpowiednio wcześnie zostanie zidentyfikowane niebezpieczeństwo rosyjskiego ataku. Problemem jest bowiem to, że Rosjanie mają obecnie 23 systemy zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych różnej mocy. „Prawie każda broń, którą mają Rosjanie – powiedział dziennikarzom anonimowy ekspert – jest zdolna do przenoszenia broni jądrowej. Są to zarówno systemy artyleryjskie, jak i obrony powietrznej, torpedy, pociski manewrujące. Każdy z nich może przenosić broń nuklearną".

MIĘDZY GRĄ NERWÓW A REALNYM UDERZENIEM

Zdaniem amerykańskich analityków ryzyko rosyjskiego uderzenia nuklearnego jest obecnie większe niż na początku wojny, bo Moskalom nie idzie w tym konflikcie najlepiej, ale nie oznacza to, że scenariusz tego rodzaju jest nie do uniknięcia. Mamy co prawda do czynienia z eskalacją, na razie jednak wyłącznie na poziomie retorycznym, a w świetle rosyjskiej doktryny wojennej jesteśmy jeszcze na niskich szczeblach drabiny eskalacyjnej. Należy też powątpiewać, czy Kremlowi udałoby się atakiem nuklearnym osiągnąć główny cel tego rodzaju działania, jakim mogłoby być złamanie woli walki przeciwnika.

Ołeksij Daniłow, szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, oświadczył: „Nawet użycie przez Rosję taktycznych ładunków jądrowych nie

eprasa.pl 5e28128ada

złamie woli oporu Ukrainy i wojna będzie kontynuowana". Z wojskowego punktu widzenia uderzenie taktycznymi głowicami jądrowymi o niewielkiej mocy też ma niewielki sens, bo siły ukraińskie nie koncentrują się, a w związku z tym nie można zniszczyć tym sposobem ich dużych zgrupowań i osiągnąć przewagi na polu boju. Zresztą rosyjska doktryna przewiduje na niższych szczeblach drabiny eskalacyjnej – aby pokazać własną determinację, a przy tym nie ryzykować dużych kosztów politycznych – zdetonowanie głowicy jądrowej w pierwszym rzędzie na obszarach bezludnych, np. nad akwenami morskimi. Oznacza to, że obecnie nie jesteśmy w fazie przygotowań rosyjskich do realnego uderzenia atomowego, ale raczej mamy do czynienia z grą nerwów, kiedy to Moskwa próbuje zastraszyć przeciwników, przede wszystkim państwa Europy Zachodniej, które i tak nie angażują się nadmiernie we wspieranie wysiłku wojennego Ukrainy.

Na tym polu Rosja ma znacznie większe możliwości niż odwołanie się do uderzenia jądrowego, którego atrybucja, czyli określenie, kto stoi za atakiem, jest rzeczą łatwą i świat natychmiast dowie się, że to dzieło Kremla. Dziennik „The New Times" napisał, że Rosjanie „mogą przekształcić elektrownię atomową w Zaporożu w rodzaj brudnej bomby jądrowej, a przy tym oskarżyć o katastrofę Ukrainę i Zachód". Ostatnie eksplozje, które uszkodziły gazociągi Nord Stream 1 i 2, też należy traktować w kategoriach sygnału strategicznego, iż Moskwa jest gotowa atakować infrastrukturę krytyczną państw NATO, co w języku strategii oznacza gotowość rozszerzenia wojny. Mobilizacja ogłoszona przez Putina również ma na celu – oprócz ratowania sytuacji na załamującym się froncie – wysłanie sygnału pod adresem Zachodu, że Rosja jest gotowa na długą wojnę, odwoła się do wszystkich dostępnych jej metod, nie wyłączając z tej listy potencjału nuklearnego.

POLITYCZNA GRA ELEKTROWNIĄ ATOMOWĄ

Wróćmy jednak do kwestii sytuacji w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej. Pod koniec sierpnia władze Dumy Państwowej, a w tym celu liderzy frakcji i szefowie najważniejszych komisji zostali ściągnięci z urlopów, wydały specjalne oświadczenie w sprawie sytuacji w tej największej europejskiej elektrowni jądrowej. Wprost znalazło się w nim wezwanie skierowane – i to jest też w całej intrydze ważne – do parlamentów narodowych, organizacji i organów międzyparlamentarnych, by wstrzymać dostawy wojskowe dla Kijowa. W ten sposób Moskale budują linię argumentacji, która zakłada oskarżenie Ukrainy, a pośrednio państw wspierających jej wysiłek wojskowy o wywołanie katastrofy. W świetle tej narracji ukraińskie siły zbrojne ostrzeliwujące teren elektrowni mogą doprowadzić do uszkodzenia zbiorników, w których są składowane odpady nuklearne, i to na obecnym etapie wydaje się bardziej prawdopodobne niż uszkodzenie reaktorów, ale nie robiłyby tego, gdyby nie broń, w którą zaopatrują ich sojusznicy. Ewentualny wyciek substancji radioaktywnych miałby wywołać efekt psychologiczny przede wszystkim na społeczeństwach państw zachodniej Europy. Podobnie zresztą jak niedawne wysadzenia gazociągów, co zwiększa strach przed zimą i głębokim kryzysem.

> Rosjanie mają obecnie 23 systemy zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych różnej mocy. Są to zarówno systemy artyleryjskie, jak i obrony powietrznej, torpedy, pociski manewrujące. Każdy z nich może przenosić broń nuklearną

Gdyby nastąpiła awaria w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej, to nie tylko można byłoby wzmocnić presję obliczoną na natychmiastowe zawieszenie broni, ale również argumentować o konieczności wprowadzenia na linię rozgraniczenia międzynarodowego kontyngentu pokojowego, najpewniej pod egidą ONZ. Byłby to precedens, którego w sprzyjających okolicznościach można byłoby użyć jako formułę mającą zastosowanie na całym froncie ukraińskim. W ten sposób Rosja zamrażałaby konflikt, kontrolując przy okazji tereny, które zajęła. To z kolei umożliwiłoby zbudowanie Kremlowi na użytek wewnętrzny argumentacji o tym, że wojna została wygrana, co zresztą byłoby bliskie prawdzie.

Gen. Curtis Scaparrotti, były dowódca sił NATO w Europie, powiedział w trakcie przesłuchań w Kongresie w 2017 r., że Rosja kieruje się doktryną eskalacji celem deeskalacji. Chodzi o to, jak wyjaśnił amerykański wojskowy, by do takiego stopnia, również odwołując się do potencjału jądrowego, podbijać stawkę w toczonej wojnie, by druga strona wolała raczej negocjacje pokojowe, nawet jeśli niekorzystne dla siebie, niż eskalację. Działając zgodnie z tą regułą, bardzo łatwo przełamać „tabu nuklearne", zwłaszcza jeśli wojnę się przegrywa, a konwencjonalne środki zawodzą. Jądrem tej strategii jest bowiem wiarygodność – ci, którzy grożą, nie mogą się zatrzymać i muszą pokonywać kolejne drogi drabiny eskalacyjnej. W przeciwnym razie ich groźby stają się śmieszne, co oznacza klęskę nie tylko w wojnie nerwów, ale w całym konflikcie.

Na razie Amerykanie nie sygnalizują, że się przestraszyli. Antony Blinken, rozmawiając, już po wypowiedziach Putina, z dziennikarzami stacji telewizyjnej CBS, powiedział, że Stany Zjednoczone nie mają nic przeciwko, jeśli siły zbrojne Ukrainy będą wykorzystywały dostarczony im sprzęt, by atakować cele na terenie Federacji Rosyjskiej. W języku komunikacji strategicznej tego rodzaju deklaracje – razem z tym, co powiedział Jake Sullivan w wywiadzie dla NBC, zapowiadając nowe dolegliwe sankcje przeciw Rosji – oznacza „nie boimy się". Teraz ruch należy do Putina, ale jeśli rosyjski prezydent zdecyduje się odpowiedzieć, to będzie to oznaczało, że powoli zaczynamy wspinać się po drabinie eskalacyjnej, na której końcu majaczy wojna nuklearna o charakterze globalnym.

eprasa.pl 5e28128ada

Ukraińscy żołnierze na pozycjach frontowych w obwodzie zaporoskim

Relacja z Ukrainy

Przyczyny zwycięstw widziane z frontu

Każdego dnia Ukraińcy odbijają z rąk Rosjan kolejne wioski – teraz w Donbasie, z kierunku Iziumu i Słowiańska. Pękająca obrona armii Putina, mniej ostrzałów najeźdźcy w obwodzie chersońskim i zaporoskim, przegrana w obwodzie charkowskim. Oficerowie na froncie mają swoją interpretację tej zmiany wojennej sytuacji

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Gdy wszyscy spodziewali się ukraińskiego kontruderzenia na zachodnim odcinku frontu – w stronę Chersonia, na początku września obrońcy zaskoczyli wroga odbiciem ziem obwodu charkowskiego, odzyskując 6 tys. km² w niespełna trzy dni. Koniec września wyglądał jeszcze bardziej obiecująco – siły ukraińskie przesunęły front jeszcze bardziej na wschód od Kupiańska, a w Donbasie przekroczyły rzekę Doniec i są już bliskie okrążenia Łymana, które utraciły w drugiej połowie maja. Po czterech miesiącach nieprzerwanych, choć powolnych postępów armii Putina w Donbasie, najeźdźca zaczął się cofać.

WIATR W ŻAGLACH OBROŃCÓW

Znaczenie tych sukcesów widać na każdym kroku. Żołnierze Zełenskiego już nie tyle wierzą w zwycięstwo, ile wiedzą, że wygrają – teraz materializuje się to, o czym opowiadali od marca. Pamiętajmy, że Rosjanie po pierwszym miesiącu wojny wycofali się z obwodu kijowskiego i czernichowskiego, a w szóstym uciekli z obwodu charkowskiego, teraz zaś ustępują na jednym kierunku obwodu donieckiego. Na Charkowszczyźnie porzucono mnóstwo ciężkiego sprzętu, baki czołgów i wozów opancerzonych były pełne i jeszcze 20 września widzieliśmy, jak Ukraińcy pobierają stamtąd paliwo, a pojazdy oddają do przeglądu i naprawy.

Zwycięstwa mają jeszcze i takie skutki, że odsłaniają światu kolejne miejsca rosyjskich zbrodni, wzmacniając antyrosyjskie postawy na arenie międzynarodowej. Jednak to kwestia militarna jest najważniejsza. Sojusznicy Kijowa widzą, że przekazywany sprzęt wojskowy jest efektywnie wykorzystywany przez obrońców kraju. To amerykańskimi HIMARS, tureckimi bayraktarami czy polskimi T-72 wygrywa się tę wojnę. I oczywiście rosyjskimi błędami.

Fot. Jakub Kaminski/East News

eprasa.pl 5e28128ada

UKRAIŃCY W NATARCIU

Ukraińskie szturmy są przygotowane o wiele lepiej niż rosyjskie. Obrońcy dysponują lepszym wywiadem (w końcu walczą na swoim terenie) i celniejszą artylerią. 25 września rano przez pomyłkę zajechaliśmy pod Izium, gdzie na drodze stały wyrzutnie rakietowe typu Grad. Artylerzyści w skupieniu i z zegarkiem w ręku odliczali minuty do rozpoczęcia ostrzału. Jak się później dowiedzieliśmy, było to skoordynowane z kilkudziesięcioma jednostkami artylerii i precyzyjnie wycelowane we wcześniej wybrane punkty. Około godziny po masowym ostrzale ukraińska piechota przekroczyła rzekę i do wieczora zajęła 7–8 wiosek na ważnym terytorium na północ od Łymana. Ukraińcy pod Charkowem dobrze rozpoznali specyfikę rosyjskiej walki: najeźdźca najpierw niszczy przeciwnika rakietami i bombami, a potem zajmuje spaloną ziemię. W ten sposób jednak nie da się bronić, a rosyjscy żołnierze są gorzej przygotowani do bezpośredniej walki, a co za tym idzie – do obrony. Raz przerwane linie rosyjskie wywołują panikę, porzucanie sprzętu i ucieczkę, czasem pieszo, jak daleko się da. Z komentarzy w rosyjskim internecie wynika, że uczestnikom tych porażek kojarzy się to z latem 1941 r., gdy Sowieci uciekali przed Niemcami. Za pierwszymi rosyjskimi umocnieniami rzadko kiedy jest druga lub trzecia linia, sołdatom Kremla wmawiano przecież, że będą szli tylko naprzód.

Oddziałom Zełenskiego udało się związać znaczne siły rosyjskie pod Chersoniem i pod Bachmutem. Na prawym brzegu Dniepru Rosjanie próbują nie oddać miasta, a w Donbasie zająć kolejne miejscowości obwodu donieckiego, by móc ogłosić pełne oswobodzenie republik. Z politycznego punktu widzenia ma to sens, ale militarnie nie jest efektywne, zwłaszcza że front jest rozciągnięty na długości ok. 1,5 tys. km, a jak tu szybko transportować sprzęt po zniszczonej przez siebie infrastrukturze?

Nie tylko na dwóch przeciwległych biegunach frontu Rosjanie są ciężko testowani na wytrzymałość. W obwodzie zaporoskim rozmawialiśmy z żołnierzami, który odbijają pojedyncze wioski. Nie ma to większego znaczenia dla przebiegu frontu, ale jest sygnałem dla najeźdźcy: jak osłabicie którykolwiek punkt styku, tam my ruszymy do przodu. U Ukraińców da się odczuć wręcz ekscytację, że rzeczywistość przerosła ich najśmielsze marzenia o wolnej i bohaterskiej Ukrainie.

Komandir Nikola E. przyjechał na Ukrainę w szóstym dniu wojny, pokonując z Lizbony 3 tys. km w ciągu dwóch dób. – Nie oddam im ojczyzny. A jak mnie zabiją, to na moje miejsce przyjdą następni – mówi tygodnikowi „Sieci". Morale żołnierzy już dawno nie było tak w tej wojnie decydujące.

PIEKŁO POD BACHMUTEM

Wiele zmieniła praca amerykańskich HIMARS. Z dużej odległości i niezwykle celnie niszczą one najważniejszą infrastrukturę wojskową po rosyjskiej stronie, zwłaszcza składy amunicji i węzły komunikacyjne. Intensywność rosyjskich ostrzałów w północnym Donbasie spadła pięciokrotnie.

– Ewidentnie widać, że Rosjanom powoli kończą się zasoby. Zaczynają oszczędzać, starają się strzelać celniej, a nie jak dotąd na oślep, ilościowo – tłumaczy nam podoficer stacjonujący na pierwszej linii obrony pod Bachmutem. – Jednak Rosjanie nie odpuszczają kierunku bachmuckiego – dodaje ukraiński mundurowy. – Tam jest prawdziwa rzeź.

Rozmawialiśmy z żołnierzami 93. brygady, która straciła sporo ludzi i sprzętu podczas obrony swoich pozycji. – Strzelałem po kolei z 10 automatów, żeby żaden się nie przegrzał, a kolega w okopie zmieniał magazynki. Rosyjskie okopy były 100 m od naszych, szturmowali nas przez dwa dni niemalże bez przerwy – opowiada Roma, ps. Chuck. Jedną z pozycji ukraińskich Rosjanie podeszli i okrążyli nocą. Do ziemianek poleciały granaty, jeden z żołnierzy trafił do niewoli, z reszty nie zostało nic. – Jednak nie złamali nas, po kilku dniach naszych ataków pozostało z ich strony tylko kilkanaście kraterów po wybuchach – tłumaczy żołnierz z najbardziej krwawego odcinka frontu. I nie jest to bez znaczenia dla sukcesów ukraińskich na innych odcinkach.

Bachmutu nie udało się okrążyć tak jak w czerwcu Sewierodniecka i Lisiczańska, więc Rosjanie prą do przodu, odnosząc wielkie straty, choć pod koniec września podeszli już na odległość kilometra do miasta. Sama miejscowość jest intensywnie ostrzeliwana, ale to nie wystarczy do rosyjskiego zwycięstwa. Armia Putina wykorzystuje więc grupy dywersyjne. Wygląda to tak, że przebrani w ukraińskie mundury Rosjanie, znając hasło dla posterunków, wjeżdżają do Bachmutu i jadą w wybrane miejsce, atakując z zaskoczenia np. bazę jednostki, siedzibę obrony terytorialnej czy stanowisko artyleryjskie. Później łatwo zniknąć im w gęstej zabudowie miasta i sieci ulic i uliczek. Dywersantom pomagają miejscowi separatyści, bo ok. 10 proc. mieszkańców zostało w bombardowanym mieście, a wśród nich są wielbiciele ruskiego miru. Na razie nic nie wskazuje na to, by Rosjanie zajęli Bachmut, poza tym za nim stoją jeszcze podobnej wielkości ośrodki: Słowiańsk i Kramatorsk. Na tę chwilę Rosja nie dysponuje narzędziami, by zrealizować swoje cele.

NA JEDNĄ KARTĘ

Wśród Ukraińców nie ma obaw o nadejście nowej fali wojskowych z rosyjskiej mobilizacji. Poważniej za to brzmi ryzyko włączenia się w wojnę Białorusi. Nie tyle z powodu nowych sił, ile ataku z zupełnie odmiennego kierunku – jak bronić kraju napadanego z trzech stron na długości ponad 3 tys. km? Gdy jednak Moskwa chce postawić wszystko na jedną kartę, może się okazać, że stawką tej wojny może być nie tylko obrona Ukrainy, ale też potężny cios w rosyjski imperializm. Ukraińcy są na to gotowi. Czy Zachód także rozumie, jak niewielkim kosztem może zatrzymać zagrożenie z Kremla?

eprasa.pl 5e28128ada

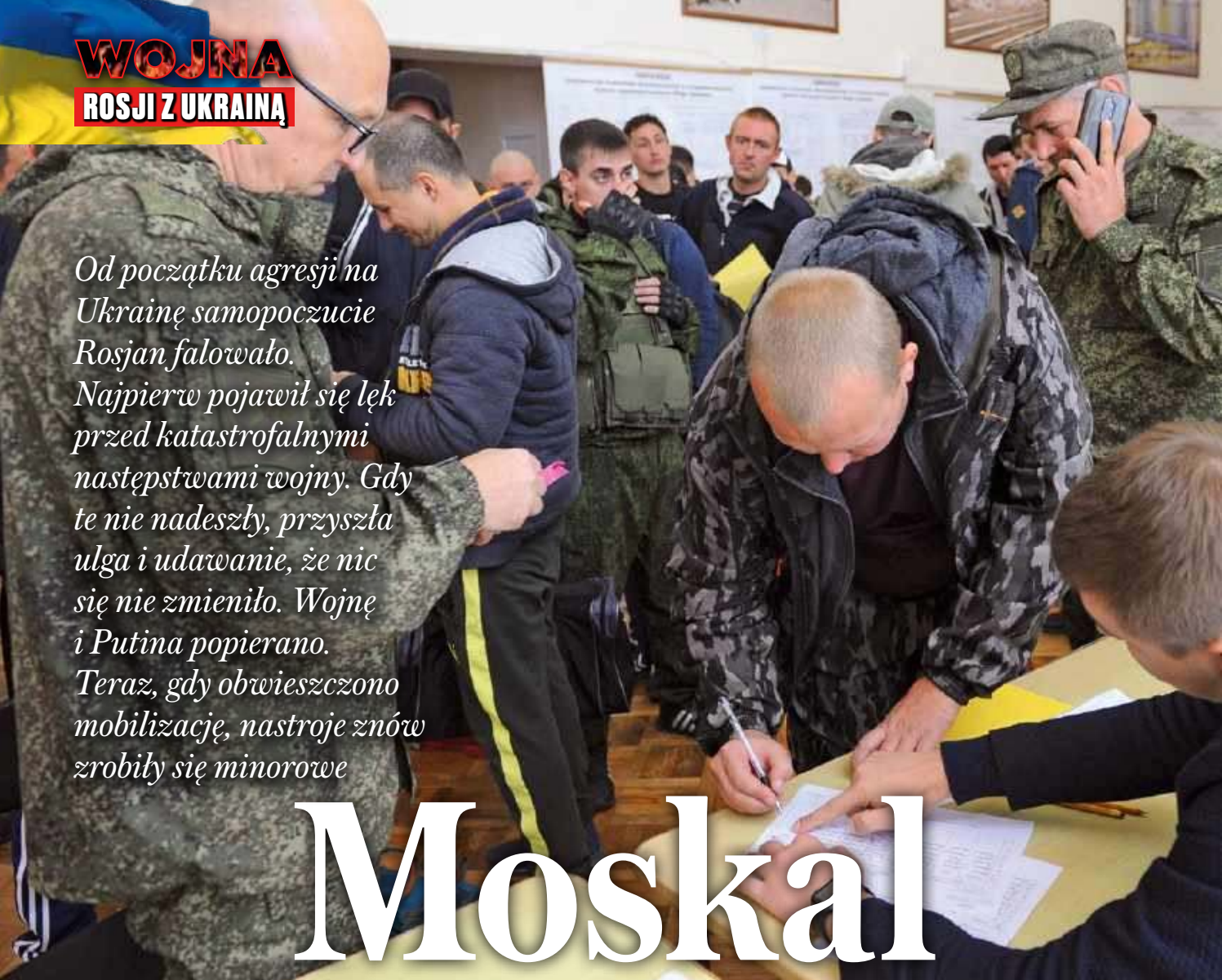

Od początku agresji na Ukrainę samopoczucie Rosjan falowało. Najpierw pojawił się lęk przed katastrofalnymi następstwami wojny. Gdy te nie nadeszły, przyszła ulga i udawanie, że nic się nie zmieniło. Wojnę i Putina popierano. Teraz, gdy obwieszczono mobilizację, nastroje znów zrobiły się minorowe

Moskal pędzony na wojnę

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdy 21 września Putin ogłosił w Rosji częściową mobilizację, przed położonym na granicy z Gruzją przejściu drogowym Wierchnij Łars stanęły tysiące samochodów z młodymi mężczyznami próbującymi ratować się przed powołaniem na front. Kolejka aut liczyła ok. 30 km i widać ją było nawet na zdjęciach satelitarnych. W internecie pojawiły się szydercze memy pokazujące tę samą przygraniczną drogę w 2008 r., gdy zamiast kolejki aut ze spanikowanymi Rosjanami przesuwała się po niej kolumna czołgów nacierających na Gruzję.

Jak donosiły rosyjskie media społecznościowe, w kolejce panowało ogromne napięcie, nikt z oczekujących nie wiedział bowiem, czy uda mu się przekroczyć granicę, zwłaszcza że żołnierze rozstawili przy drodze mobilne punkty mobilizacyjne. Zamiast w świat można było więc trafić prosto z kolejki na front. W rosyjskim internecie łatwo znaleźć relacje tych, których zawrócono z granicy. „Rzadko płaczę, ale tym razem po prostu ryczałem" – opowiadał dziennikarzowi Radia Swoboda 23-letni Ilia Kostomarow z Kraju Krasnodarskiego. I tak miał sporo szczęścia. Na granicy został wyrzucony z autobusu i zmuszony do podpisania oświadczenia, że przy kolejnej próbie wyjazdu z kraju zostanie aresztowany. Wezwania na razie nie dostał, więc mógł wrócić do domu.

Niektórzy nie wytrzymywali nerwowo, wysiadali ze swoich aut i ruszali do granicy pieszo lub na kupionych od tubylców rowerach. Wkrótce po gruzińskiej stronie wyrosła wielka sterta rowerów porzuconych przez szczęśliwców, którym po kilkudziesięciu godzinach oczekiwania udało się wyrwać z Rosji. O ich samochody pozostawione przed granicą za-

Fot. AP Photo/East News

eprasa.pl 5e28128ada

troszczył się sam przewodniczący Dumy Państwowej Wiaczesław Wołodin, który zaproponował, by oddawać je rodzinom zmobilizowanych żołnierzy.

WIELKA UCIECZKA

Według obliczeń gruzińskiego MSW od chwili ogłoszenia mobilizacji w Rosji granicę z Gruzją przekraczało codziennie 10 tys. osób (wcześniej ok. 6 tys. na dobę). Szacuje się, że nieco ponad połowa rosyjskich uciekinierów wyruszyła w dalszą podróż. Dokąd? W rosyjskich kanałach społecznościowych takich jak Telegram pojawiały się Indie, a nawet Wietnam. Oby jak najdalej od wojny.

Podobne sceny rozgrywały się na przejściach granicznych z Kazachstanem, nieco mniej uciekinierów próbowało dostać się do Finlandii, bo aby wyjechać do Unii Europejskiej, trzeba było mieć tzw. paszport zagraniczny (umożliwiający wyjazd poza granice byłego ZSRS), a w nim wbitą wizę schengeńską. Zresztą Rosjanie mają świadomość, że w cywilizowanym świecie są dzisiaj pariasami i choć niektóre państwa zachodnie (Niemcy, a nawet Stany Zjednoczone) zadeklarowały, że będą przyjmować osoby uciekające przed poborem do wojska, niewielu się na to decyduje. Osobną kwestią są wysokie koszty takiej eskapady, a ci, których stać na wydatek kilku tysięcy dolarów od osoby za bilet, uciekają najczęściej do Turcji, bo nadal mogą tam latać rosyjskie samoloty.

Z danych Frontexu wynika, że od 19 do 25 września granicę lądową z Unią przekroczyło blisko 66 tys. obywateli Rosji, w tym aż 42 tys. wjechało do Finlandii, która wciąż wydawała Rosjanom wizy turystyczne do Unii. Dla porównania do Polski wjechało w tym czasie nieco ponad 2 tys. obywateli Rosji. Łącznie z Rosji w ciągu tygodnia miało wyjechać blisko 300 tys. osób – w przytłaczającej większości mężczyzn w wieku poborowym.

TO WINA ZACHODU

Jak ironicznie zauważył dawny rosyjski oligarcha, a dziś polityczny emigrant Michaił Chodorkowski, to pierwszy taki przypadek, w którym przed działaniami wojennymi uciekają obywatele kraju, który sam wszczął wojnę. Historycznie rzecz biorąc, pewnie nie jest to prawda, faktem jest jednak, że większość uciekinierów starała się wcześniej nie dostrzegać wojny, a niektórzy z nich wręcz ją popierali. Zmienili zdanie dopiero wtedy, gdy pojawiła się groźba, że sami w niej zginą.

Jeden z oczekujących w kolejce na granicy z Gruzją żalił się na Telegramie swoim znajomym, że od 17 godzin nie spał, nie jadł i jest już całkiem wyczerpany. Winą za swój ciężki los obarczył Ukraińców, którym „zachciało się wojny", tłumacząc przy tym, że musi uciekać, bo nie chce zginąć z rąk „amerykańskich pederastów".

> W dalekowschodnich republikach bierze się studentów prosto z zajęć. Są też informacje o obławach przeprowadzanych na buriackie i jakuckie wsie, podczas których z domów wyciąga się rekrutów

Inni, dwaj zupełnie młodzi chłopcy, zostali przepytani w kazachskim Pawłodarze przez miejscowego blogera, który nagrał z nimi krótką rozmowę i opublikował ją w internecie. Nie chcieli odpowiedzieć na pytanie, do kogo należy Krym, Ługańsk i Donieck. Nie potrafili też wyjaśnić, dlaczego uciekli z kraju, zamiast przeciwstawić się tyranowi z Kremla.

Klasyczna odpowiedź na te i podobne niewygodne pytania brzmiała w Rosji: „Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Mnie polityka nie interesuje". Teraz – jak zauważają nieliczni opozycyjni komentatorzy rosyjscy – taka postawa się zemściła. Polityka zapukała bowiem do drzwi Rosjan i wręczyła im wezwanie na front.

POPARCIE ZZA TELEWIZORA

Rosjanie – jak wynika z lektury tamtejszych mediów społecznościowych, które dają dziś chyba najlepszy wgląd w panujące nastroje – nie rozumieją najczęściej związku przyczynowo-skutkowego między agresywną polityką Kremla a ich osobistym życiem. Dość powszechnie powielają narrację propagandy, że za gwałtowne pogorszenie sytuacji odpowiada Zachód, bo po prostu chcą w to wierzyć.

Jeśli więc czegoś w Rosji brakuje, to jest to wina zachodnich sankcji i rusofobii, jeśli Moskwa prowadzi wojnę, to z pewnością została do niej zmuszona przez agresję NATO. Krym jest i był rosyjski, a mieszkańcy okupowanych obwodów ukraińskich po prostu uciekają pod skrzydła Rosji przed nazistowskimi ludobójcami z Kijowa. Mobilizację też Rosjanie popierali, przynajmniej do czasu, gdy ich bezpośrednio nie dotyczyła. Wygodnie im było krzyczeć „wpieriod!" (naprzód!) przed telewizorami, gorzej, gdy samemu przyszło wykonać taki rozkaz.

Od początku agresji na Ukrainę nastroje w Rosji falowały. Najpierw pojawił się lęk przed katastrofalnymi następstwami wojny. Gdy te nie nadeszły, przyszła ulga i udawanie, że nic się nie zmieniło. Wojnę i Putina popierano („on wie, co robi") – wskaźniki popularności kremlowskiego satrapy skoczyły z 53 proc. w 2021 r. do 80 proc. obecnie, co nawet – biorąc poprawkę na słabość sondaży przeprowadzanych w warunkach dyktatury – pokazuje ogólny trend. Teraz, gdy obwieszczono mobilizację, nastroje znów zrobiły się minorowe. W sieciach społecznościowych można przeczytać relacje o kobietach, pracownicach jednego z moskiewskich urzędów, które zawsze twardo popierały wojnę, ale wpadły w bezradną histerię w chwili, gdy ich mężowie i synowie dostali wezwania na front. Inni piszą, że obok histerii daje się zauważyć jeszcze większy niż dotąd wzrost agresji.

Skala protestów, które pojawiły się w kilku rosyjskich miastach, była marginalna. Zresztą ich uczestnicy nie tyle sprzeciwiali się wojnie, ile raczej poborowi na front. Pewna Rosjanka mieszkająca w Niemczech żaliła się w internecie, że jej niemieccy przyjaciele nie rozumieją postawy Rosjan i ciągle ją pytają, dlaczego w Rosji nie ma masowych demonstracji przeciw wojnie. Próbowała – jak pisze – wyjaśnić, że wiąże się to z dotkliwymi konsekwencjami dla uczestników, ale

eprasa.pl 5e28128ada

w końcu zrezygnowała z tłumaczeń, konstatując, że znalazła się w pełnym osamotnieniu, a Niemcy są po prostu głupi.

OBŁAWA NA POBOROWYCH

Przepytywani przez niezależnych dziennikarzy w sondach ulicznych mieszkańcy miast mają posępne twarze: niektórzy półgębkiem odpowiadają, że to, co się wokół dzieje, jest szaleństwem, większość milczy lub unika odpowiedzi. Są i tacy, którzy – owszem, pójdą na front – ale dociskani pytaniem: „Kto nas napadł?", rozkładają ręce i mówią do reporterki: „Przecież chyba pani rozumie", dając do zrozumienia, że wolą nie odpowiadać. Najbardziej chętni do wojaczki są podpici młodzieńcy w dresach oraz zażyłe matrony. Ale i one – gdy pada pytanie, kto z ich rodziny wybiera się na front – odpowiadają zmieszane, że nikt, bo mąż chory, syn studiuje itd. Zatem bijmy Zachód i Ukraińców, ale wyłącznie rękami cudzych dzieci.

W materiałach serwowanych przez oficjalne media panuje za to entuzjazm. Przed punktami mobilizacyjnymi ustawiają się kolejki, wielu zgłasza się, nie czekając nawet na oficjalne wezwanie. Wszyscy są radośni, a matki cieszą się przed kamerami telewizyjnymi, że ich synowie idą na front, bo sobie trochę pobiegają, zmężnieją i się odchudzą. Rzeczywistość wygląda jednak zupełnie inaczej.

Komisje wojskowe i gubernatorzy chcą się wykazać przed Kremlem aktywnością, więc mobilizują każdego, kto się nawinie. Były już doniesienia o łapankach na młodych ludzi w metrze, o chwytaniu „bomżów" (bezdomnych) oraz o wręczaniu powołań petentom, którzy przyszli coś załatwić w urzędach. Do wojska trafiają też ojcowie wielodzietnych rodzin, mężczyźni po 50, często chorzy i niesprawni. W dalekowschodnich republikach, zbyt ubogich i zacofanych, by przejmować się tamtejszymi nastrojami, bierze się studentów prosto z zajęć na uczelni. Jest też wiele informacji o regularnych obławach przeprowadzanych przez policję na buriackie i jakuckie wsie, podczas których z domów wyciąga się poborowych.

Najbardziej zagrożeni są lekarze, zwłaszcza chirurdzy. W rosyjskim internecie znalazłem relację o powołaniu w ciągu jednego dyżuru lekarza i jego żony – też lekarki. W ich domu zostały małoletnie dzieci. Pomijając już bezduszność władzy, taka łapanka prowadzi do pogłębienia zapaści w rosyjskiej służbie zdrowia, w której – zdaniem niezależnych komentatorów – już wkrótce zacznie brakować wyszkolonych lekarzy.

„MOGILIZACJA"

Częściowa mobilizacja, nazwana tak dla uspokojenia nastrojów, jest branką przeprowadzaną na masową skalę. Na pewno nie chodzi o zmobilizowanie na front 300 tys. żołnierzy, o których mówił kremlowski minister obrony Siergiej Szojgu, ale o znacznie większą liczbę, co najmniej o 1 mln ludzi i to tylko na początek.

> Nie jest tak, że Rosjanie niczego nie wiedzą o tym, co się dzieje na wojnie. Wiedzą całkiem sporo, tyle że do tej pory liczyli na to, iż nie będą musieli się w nią osobiście angażować

Przy takich rozmiarach mobilizacji pojawiają się wątpliwości, co do możliwości rosyjskiej logistyki. Jak szybko wyszkolić tylu żołnierzy? Gdzie ich zakwaterować? W co ich uzbroić? Kłopoty są widoczne już dziś. Żołnierze śpią w barakach na podłodze, a tym, którzy z marszu trafili na front, rozstawia się łóżka pod gołym niebem. Z magazynów wyciąga się stare karabiny i zardzewiałe, niesprawne czołgi. Brakuje środków opatrunkowych, a rekrutom zaleca się zakup najtańszych tamponów lub – gdyby ich brakowało w sklepach – opróżnienie apteczek samochodowych. Nic dziwnego, że w Rosji ukuto już termin „mogilizacja" – od słowa „mogiła", która niechybnie czeka powołanych w takim trybie i z takim wyposażeniem na front.

W internecie pojawił się film, na którym przedstawiono odprawę świeżo zmobilizowanych rekrutów. Dowódca mówi im, że niczego nie wie, nie potrafi powiedzieć, ile potrwa szkolenie i kiedy trafią na pole bitwy. Nie wie też nawet, czy w ogóle będzie ich dowódcą. Dodaje również, że nikogo nie interesują dolegliwości i schorzenia rekrutów, bo każdy z nich otrzymał kategorię zdolnego do walki.

Trudno więc oczekiwać, że tego rodzaju żołnierze mogą stanowić realną siłę bojową. Walczący na froncie kontraktowi żołnierze narzekają na świeżo przybyłych. Twierdzą, że zarówno zmobilizowani rekruci, jak i ich dowódcy nie mają bladego pojęcia o realiach tej wojny i były już pierwsze przypadki, że trzeba było ratować nowicjuszy spod ukraińskiej nawały ogniowej.

Te informacje przedostają się do publicznej wiadomości. Nie jest więc tak, że Rosjanie niczego nie wiedzą o tym, co się dzieje na wojnie. Wiedzą całkiem sporo, tyle że do tej pory liczyli na to, iż nie będą musieli się w nią osobiście angażować.

Tydzień temu Rosją wstrząsnął zamach w Ust-Ilimsku w obwodzie irkuckim, gdzie wezwany do punktu mobilizacyjnego mężczyzna wyciągnął broń i śmiertelnie postrzelił szefa komisji wojskowej. Ciągle też spływają doniesienia o podpaleniach komisji. W kaukaskich republikach: Dagestanie i Kabardo-Bałkarii, wybuchły protesty przeciwko mobilizacji.

Obawiając się podobnego scenariusza, czeczeński watażka Ramzan Kadyrow w ogóle odwołał pobór. Istnieją przy tym podejrzenia, że Kreml w pierwszej kolejności bierze rekruta spośród mniejszości etnicznych po to, by poprawić niekorzystny dla Rosjan bilans demograficzny.

Sytuacją zaniepokoili się w końcu czołowi kremlowscy propagandyści, którzy zaczęli w swoich programach wytykać błędy podczas mobilizacji. Oczywiście im samym nie grozi powołanie, bo wbrew temu, co mówią swoim ogłupiałym widzom, pracownicy wiodących mediów zostali odgórnie zwolnieni z poboru. Chodzi więc raczej o uspokojenie obaw i stworzenie wrażenia, że władza na Kremlu dostrzega niedociągnięcia i je wkrótce naprawi. Nie ma się jednak co oszukiwać. Skala incydentów jest zbyt mała, by powstrzymać mobilizacyjną machinę Kremla.

Miliony Rosjan znalazły się więc w pułapce. Wojna, której nie chcieli bądź nie mieli odwagi jej się przeciwstawić, dotarła w końcu pod ich domy.

eprasa.pl 5e28128ada

Płonące chusty

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Przez Iran znów przetoczyły się gwałtowne protesty, tym razem spowodowane śmiercią młodej kobiety zatrzymanej przez policję obyczajową. Syn ostatniego szacha wierzy, że reżim wkrótce upadnie

epras

Obrazy docierające do nas z Islamskiej Republiki Iranu są zarazem poruszające i przerażające: kobiety palące swoje chusty i hidżaby, matki osłaniające córki swoimi ciałami przed gazem łzawiącym i pałkami sił bezpieczeństwa. Reżim ajatollaha Alego Chameneia brutalnie tłumi trwający od połowy września zryw – kolejny już w ciągu ostatnich kilkanastu lat.

Amerykańskie sankcje w połączeniu z oligarchicznymi strukturami, korupcją i nieudolnością pogrążyły kraj w permanentnej gospodarczej stagnacji. Ceny rosną, pensje nie. PKB wprawdzie także rośnie, ale wraz z nim nierówności. 40 proc. Irańczyków żyje poniżej lub na granicy ubóstwa, a klasa średnia dramatycznie się kurczy. Prawie jedna trzecia młodych jest bez pracy.

W 2017 r. opublikowane w mediach zdjęcia bezdomnych śpiących na cmentarzach w pustych grobach zszokowały Irańczyków. Kto ma wyższe wykształcenie i może – emigruje.

W 2009, 2017/2018 i 2019 r. doszło tu do najgwałtowniejszych protestów od czasu rewolucji islamskiej w 1979 r. Wzięły w nich udział setki tysięcy osób. „Chleb, praca, wolność", „Ludzie żebrzą, duchowni zachowują się jak Bóg", „Kapitalistyczni mułłowie, oddajcie nam pieniądze", „Złodzieje plądrują, rząd ich wspiera" i „Precz z dyktatorem!" – to tylko niektóre z haseł, które protestujący skandowali.

Jak twierdzi irański politolog Ali Fathollah-Nejad, protesty zaskoczyły władzę, bo klasy niższe (zwane „mostazafin" – uciemiężeni) dotąd stanowiły dla nich stabilną bazę poparcia. Ale tym razem nie wybuchły z powodów ekonomicznych.

ŚMIERĆ DYKTATOROWI

Wywołała je śmierć młodej kobiety. 22-letnia Mahsa Amini pochodziła z miasta Saghghez, 120 km na północny zachód od Sanandadżu, stolicy irańskiego Kurdystanu. 13 września, gdy odwiedzała wraz z krewnymi rodzinę w Teheranie, została zatrzymana przez tzw. policję obyczajową. Pretekstem była nieodpowiednio założona chusta, która zdaniem strażników moralności niewystarczająco zakrywała włosy. Zaledwie kilka godzin później Mahsa trafiła na oddział intensywnej terapii szpitala Kasra w północnym Teheranie, gdzie kilka dni później zmarła. Co stało się w ciągu tych kilku godzin?

Zdaniem rodziny młoda kobieta została dotkliwie pobita w czasie transportu na posterunek policji. Strażnicy utrzymują, że zasłabła już na posterunku, a przyczyną śmierci mógł być zawał lub niewydolność krążenia. Rodzina zaprzecza jednak, by Mahsa miała problemy zdrowotne. Według jej kuzyna, Erfana Mortezaei, była bita w policyjnej furgonetce, tak też mieli poświadczyć jej współwięźniowie. Po przybyciu na posterunek zaczęła tracić wzrok i zemdlała. Szpital wydał początkowo oświadczenie, że przyczyną zgonu była pęknięta czaszka. Ale ta informacja szybko zniknęła z sieci.

17 września, kilka godzin po śmierci Mahsy, demonstranci zaczęli zbierać się przed szpitalem, skandując: „Kobieta, życie, wolność", „Zabiję tych, którzy zabili moją siostrę" oraz „Śmierć dyktatorowi". Następnie protesty rozszerzyły się na ponad 80 miast. Kobiety zdejmowały hidżaby i paliły swoje chusty. Podpalano biura rządowe i niszczono portrety ajatollaha. Studenci i wykładowcy 20 uniwersytetów oraz uczelni wyższych rozpoczęli strajk. Hashtag z nazwiskiem młodej kobiety stał się jednym z najpopularniejszych na perskojęzycznym Twitterze.

Policja usiłowała rozpędzić demonstrantów gazem łzawiącym i armatkami wodnymi. W kurdyjskim regionie Iranu, z którego pochodziła Mahsa, siły bezpieczeństwa otworzyły ogień do manifestantów. Kilkadziesiąt osób zginęło. Ponad 1,2 tys. trafiło do aresztu. Rodziny zabitych były zmuszane do chowania ich w nocy, a władze zablokowały obywatelom dostęp do niektórych platform internetowych, jak Instagram czy WhatsApp. Wśród zatrzymanych była Faezeh Hashemi, córka byłego prezydenta Iranu Alego Akbara Rafsandżaniego.

WIĘKSZE OCZEKIWANIA

Obecny prezydent Ebrahim Ra'isi, który objął urząd w 2021 r., obiecał śledztwo w sprawie śmierci Mahsy. Jest jednak wątpliwe, że zakończy się ono w sposób satysfakcjonujący dla rodziny młodej kobiety. Minister spraw wewnętrznych Ahmad Vahidi upiera się bowiem przy tym, że młoda kobieta nie była bita, a jej śmierć to wynik splotu nieszczęśliwych okoliczności. – Śmierć Mahsy to wprawdzie tragedia, ale jednak przypadek odosobniony. Nie ma powodu kwestionować systemu – mówią irańscy politycy. Protesty zaś to próba destabilizacji, inspirowana z zewnątrz. Wskazują przy tym na USA, które nałożyły w 2017 r. sankcje na Iran, a w maju 2018 r. wycofały się z umowy nuklearnej, wynegocjowanej za prezydentury Baracka Obamy.

Wrogość między Waszyngtonem a Teheranem sięga oczywiście głęboko w przeszłość. Dla Iranu rozpoczęła się w 1953 r., wraz ze wspieranym przez Amerykanów zamachem stanu, który ugruntował panowanie szacha. USA to wygodny kozioł ofiarny dla irańskich, teokratycznych elit. Po rewolucji islamska republika szybko stała się oligarchią, odtwarzając w ten sposób antagonizmy, które istniały za czasów monarchii. Bogactwo jest zmonopolizowane. Z jednej strony istnieją imperia gospodarcze Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i fundacje religijne, kierowane zarówno przez konserwatywnych członków establishmentu, jak i reformistów. Uważa się, że sam najwyższy przywódca, ajatollah Ali Chamenei kontroluje imperium finansowe o wartości 95 mld dol. Z drugiej strony są zwykli ludzie, którzy liczyli i wciąż liczą na reformy – obyczajowe i gospodarcze.

Według irańskiego pisarza Behzada Karima Khaniego Iran zmienił się nie do poznania od chwili obalenia szacha. „Nie jest to już kraj analfabetów, gdzie 80 proc. społeczeństwa nie umie ani pisać, ani czytać. Dzisiejszy Iran to państwo nowoczesne, z nowoczesną infrastrukturą, w którym kobiety odgrywają ważną rolę. 70 proc. absolwentów uczelni wyższych to kobiety. Szczególnie młodzi ludzie oczekują w dobie internetu i mediów społecznościowych więcej, przede wszystkim więcej wolności" – pisze Khani na łamach niemieckiego tygodnika „Der Spiegel".

Fot. OZAN KOSE/AFP/East News

Reklama | 44/0922/F

eprasa.pl 5e28128ada

NIECZYSTOŚCI

Tej wolności państwo mułłów kobietom jednak konsekwentnie odmawia. Przy czym w ostatnich latach zdarzały się okresy mniejszego rygoru obyczajowego – jak za prezydentury Hasana Rouhaniego. Po rewolucji islamskiej ubiór kobiet stawał się okresowo bardziej liberalny – zamiast długich szat w kolorze czarnym, krótsze i bardziej kolorowe. Wraz z objęciem fotela prezydenckiego przez Rai'siego śruba została jednak z powrotem przykręcona. Policja obyczajowa (gaszt-e erszod) otrzymała zadanie wyłapywania niewłaściwie ubranych kobiet, których włosy są widoczne spod chusty, i poddawania ich na posterunkach policji sesjom „reedukacyjnym". Rai'si oświadczył, że hidżab to symbol Iranu. Element tożsamości islamskiej republiki. Od czasu wojny irańsko-irackiej propaganda państwowa wiązała hidżab z oficjalnym kultem męczeństwa otaczającym poległych w wojnie, sugerując, że odsłonięcie włosów jest równoznaczne z profanacją ich pamięci.

Stąd tak ogromna skala i determinacja protestów. Chodzi w nich nie tylko o hidżab, ale też o zmęczenie islamskim państwem wyznaniowym jako takim. Dlatego najstarszy syn ostatniego szacha Cyrus Reza Pahlawi ma nadzieję, że obecne protesty ostatecznie obalą „antyirański reżim w Teheranie". Kluczem do zwycięstwa jest jego zdaniem kontynuacja protestów i strajków. Tymi ostatnimi grożą zresztą nauczyciele oraz pracownicy przemysłu naftowego. A prominenci, jak legenda futbolu Ali Karimi, stają po stronie protestujących.

Na razie nie wiadomo, czy obecny zryw przyniesie trwałą zmianę polityczną. Podczas gdy irańska telewizja państwowa prowadzi debaty na temat przepisów dotyczących hidżabu, ton protestów jasno pokazuje, że demonstranci domagają się obalenia islamskiej republiki. Państwo nadal dysponuje znacznymi narzędziami represji i zapewne nie zawaha się ich użyć. Pospiesznie zorganizowane wiece poparcia dla władzy, jak w Tebrizie i Teheranie, wypadły wprawdzie skromnie, ale to nie oznacza, że reżim nie ma już żadnego poparcia w społeczeństwie. Protestującym przeciwko reżimowi brakuje także wyraźnych przywódców, którzy mogliby w ich imieniu negocjować z rządem. Ten zresztą nie wykazuje żadnej gotowości do negocjacji. Zamiast tego irańscy politycy oczerniają protestujące kobiety w państwowych mediach, nazywając je prostytutkami oraz „nieczystościami, które należy zmyć z powierzchni ziemi" (to słowa członka Islamskiego Zgromadzenia Konsultatywnego Mahmouda Nabaviana).

Pytanie brzmi więc, czy Islamska Republika Iranu, obecnie ideologicznie zbankrutowana i pozbawiona legitymacji, zostanie zmieciona przez to pokolenie protestujących, czy przez następne. Jedno jest jednak pewne – system nie upadnie bez rozlewu krwi.

PATRONAT HONOROWY WICEPREZESA RADY MINISTRÓW, MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO PROF. DR. HAB. PIOTRA GLIŃSKIEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
ORGANIZATOR
WSPÓŁORGANIZATOR
PATRONI MEDIALNI
POLSKIE RADIO
TVP
pap
SIECI
HISTORIA
DZIEJE.PL
naszemiasto
GOŚĆ

eprasa.pl 5e28128ada

Trudny balans Giorgii Meloni

To, co łączy dziś Jarosława Kaczyńskiego i Giorgię Meloni, to z jednej strony proamerykańskość i antyrosyjskość – to skądinąd duża i cenna rzadkość we włoskiej polityce, a z drugiej – emocjonalna niechęć do panującej w UE lewicowej ideologii

JAN ROKITA

Giorgia Meloni potrójnie zwycięża we włoskich wyborach. *Primo* – bo założona przez nią 10 lat temu maleńka partia Braci Włochów (FdI) staje się w wyniku obecnych wyborów główną siłą polityczną włoskiej demokracji, ze swoimi przeszło 26 proc. głosów. Jeszcze cztery lata temu, gdy FdI zdobywała 4 proc. w wyborach, trudno było komukolwiek uwierzyć w taki rozwój zdarzeń. W najlepszym razie młoda Giorgia, obdarzona talentem mówcy wiecowego, była widziana w roli potencjalnej przystawki do jakiegoś prawicowego rządu, czyli roli, którą swego czasu już odgrywała jako minister młodzieży w ostatnim gabinecie Berlusconiego. *Secundo* – bo centroprawicowa koalicja, którą stworzyła wraz z Silvio Berlusconim i Matteo Salvinim, będzie mieć teraz znaczącą przewagę w obu izbach włoskiego parlamentu. A to oznacza definitywne przerwanie wieloletniego pasma politycznej dominacji włoskiej lewicy. Wreszcie *tertio* – gdyż wbrew temu, co jeszcze nie tak dawno wydawało się przesądzone, to nie rozpoznawalny szeroko w świecie, a przy tym znienawidzony i pewny siebie Salvini jest finalnie wielkim wygranym spodziewanego ostrego skrętu Italii w prawo. Ale jest nią właśnie 45-letnia Giorgia Meloni, której udało się zepchnąć Ligę Salviniego z pozycji lidera nawet tam, gdzie wydawało się to niemożliwością: w Lombardii i Wenecji Euagnejskiej, czyli na bogatej i skłonnej do separatyzmu włoskiej północy, stanowiącej od lat polityczny matecznik Ligi. Zresztą podobnie jest, gdy chodzi o ideologiczne bastiony włoskiej lewicy – Toskanię i Emilię-Romanię, gdzie przez dziesiątki lat hegemonami byli komuniści.

W obu tych regionach wybory wygrywa teraz koalicja centroprawicowa, co w Italii jest traktowane niczym jakieś tsunami. Ale co więcej, to partia Meloni staje się najsilniejszym stronnictwem toskańskim, a w Emilii-Romanii niemal zrównuje się z wszechwładnymi tam do tej pory demokratami z PD. To trochę tak, jakby PiS wygrał w Gdańsku i na Pomorzu Zachodnim.

WROGOŚĆ I STRACH ZACHODNIEJ LEWICY

Zachodnie reakcje na sukces Meloni raczej nie są przyjazne. Jeszcze w niedzielny wieczór 25 września, po ogłoszeniu exit polls, francuska telewizja publiczna pokazywała zdjęcia Hitlera w tle wiadomości o wygranej FdI. A w CNN pojawiły się migawki z charakterystyczną sylwetką Duce, ilustrujące informację, wedle której „Włochy będą mieć najbardziej prawicowego premiera od czasu Mussoliniego". W „Le Monde" wynik wyborów został z kolei przedstawiony jako zagrożenie dla bytu Unii. „Cień roztacza się na projekcie europejskim" – głosił nagłówek. Dzień po wyborach rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu wylewnie dziękował ustępującemu premierowi Draghiemu, który „był oddany wartościom podzielanym przez oba nasze kraje". O przyszłej nowej premier ani słowa poza znaną formułką, że „współpracujemy z każdym wybranym rządem".

Tej samej formułki użył rzecznik Komisji Europejskiej. Choć szefowa komisji von der Leyen, która dwa dni przed wyborami groziła Włochom „narzędziami, które zastosowaliśmy wobec Węgier i Polski", zaraz po wyborach zorganizowała akcję mającą naprawić swój nagle zrujnowany w Italii wizerunek. I w powyborczy wtorek ogłaszała już na gwałt uchwalony przez komisję wniosek o przekazanie Włochom drugiej transzy funduszu odbudowy. Kwota tej transzy jest niebagatelna – 21 mld euro. A von der Leyen wzniosła jeszcze przy tym propagandowy okrzyk, iż komisja jest po stronie Italii.

Widać było, że w Brukseli zrobiła wrażenie nieprzyjazna włoska reakcja na przedwyborcze pogróżki von der Leyen nie tylko w zwycięskim obozie włoskiej prawicy, ale nawet wśród lewicowców. Np. były premier Matteo Renzi, zdeklarowany przeciwnik Meloni, mówił w CNN, iż to była głupia decyzja von der Leyen, by na dwa dni przed wyborami debatować o rzeczy, której rozstrzygnięcie należy do narodu włoskiego.

Skąd bierze się wrogość i strach wobec Giorgii Meloni, którą zachodnia lewica i spora część liberałów uważa za faszystkę? Jako dowód na faszyzm Meloni zazwyczaj służy fakt, iż w 1992 r. jako 15-letnia dziewczyna wstąpiła do Fronte della Gioventù – młodzieżówki ówczesnej partii MSI, odwołującej się do korporacyjnych idei włoskiego faszyzmu, a przy tym bardzo antyamerykańskiej. Do dziś dnia Giorgia wspomina zresztą swój udział w ostrych bójkach, które w tamtych latach toczyły z sobą na ulicach Rzymu młodzieżowe bojówki faszystów i komunistów. To był jednak dokładnie ten czas, gdy za sprawą swojego ówczesnego lidera Gianfranca Finiego (skądinąd późniejszego wieloletniego wicepremiera i marszałka parlamentu) środowiska włoskiej narodowej prawicy przeszły radykalną ideową transformację, w której efekcie MSI został zlikwidowany, a Fini powołał nową partię konserwatywną – Alleanza Nazionale (AN).

Fot. Andreas SOLARO / AFP / EastNews

eprasa.pl 5c28128ada

To wyjątkowo ważny moment w najnowszej historii Włoch, nazywany tam zwrotem z Fiuggi (Svolta di Fiuggi), od nazwy antycznego miasteczka, niedaleko Rzymu, gdzie w 1995 r. odbył się zjazd kładący nowe podwaliny włoskiej prawicy. Nowa partia opowiedziała się tam za polityczną integracją Europy, liberalnym kapitalizmem, ścisłą więzią polityczną i militarną Włoch z Ameryką, a także za respektem dla katolickich zasad społecznych i obroną włoskiej tradycji narodowej. To w takiej partii znalazła się właśnie 18-letnia Giorgia i do dziś dnia widać, jak mocno nasiąkła w tamtych latach konserwatywnymi ideami Finiego. Wkrótce na tyle się tam wybiła, że w 2004 r. była już szefową partyjnej młodzieżówki, a dwa lata później – najmłodszym posłem do włoskiego parlamentu z ramienia konserwatywnej AN. A kiedy Fini zawarł w 2008 r. koalicję rządową z Berlusconim, Meloni dostała nominację na ministra młodzieży.

KOBIETA TWARZĄ WOJNY KULTUROWEJ

Swoją własną partię FdI założyła cztery lata później, kiedy czwarty rząd Berlusconiego upadał w trakcie wielkiego kryzysu finansowego pod presją Brukseli i Berlina, które wyznaczyły wtedy na włoskiego premiera unijnego komisarza Montiego. Przejęła jako logo swojej partii, choć w zmodernizowanej postaci, stary symbol powojennego ruchu neofaszystowskiego – płomień pochodni w trójkolorowych włoskich barwach narodowych. Jej politycznym wrogom ów symbol kojarzy się z wizerunkiem grobu Duce, na którym symbolicznie dotąd ma płonąć włoska pochodnia.

Ale naprawdę Bracia Włosi to formacja, która nie tylko nie czyni żadnych nawiązań do włoskiego faszyzmu, ale jest konserwatywną odpowiedzią na całkiem nowe problemy wynikające z gwałtowności rewolucji kulturalno-obyczajowej przewalającej się przez cały Zachód od początku XXI w. O ile zatem wyróżnikiem prawicowej Ligi pod wodzą Salviniego stał się liberalny plan gospodarczy, nastawiony na interesy bogatej północy Włoch, oraz sprzeciw wobec masowego napływu arabskich i murzyńskich imigrantów, o tyle znakiem rozpoznawczym partii Meloni stała się obrona rodziny i instytucji małżeństwa, ideowa konfrontacja z tzw. ideologią gender, sprzeciw wobec swobody aborcji, a przede wszystkim obrona i propagowanie włoskiej odrębności narodowej oraz patriotycznego wychowania, rugowanego przez lewicowo-liberalne mody, wspierane przez instytucje unijne.

I tak Giorgia Meloni stawała się powoli twarzą wojny kulturowej po katolickiej i konserwatywnej stronie.

> Muszę jednak przyznać, że patrząc na miękką i bardzo unijną twarz Meloni, nabrałem wątpliwości, czy włoska premier gotowa by była jeszcze bardziej popsuć sobie reputację w Brukseli, broniąc interesów swojego prawicowego polskiego sojusznika

Jej mowa na ten temat, wygłoszona w 2019 r. na rzymskim placu św. Jana podczas kilkusettysięcznego antyrządowego wiecu całej prawicy, weszła do współczesnego kanonu włoskiej popkultury. Mówiła wtedy: „Io sono Giorgia, sono la donna, sono la madre, sono italiana, sono christiana. E non me lo toglierete!" (jestem Giorgia, jestem kobietą, matką, Włoszką, chrześcijanką i tego mnie nie pozbawicie). Rzecz w tym, że ów banalnie prosty manifest, sformułowany na potrzeby wojny kulturowej, po włosku brzmi (co łatwo samemu sprawdzić), tak jakby specjalnie był napisany do rapowania. Polityczni wrogowie Meloni zmiksowali jej wystąpienie, podkładając pod niego agresywną muzykę i najbardziej szalone tańce w wydaniu Madonny i Lady Gagi. Jeśli wierzyć włoskim gazetom, to ponoć nie ma nikogo w Italii, kto by choć raz nie rapował do tekstu „Io sono Giorgia..." . Sama Meloni mówiła w wywiadzie dla „Corriere della Sera", że do jej mowy tańczyły do upadłego jej własne siostrzenice. I z niejakim rozbawieniem przyznawała, że akcja, która miała ją ośmieszyć, przyniosła jej popkulturową sławę.

POGADANKA MELONI, CZYLI NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY

Kiedy Meloni mówiła: „Io sono Giorgia...", FdI miała już 10 proc. w sondażach. Ale to był czas największej potęgi Ligi, gdy wydawało się, iż Salvini, który z wielkim talentem przekształcił dotychczasową Ligę Północną w partię ogólnonarodową, jest niemal murowanym kandydatem do zwycięstwa w następnych wyborach. Jednak gdy na początku 2021 r. Włochy stanęły wobec kolejnego kryzysu rządowego, a Salviniemu nie udało się przeforsować szybkich przedterminowych wyborów, znów pod presją Brukseli szefem rządu został unijny funkcjonariusz – tym razem prezes frankfurckiego banku Mario Draghi. Niemal cała włoska scena polityczna przystała – z entuzjazmem na lewicy, z niechęcią na prawicy – na takie rozwiązanie, gdyż nagrodą za ów rząd miała stać się gigantyczna kwota unijnej pomocy z funduszu odbudowy – 200 mld euro.

Do wysłania ministrów Ligi do rządu Draghiego został także zmuszony Salvini; wymagały tego interesy rządzonych przez Ligę północnych regionów, z Lombardią i Wenecją Euganejską – kolebkami Ligi na czele. Był tylko jeden wyjątek od tej powszechnej zgody na „Maria cudotwórcę". Premiera z nadania Brukseli odrzuciła wierna swoim narodowym przekonaniom Giorgia Meloni. W ten sposób FdI nagle stała się jedyną siłą opozycyjną we Włoszech.

To był przełom. Jesienią 2021 r. sondaże jasno już pokazywały, że to FdI jest na silnej trajektorii wzrostowej, a Me-

eprasa.pl 5e28128ada

loni z tygodnia na tydzień wyrastała na najpoważniejszego kandydata na przyszłego premiera. Jednak im bliższa i bardziej realna stawała się władza, Meloni zaczęła bardziej łagodzić ostre ideowe kanty swojej partii.

W sierpniu 2022 r., na niecałe dwa miesiące przed planowanymi wyborami, udostępniła w sieci film ze swoją pogadanką polityczną, wygłoszoną w trzech europejskich językach, choć nie po włosku. Przeciwstawia się w niej szeroko upowszechnianym opiniom (które nazywa bzdurami), jakoby jej przyszły rząd miał zaprowadzić w Italii autorytaryzm albo wystąpić ze strefy euro. I oskarża europejską lewicę jako świadomego autora tej oszczerczej czarnej propagandy. Jednak ton pogadanki Meloni sugeruje wyraźnie, iż bardzo zależy jej na tym, by z góry wykluczyć podejrzenia o jakieś przyszłe awantury z brukselską eurokracją. Meloni zarzeka się, że Bracia Włosi są po prostu partią włoskich konserwatystów i w żadnym razie nie ma tam jakichś okropnych eurosceptyków. Nie występuje tym razem, co przecież czyniła w przeszłości, jako lider gotowy wejść w spór z unijnym establishmentem, ale raczej jako ktoś, kto pragnie zabiegać o jego względy.

Krótko przed wyborami Meloni obwieściła swoje kluczowe (jak dotąd) ustępstwo ideowe. Zapowiedziała, że nie zamierza zmieniać tzw. ustawy 194, gwarantującej we Włoszech swobodę przerywania ciąży na żądanie. Zapewne zadziałała tu świadomość, iż Bruksela, Paryż i Berlin uznają pełną swobodę aborcji za podstawowe prawo człowieka, a narażenie się im może ściągnąć na nowego premiera Włoch katastrofę blokady funduszu odbudowy.

W Polsce, gdzie zdaje się nam, iż opinia publiczna jest bardzo uwrażliwiona na groźbę utraty funduszów unijnych, nie jesteśmy sobie nawet w stanie wyobrazić, jaki poziom napięcia i emocji towarzyszy tej kwestii we Włoszech. W głównych mediach powszechne jest tam przekonanie, że Italia dozna głębokiego gospodarczego zawału, jeśli ktoś tylko pozbawi jej tych funduszów.

Nic zatem dziwnego, że Meloni stara się z góry zadeklarować ideowe koncesje. Jednak mimo to właśnie kwestia aborcji stała się pretekstem do ataku na Włochy ze strony rządu Francji zaraz na drugi dzień po wyborach. Premier Borne (choć kobieta) zamiast gratulacji dla Meloni zapowiedziała, że Paryż będzie rygorystycznie monitorować, jak wolność aborcji, która jako prawo człowieka musi być respektowana w całej Europie, będzie teraz traktowana przez rząd włoski. Borne musiała trochę wystraszyć działaczy FdI, bo jeszcze tego samego dnia bliski współpracownik Meloni – Fabio Rampelli, w tonie dość histerycznym skarżył się, że „nie wolno bezcześcić obrazu całego narodu, skoro tłumaczyliśmy, że nie ruszymy ustawy 194, nie będziemy naruszać praw człowieka ani prawa do aborcji".

borów. To, co łączy dziś Kaczyńskiego i Meloni, to z jednej strony proamerykańskość i antyrosyjskość (to skądinąd duża i cenna rzadkość we włoskiej polityce), a z drugiej – emocjonalna niechęć do panującej w Unii lewicowej ideologii. Na rzecz przyszłego polsko-włoskiego sojuszu przemawia także fakt, iż PiS wraz z Braćmi Włochami są członkami tej samej międzynarodówki – Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Jednak muszę przyznać, że patrząc na nową, miękką i bardzo unijną twarz Meloni, nabrałem wątpliwości, czy włoska premier gotowa by była jeszcze bardziej popsuć sobie reputację w Brukseli, broniąc interesów

Giorgia Meloni i Jarosław Kaczyński podczas spotkania w Warszawie w maju 2021 r.

JAKI SOJUSZ POLSKO-WŁOSKI

Kwestia włoskiej ustawy 194 jest o tyle ciekawa, że może stanowić sprawdzian poziomu realnej politycznej suwerenności premier Meloni. A jest to rzecz o dużym znaczeniu także dla prawicy rządzącej w Polsce.

Jarosław Kaczyński już kilkakrotnie obwieszczał swoje wielkie nadzieje na zmianę ideowego układu sił w Unii Europejskiej w rezultacie włoskich wy-

swojego prawicowego polskiego sojusznika. Owszem, Rzym z pewnością na dłuższy czas wypada z europejskiej koalicji, która chce szantażem zmusić Warszawę do ideologicznej uległości. Nie jest jednak wcale pewne, czy będzie gotów wraz z Warszawą konstruować alternatywną wewnątrzunijną koalicję. Giorgia Meloni rozpoczyna bowiem swój trudny i ryzykowny balans na cienkiej europejskiej linie. A unijna Europa chętnie pomoże jej poślizgnąć się i z niej spaść.

eprasa.pl 5e28128ada

Maszyna do pisania była jej bronią

Zofia Kossak jest uważana za pierwszą pisarkę na świecie, która w swoich dziełach odkryła istotę dwóch największych totalitaryzmów XX w.: sowieckiego bolszewizmu i komunizmu oraz niemieckiego nazizmu. Zadebiutowała literacko równo 100 lat temu

LIDIA DUDKIEWICZ

Bogate pisarstwo Zofii Kossak jest zestawiane ze szczytami twórczości naszego noblisty Henryka Sienkiewicza. Dlatego może zaskoczyć fakt, że na pytanie dotyczące jej życiowych osiągnięć pisarka odpowiedziała: „Według mojego osobistego mniemania osiągnięcia mam następujące: praca w konspiracji i przebycie Oświęcimia. Z tego ostatniego wyszłam w najgorszej formie fizycznej, ale najlepszej duchowej”.

BLISKO HOLLYWOOD I NAGRODY NOBLA

Podsumowując swoje bogate życie, Zofia Kossak nie wspomniała o twórczości, a przecież jej książki osiągały rekordowe nakłady i były również znane za granicą. Mówią o tym ważne fakty. Otóż „Bez oręża” i „Przymierze” miały szansę ekranizacji w Hollywood. W czasie gdy pisarka była więziona przez Niemców w obozie Auschwitz i w gestapowskiej katowni na Pawiaku, wydrukowano

Fot. NAC

eprasa.pl 5e28128ada

w nowojorskim wydawnictwie angielskie tłumaczenie „Bez oręża", które natychmiast stało się bestsellerem (sprzedano 750 tys. egzemplarzy). Powieść znalazła się na sporządzonej przez Book of the Month liście najbardziej poczytnych książek. Armia amerykańska przygotowała też specjalną wersję frontową „Bez oręża" dla żołnierzy, w formacie mieszczącym się w kieszeni munduru, proponując ją jako lekturę podczas wojny. Zofia Kossak miała też dużą szansę na zdobycie Literackiej Nagrody Nobla za „Krzyżowców". Niestety, od 1945 r. autorka tych wybitnych dzieł przebywała na przymusowej emigracji, rząd PRL pozbawił ją praw obywatelskich, a jej książki z powodu stalinowskich represji od 1947 r. znalazły się na indeksie, zostały usunięte z polskich bibliotek i księgarń oraz oddane na przemiał. Władze komunistyczne w ojczyźnie skazały Zofię Kossak na wieloletnią śmierć cywilną.

WOŁYŃSKA POŻOGA

Życie pisarki przypadało na czasy rewolucji bolszewickiej, a także dwóch wojen światowych i komunistycznego zniewolenia. To wszystko mocno odcisnęło się na jej losach i znalazło miejsce w twórczości stanowiącej nie tylko cenne świadectwo, lecz również ważne źródło historyczne.

Przyszła na świat w 1889 r. w Kośminie na Lubelszczyźnie. Po stracie rodzinnego domu jej ojczyzną stały się Kresy. Najpierw były to Skowrótki na Wołyniu, które zostały doszczętnie ograbione podczas rewolucji bolszewickiej. Żołdacy z największym okrucieństwem mordowali ludzi i bestialsko niszczyli ich dobytek. Zofia Kossak z dwójką małych dzieci musiała uciekać w chłopskim przebraniu. Zapis wołyńskiego pogromu zawarła w książce „Pożoga. Wspomnienia z Wołynia 1917–1919". Oto jej fragment: „Porąbano w kawałki stare gdańskie ciężkie meble, wśród których wyrosłam, których niezliczone kanty były wygładzone dziecinnymi rękami moich braci i moimi. Pijany sołdat wylegiwał się na łóżku mojej matki; brudne dzieci wśród chichotów darły wyblakłe dagerotypy, dawne listy i mnóstwo innych pamiątek, niezmiernie bliskich i drogich. Wielkie szafy, niegdyś źródło nienasyconej ciekawości, niezliczone drobiazgi, z których każdy miał historię, piękne i dobierane książki w ogromnej ilości – wszystko to zostało gorzej niż spalone, bo sprofanowane i sponiewierane". Autorka „Pożogi", pisząc o rewolucyjnym pogromie na Kresach, zwróciła uwagę na imperialną i dziką naturę bolszewików. Stwierdziła jednoznacznie: „Czerwoni władcy sowieccy, wielcy zniszczeniem, potężni krwawym upiorem postrachu, nie obawiali się naprawdę żadnej z potęg ziemskich. Mocno wierząc w szybkie rozlanie się bolszewizmu po całej Europie, śmiali się ze słów: kontrrewolucjonista, reakcja, burżuazja itp., uważając je jedynie za dobre straszaki dla swoich otumanionych służalców".

Trzeba nadmienić, że niezwykłe powodzenie wydanej w 1922 r. autobiograficznej powieści „Pożoga", uznanej za literacki bestseller, zadecydowało o tym, że Zofia Kossak została pisarką, a nie malarką jak słynni artyści z rodu Kossaków. Ta osobista opowieść o bolszewickim pogromie na Wołyniu pierwotnie miała być dla pisarki formą terapii w związku z traumą po pożodze, w której straciła kolejne rodzinne domy i ledwo wraz z najbliższymi uszła z życiem. Tymczasem książka okazała się najważniejszym dziełem literatury polskiej o rewolucji na Wołyniu w latach 1917–1919. Do wybuchu II wojny światowej miała sześć wydań, a także tłumaczenia na języki: angielski, japoński, francuski i węgierski.

WOJENNA POŻOGA

W 1939 r., w przeddzień wybuchu wojny, autorka „Pożogi", mieszkająca wtedy w Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim, zdecydowała się uciekać przed Niemcami na wschód. Kiedy 17 września do uciekinierów dotarła wiadomość o wkroczeniu na teren Polski armii sowieckiej, pisarka zanotowała: „Tysiące oszalałych ludzi wędruje na wschód, tysiące wraca na zachód. Świat się kończy, zapada, gdy cofają się nazad w ręce tego samego nieprzyjaciela, przed którym pierzchli. [...] Zabrakło już ojczyzny pod stopami". Zofia Kossak zbyt dobrze pamiętała, jak bolszewickie, śmierdzące buciory zadeptywały jej rodzinne dziedzictwo na Wołyniu, dlatego zdecydowała się wracać na zachód, do okupowanej przez Niemców Warszawy.

Od początku pobytu w stolicy działała w konspiracji. Używała pseudonimów: Ciotka, Weronika, Pani Zofia. Posługiwała się fałszywymi dokumentami, wystawionymi na nazwiska: Sikorska, Sokołowska, Śliwińska. Nie zważając na śmiertelne zagrożenie, stała się jedną z najaktywniejszych działaczek warszawskiego podziemia. W jej mieszkaniu spotykali się żołnierze, intelektualiści, duchowni, artyści i młodzież – wszyscy, których łączyła wspólna sprawa: walka z okupantem.

Pisarka uważała, że w czasie wojennej próby serc i sumień narodu polskiego nie godzi się pisać powieści, dlatego jako literatka zamilkła. Włączyła się za to w walkę o wolną ojczyznę, służąc swoim talentem. Poza małymi wyjątkami podejmowała przede wszystkim doraźną publicystykę interwencyjną, traktując to jako formę obrony wobec niemieckich gadzinówek zakłamujących okupacyjną rzeczywistość. Publikowała teksty głównie w prasie konspiracyjnej oraz przygotowywała odezwy i broszury. Z pisarza stała się żołnierzem, a jej bronią była wtedy maszyna do pisania.

eprasa.pl 5e28128ada

Ta odważna kobieta o wyjątkowym harcie ducha była zdolna do heroicznych czynów. W okresie wojennego koszmaru mówiono na nią „Boży szaleniec", „natchnienie Polski Podziemnej", „bohaterska Weronika", „najdzielniejsza z dzielnych".

PODZIEMNE PUBLIKACJE

„Dekalog Polaka" Zofii Kossak z 1940 r. to jedna z najważniejszych w Polsce publikacji z okresu II wojny światowej podtrzymujących morale społeczeństwa i mobilizujących do czynu patriotycznego. Znalazły się w nim m.in. takie wezwania: „Czcij Polskę, Ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną [...]. Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej dorobek i Majestat [...]". Tekst „Dekalogu Polaka" dotarł do Londynu, czytano go w żołnierskich świetlicach.

W 1942 r., w związku z podjętą przez Niemców akcją ostatecznej i bezwzględnej eksterminacji Żydów, Zofia Kossak, będąca wtedy przewodniczącą katolickiego Frontu Odrodzenia Polski, przygotowała „Protest" przeciwko mordom dokonywanym na narodzie żydowskim. „Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje, i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia [...]. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem" – napisała autorka „Protestu", który był pierwszym dokumentem sprzeciwiającym się niemieckiej zagładzie narodu żydowskiego. Fragmentów tej ulotki prześladowani Żydzi uczyli się na pamięć i płakali. Był to dla nich powrót do świata prawdziwie ludzkich wartości.

W tym odważnym tekście znalazło się też ostrzeżenie: „W upartym milczeniu międzynarodowego żydostwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej

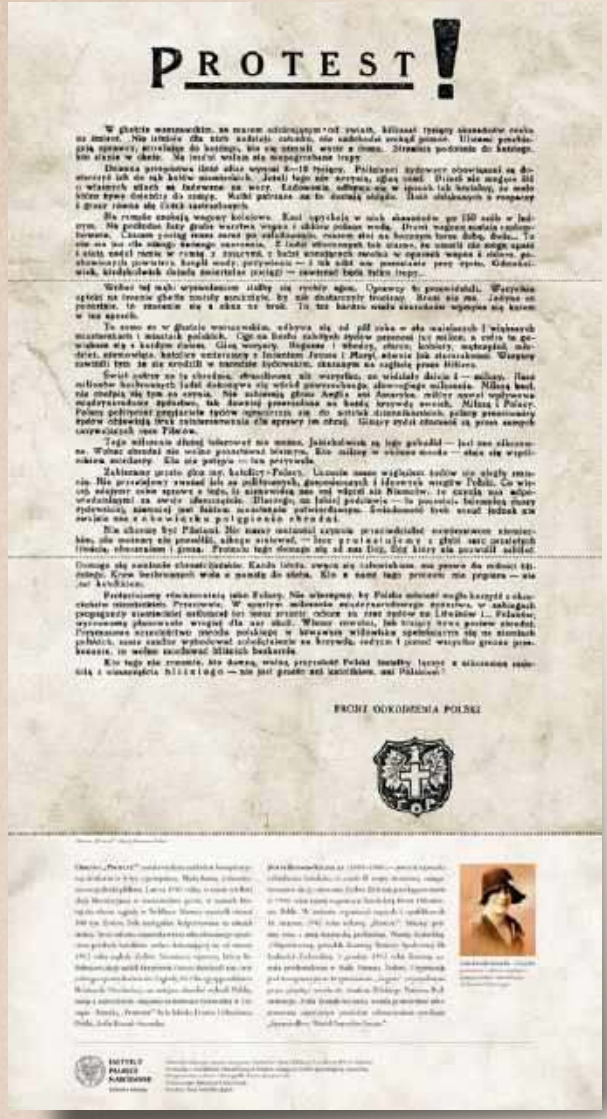
PROTEST!

FRONT ODRODZENIA POLSKI

już teraz zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i... Polaków wyczuwamy planowanie wrogiej dla nas akcji". Okazuje się, że Zofia Kossak miała słuszne obawy, zwracając uwagę na powstającą już wówczas kłamliwą narrację dotyczącą Holokaustu. Widziała w tym niebezpieczeństwo na przyszłość.

Pisarka działała w konspiracji na różnych frontach. Troszczyła się również o formację duchową ludzi podziemia. Dlatego obok Frontu Odrodzenia Polski funkcjonowała grupa Credo, skupiona wokół przewodnika duchowego, którym był ks. dr Edmund Krauze – prefekt z warszawskiego kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Po jego śmierci w 1943 r. zastąpił go ks. Jan Zieja – kapelan Komendy Głównej Armii Krajowej. Wykłady dla tej konspiracyjnej grupy wygłaszał również ks. prof. Stefan Wyszyński. Dokonania pisarki nieraz graniczyły z cudem. Przede wszystkim dzięki niej została zorganizowana akcja systematycznego dostarczania konsekrowanych komunikantów więźniom osadzonym na Pawiaku.

RADA POMOCY ŻYDOM

W 1942 r. dzięki staraniom Zofii Kossak i Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej powstał Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom (występujący też pod nazwą: Komisja Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej). Była to pierwsza konspiracyjna organizacja powołana w okupowanej Europie do ratowania ludności żydowskiej. Po kilku miesiącach prężnej działalności komisja przekształciła się w Radę Pomocy Żydom „Żegota", która podlegała Delegaturze Rządu na Kraj. Zofia Kossak nie weszła do władz Żegoty z różnych powodów, ale głównie ze względu na swój powściągliwy stosunek do różnych wpływów politycznych. Nadal osobiście pomagała ukrywającym się Żydom, m.in. przez dostarczanie pieniędzy, fałszywych dokumentów i lokowanie ludzi w kryjówkach. Za tę działalność groziła kara śmierci. Tymczasem ona narażała nie tylko siebie, ale również życie własnych dzieci, posyłając je w niebezpieczne miejsca, by skazanych na zagładę Żydów przeprowadzały do kryjówek. Za ratowanie Żydów „bohaterska Weronika" została odznaczona przez izraelski instytut Yad Vashem medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

PAWIAK I AUSCHWITZ

W 1943 r. pisarka jako Zofia Śliwińska została zatrzymana na warszawskiej ulicy, gdy przenosiła materiały konspiracyjne. Uwięziono ją na Pawiaku, a po-

eprasa.pl 5e28128ada

tem przewieziono do KL Auschwitz. Po odkryciu przez obozowe władze prawdziwej tożsamości pisarki ponownie została przewieziona na Pawiak i oddana w ręce gestapo. Podczas brutalnych przesłuchań nie dała się złamać. Została skazana na śmierć. W oczekiwaniu na wykonanie wyroku wysłała gryps następującej treści: „Kiedy ja umilknę, kamienie wołać będą. Liczy się tylko Bóg i drugi człowiek. Reszta – dym". Dzięki staraniom konspiracyjnego podziemia oraz Delegatury Rządu na Kraj wyszła na wolność 29 lipca 1944 r. – w chwili, gdy wszystko wskazywało na to, że jest prowadzona na rozstrzelanie. Ta „najdzielniejsza z dzielnych" była wtedy cieniem człowieka, ważyła 38 kg.

Wkrótce po opuszczeniu więzienia pisarka wraz ze swoimi kilkunastoletnimi dziećmi przyłączyła się do warszawskich powstańców. Gdy Władysław Bartoszewski, sekretarz Zofii Kossak, wyraził swój niepokój, przekonany, że jej dzieciom walczącym na Starówce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, w odpowiedzi usłyszał spokojne wyjaśnienie, że znajdują się pod najlepszą – „boską opieką". Sekretarz pisarki wyznał: „Ona była naszym natchnieniem w czasie wojny, w czasie konspiracji. Szliśmy do niej i patrzyliśmy na nią, bo była charyzmatyczna w tym, co robiła. Zapalała ludzi podczas wojny. Ona przede wszystkim w ogóle się nie bała. To wynikało z jej wiary".

Fot. Polonia.pl (2x)

WSPOMNIENIA WIĘŹNIARKI

Po upadku powstania warszawskiego Zofia Kossak jak wielu powstańców schroniła się w Częstochowie. Tam spisała swoje świadectwo z Auschwitz, które w odcinkach było drukowane anonimowo w tygodniku „Niedziela". W 1946 r. w Częstochowie ukazało się pierwsze książkowe wydanie tej obozowej relacji – „Z otchłani. Wspomnienia z lagru". Rok później książka miała wznowienie oraz została przetłumaczona na języki włoski i francuski. W Londynie przygotowywano wydanie również w języku angielskim, ale ostatecznie wydawca zwrócił autorce maszynopis, uzasadniając swoją odmowę wydania książki tym, że czytelnik nie uwierzy w fakty, które opisała.

Swoje dramatyczne świadectwo z Auschwitz była więźniarka obozu zakończyła apelem, który powinniśmy usłyszeć również dzisiaj: „Wychowajcie inaczej ludzi, a wszystko będzie rozwiązane. Czas, by wreszcie świat zrozumiał, że – podobnie jak wolność – dobro nie istnieje i nie może istnieć poza Bogiem. Poza Bogiem jest tylko otchłań... obóz i śmierć...".

Zofia Kossak pośmiertnie została odznaczona (w 2018 r.) Orderem Orła Białego. W 2022 r., gdy przypada 100. rocznica jej debiutu literackiego, a także 80. rocznica wydania „Protestu" i powołania Rady Pomocy Żydom „Żegota", miejsce wiecznego spoczynku pisarki w Górkach Wielkich zostało oznaczone przez Instytut Pamięci Narodowej znakiem pamięci „Grób weterana walk o wolność i niepodległość Polski".

Dekalog Polaka

Jam jest Polska, Ojczyzna twoja, ziemia Ojców, z której wzrosłeś. Wszystko, czymś jest, po Bogu mnie zawdzięczasz.

1. Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie.
2. Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej chwały, kariery albo nagrody.
3. Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie.
4. Czcij Polskę, Ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną.
5. Z wrogami Polski walcz wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach twoich.
6. Walcz z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem.
7. Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego.
8. Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem.
9. Nie dopuść, by wątpiono w Polskę.
10. Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej dorobek i Majestat.

Będziesz miłował Polskę pierwszą po Bogu miłością. Będziesz Ją miłował więcej niż siebie samego.

Zofia Kossak

eprasa.pl 5e28128ada

Dlaczego Budapeszt wobec konfliktu na Ukrainie zajmuje odmienne stanowisko niż Warszawa? Czy jest to w stanie zniweczyć polsko-węgierską współpracę na arenie międzynarodowej?

Polski problem z Węgrami

GRZEGORZ GÓRNY

Jeszcze na początku tego roku wydawało się, że przyjaźni polsko-węgierskiej nic nie może zagrozić. Viktor Orbán często spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim, Fidesz łączyła z Prawem i Sprawiedliwością wspólnota programowa, a Budapeszt i Warszawa mówiły niemal jednym głosem na arenie międzynarodowej. Pewien zgrzyt stanowiły promoskiewskie gesty węgierskiego rządu, jednak przymykano na nie oczy, kładąc je na karb energetycznego uzależnienia Madziarów od Rosji.

WOJNA: NASZA CZY NIE NASZA?

Atak Putina na Ukrainę 24 lutego zmienił jednak wszystko. Nastąpił on w czasie, gdy na Węgrzech trwała kampania przed wyborami 3 kwietnia. Do tamtego momentu tematem numer jeden wszystkich debat przedwyborczych była inflacja, drożyzna i kryzys energetyczny. Wojna zmieniła radykalnie perspektywę, stając się główną osią podziału tamtejszej sceny politycznej. O ile opozycja opowiedziała się zdecydowanie za wspieraniem Ukrainy – nie tylko politycznym, ale i militarnym – o tyle głównym hasłem Fideszu stały się słowa: „To nie nasza wojna, chcemy pokoju, nie wciągajcie nas w konflikt".

Elekcja przyniosła prawicy zwycięstwo. Niektórzy w Polsce mieli nadzieję, że po wygranej Viktor Orbán zmieni dotychczasową retorykę, jednak nic takiego nie nastąpiło. Węgierski rząd potępił co prawda putinowską agresję na Ukrainę, udzielił schronienia ukraińskim uchodźcom i przyłączył się do wszystkich sankcji nakładanych przez Unię Europejską na Rosję, jednak odmówił dostaw wojskowych dla Kijowa oraz protestował przeciw wprowadzeniu zakazu na import rosyjskiego gazu do Unii Europejskiej. Przy każdej okazji domagał się też zniesienia sankcji, twierdząc, że są one nieskuteczne i bardziej szkodą Europie niż Rosji.

Nagle okazało się, że rządzących w Budapeszcie i Warszawie dzieli w tej sprawie przepaść. Część polskich publicystów sprowadza ten rozdźwięk jedynie do różnic między obozami PiS i Fideszu. Podział jest jednak znacznie głębszy. Niedawno renomowany think tank Globsec wydał raport na ten temat nastawienia poszczególnych społeczeństw Europy Środkowej do kwestii bezpieczeństwa zewnętrznego. Na pytanie, kto jest głównym partnerem strategicznym dla twojego kraju, 58 proc. Węgrów odpowiedziało, że Niemcy, 35 proc. – że Rosja, a tylko 13 proc. – że USA. Tak niskiego poparcia dla sojuszu z Ameryką nie ma w żadnym innym kraju naszego regionu (następna w kolejności jest Słowacja – 29 proc., i Bułgaria – 21 proc.).

Poparcie dla partnerstwa strategicznego z Moskwą jest więc wśród Madziarów niemal trzy razy wyższe niż dla partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi (35 do 13). Pod tym względem nastawienie społeczne w Polsce jest diametralnie inne. U nas aż 73 proc. obywateli popiera partnerstwo strategiczne z USA, a tylko 2 proc. z Rosją.

Swoim stanowiskiem wobec wojny Orbán wpisuje się więc w nastroje panujące w węgierskim społeczeństwie. Dopóki głównym tematem kampanii były problemy ekonomiczne, Fidesz drżał z obawy, czy uda mu się utrzymać przy władzy. Gdy jednak najważniejszy stał się stosunek do konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, jego notowania w sondażach poszybowały w górę i ostatecznie po raz czwarty z rzędu zdobył większość konstytucyjną. Nie byłoby jednak tak miażdżącego triumfu, gdyby postawa władz w Budapeszcie wobec wojny nie odpowiadała oczekiwaniom większości narodu.

TRZY ZDRADY AMERYKI

W tym kontekście warto wyjaśnić, skąd bierze się antyamerykanizm naszych bratanków. O ile dla Polaków mocarstwami zaborczymi są Rosja, Niemcy i Austria, o tyle dla Madziarów państwami, które dokonały rozbioru ich kraju są Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Włochy. To właśnie przywódcy tych krajów zdecydo-

eprasa.pl 5e28128ada

wali podczas konferencji wersalskiej o radykalnym okrojeniu terytorium Węgier, czego rezultatem stał się traktat pokojowy w Trianon, podpisany w czerwcu 1920 r. Główną rolę w tych wydarzeniach odegrała delegacja amerykańska. O ile dla Polaków prezydent USA Woodrow Wilson jest bohaterem, którego słynna deklaracja stała się jednym z czynników umożliwiających odzyskanie przez Rzeczpospolitą niepodległości, o tyle dla Madziarów jest on grabarzem Korony św. Stefana. Dlatego w Warszawie możliwy jest pl. Wilsona, co w Budapeszcie jest wykluczone.

Do drugiej zdrady Amerykanów, jak mówią Węgrzy, doszło w lutym 1945 r. podczas konferencji w Jałcie, gdzie ówczesny prezydent USA Franklin Delano Roosevelt uległ Stalinowi i zgodził się oddać Europę Środkową w sowiecką strefę wpływów. Po raz pierwszy w swojej historii Madziarzy znaleźli się pod kontrolą Moskwy. Do tej pory, jeśli tracili niepodległość, to odbierali im ją Turcy lub Austriacy, a nigdy Rosjanie.

Po raz trzeci Węgrzy poczuli się zdradzeni przez Amerykanów podczas antykomunistycznego powstania w 1956 r. Radio Wolna Europa zachęcało wówczas powstańców do boju, obiecując im zbrojną pomoc z Zachodu. Apele takie były także nadawane po 4 listopada, gdy na Węgry wkroczyła już armia sowiecka, a w rozgłośni musiano zdawać sobie sprawę, że żadnej interwencji militarnej państw zachodnich nie będzie. Mimo to w eterze wezwania do walki nadal trwały, a powstańcy wykrwawiali się, licząc na zapowiadaną pomoc, która nigdy nie nadeszła. To wydarzenie spowodowało radykalny spadek zaufania do USA wśród antykomunistycznie nastawionej części społeczeństwa. Odwołanie do tej historii można dziś często usłyszeć od Węgrów, którzy mówią, że Amerykanie chcą ich wciągnąć do wojny, a potem zostawią samych sobie tak jak w 1956 r.

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

FEDERACJA ROSYJSKA A ZWIĄZEK SOWIECKI

W kontekście krwawo stłumionego przez Sowietów powstania w 1956 r. Polakom trudno zrozumieć dzisiejszą prorosyjską postawę ponad 1/3 węgierskiego społeczeństwa. Wynika ona z faktu, że Madziarzy dokonują rozróżnienia między Związkiem Sowieckim a Federacją Rosyjską. My mamy wielowiekowe doświadczenie wojen z Moskalami, a także długotrwałych zaborów i okupacji. Dla nas komunizm był tylko jedną z odmian rosyjskiego imperializmu, tak jak wcześniej istniał imperializm carów, a później imperializm reżimu putinowskiego. Węgrzy z kolei tylko raz w swojej historii znaleźli się w strefie wpływów Moskwy: od 1945 do 1990 r. Utożsamiają ten fakt bardziej z ideologią komunistyczną niż imperializmem rosyjskim. Dla nich była to okupacja sowiecka, a nie rosyjska.

O ile Polacy postrzegają siebie jako kraj położony między Rosją a Niemcami, o tyle Węgrzy mają zupełnie inną perspektywę geopolityczną. Nie sąsiadują ani z Rosją, ani z Niemcami, znajdując się daleko na południe od linii Berlin–Moskwa, a jednym z głównych punktów odniesienia pozostają dla nich sąsiednie Bałkany, gdzie ważnym graczem pozostaje Turcja. W związku z tym inaczej niż Polska definiują swoje bezpieczeństwo. Ponieważ są nastawieni raczej proniemiecko i antyamerykańsko, w większym stopniu orientują się na Berlin i Moskwę, czyli stolice, które dążą do zmniejszenia obecności USA w Europie. Odwrotnie niż Warszawa.

Dodatkowym czynnikiem wiążącym Budapeszt z Kremlem jest niemal całkowite uzależnienie Węgier od dostaw surowców energetycznych z Rosji. Stamtąd pochodzi 85 proc. zużywanego gazu i 65 proc. ropy. Poza tym Madziarzy jeszcze w 2014 r. podpisali z Moskwą kontrakt na rozbudowę elektrowni atomowej Paks. O ile inne kraje Europy Środkowej dążyły przez ostatnie lata do ograniczenia monopolistycznej pozycji Gazpromu w regionie, o tyle Węgrzy nie dbali o dywersyfikację źródeł energii.

eprasa.pl 5e28128ada

Viktor Orbán kierował się przy tym podobną logiką jak Angela Merkel: tani gaz z Rosji miał być jednym z kół zamachowych gospodarki. Dlatego jeszcze we wrześniu 2021 r. Budapeszt zawarł z Moskwą długoterminowy (15-letni) kontrakt na dostawy błękitnego paliwa z Rosji. Nie protestował też przeciw budowie Nord Stream 2, uważając, że jest to projekt czysto komercyjny, a nie polityczny.

SPÓR Z UKRAINĄ

Na relacje Węgrów z Ameryką i Rosją nakładają się ich stosunki z Ukrainą, które uległy znacznemu ochłodzeniu po przyjęciu w 2017 r. przez parlament w Kijowie nowej ustawy oświatowej. Wprowadzone wówczas prawo zlikwidowało nauczanie w szkołach w innych językach wykładowych niż ukraiński. Wspomniana decyzja miała na celu derusyfikację szkolnictwa, a tym samym zwiększenie bezpieczeństwa narodowego.

Rozumowanie obozu, który doszedł do władzy po rewolucji na Majdanie, było następujące: skoro w państwie żyje kilka milionów mieszkańców, którzy posługują się jedynie językiem rosyjskim i nie znają ukraińskiego, oznacza to, że są oni wystawieni na oddziaływanie mediów w rosyjskojęzycznej przestrzeni informacyjnej. W tej sferze zaś większość stacji telewizyjnych, rozgłośni radiowych i portali internetowych służy kremlowskiej propagandzie, sławiąc z jednej strony reżim Putina, a z drugiej oczerniając i ośmieszając ukraińską państwowość, tradycje i patriotyzm. Skutkiem tego jest rozpowszechnianie w społeczeństwie ukraińskim nastrojów antypaństwowych, separatystycznych i prorosyjskich. W tej sytuacji władze w Kijowie stwierdziły, że najlepszym sposobem wyzwolenia własnych obywateli spod wpływu rosyjskojęzycznych mediów będzie znajomość języka ukraińskiego.

Decyzja o ukrainizacji systemu oświaty, choć podjęta z myślą o ograniczeniu oddziaływania Rosjan, uderzyła jednak rykoszetem w inne mniejszości narodowe, posiadające szkolnictwo we własnym języku, zwłaszcza w Węgrów. Madziarska mniejszość na Zakarpaciu, licząca ok. 150 tys. osób, do tej pory mogła bowiem liczyć na kształcenie się w ojczystej mowie. Do rzadkości nie należały przypadki Węgrów, którzy ukończyli na Ukrainie szkołę podstawową, średnią i wyższą, a mimo to nie znali w ogóle języka ukraińskiego. Są oni przez to zdaniem władz w Kijowie upośledzeni na ukraińskim rynku pracy i *de facto* mogą liczyć na zatrudnienie głównie na Węgrzech. Dlaczego więc, pytają Ukraińcy, mamy wspierać taką sytuację?

Oprócz tego Węgrzy skarżą się na rząd w Kijowie, że ogranicza prawa mniejszości narodowych, które respektowali nawet komuniści. W czasach sowieckich Madziarzy mieli bowiem na Zakarpaciu szkoły ze swoim językiem wykładowym. Z tego powodu Budapeszt zaczął utrudniać współpracę Kijowa z paktem północnoatlantyckim, blokując kilka razy posiedzenia komisji Ukraina–NATO i domagając się od Kijowa zmian w ustawie oświatowej. Mimo to Ukraińcy pozostali nieugięci.

> My mamy wielowiekowe doświadczenie wojen z Moskalami, a także zaborów i okupacji. Dla nas komunizm był tylko jedną z odmian rosyjskiego imperializmu. Węgrzy zaś tylko raz w swojej historii znaleźli się w strefie wpływów Moskwy: od 1945 do 1990 r. Utożsamiają ten fakt bardziej z ideologią komunistyczną niż imperializmem rosyjskim

VIKTOR ORBÁN IDZIE W ZAPARTE

Rozwój wydarzeń na froncie ukraińskim, zwłaszcza zaś fiasko rosyjskich planów, nie zmieniły polityki Budapesztu. Od wielu tygodni rząd Węgier krytykuje nakładanie przez UE sankcji na Rosję oraz postuluje, by nie obejmować jej nowymi restrykcjami. 26 września na forum parlamentu Viktor Orbán stwierdził: „Podczas gdy Węgry są za pokojem, Europa stoi po stronie wojny". Oskarżył zarazem Zachód, że przez jego politykę lokalny konflikt zbrojny przerodził się w globalną wojnę gospodarczą. Dodał, iż zasoby ludzkie i militarne rezerwy Rosji są nieskończone, a w sferze energetyki Europa to karzeł, a Rosja to gigant. Z tego powodu nazwał unijne sankcje wobec Moskwy strzeleniem sobie w stopę. Jego zdaniem zostały one wymyślone przez brukselską elitę i wprowadzone niedemokratycznie, ponieważ nikt nie pytał o zdanie Europejczyków, a to oni płacą za to cenę.

Przy okazji Orbán zapowiedział przeprowadzenie konsultacji narodowych w formie kwestionariuszy rozesłanych do wszystkich obywateli z prośbą o wyrażenie opinii, co myślą o sankcjach nałożonych na Rosję. Sądząc po nastrojach węgierskiego społeczeństwa, można się spodziewać, że większość będzie im przeciwna.

To wszystko sprawia, że drogi Budapesztu i Warszawy zaczynają coraz dramatyczniej rozjeżdżać się w sprawach kluczowych dla naszego bezpieczeństwa narodowego. O ile rządy Polski i Węgier zgodnie sprzeciwiają się niektórym projektom Brukseli, takim jak unijna polityka imigracyjna czy plan przekształcenia wspólnoty europejskiej w centralnie zarządzaną federację, o tyle mają zupełnie odmienną wizję wojny na wschodzie i ułożenia stosunków z Rosją. Ponieważ ostatnia z tych kwestii ma dla Polski fundamentalne znaczenie, pojawia się pytanie trwałość polsko-węgierskiej współpracy w przyszłości. Wysuwane przez Orbána zarzuty o rzekome eskalowanie konfliktu dotyczą przecież nie tylko Zachodu, lecz także Polski. A w tej sprawie miejsca na kompromis między nami nie ma.

eprasa.pl 5e28128ada

Anka to był uśmiech

Wszyscy wiedzą, jak ta historia się skończyła. Jednak film „Ania", który za chwilę wejdzie do kin, niesie oprócz wzruszeń przekaz pełen optymizmu. Nie zabrakło na ekranie radości, którą emanowała Anna Przybylska

Fot. M. Bielińska sesja VIVA/mat. prasowe

eprasa.pl 5e28128ada

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Co ta dziewczyna miała w sobie, że tylu ludzi ją uwielbiało? Że choć od jej śmierci minęło osiem lat, nawet zaprawieni życiowo i zawodowo aktorzy nie potrafią zapanować nad wzruszeniem, gdy o niej mówią? Co więcej – nie zamierzają ukrywać emocji. We wspomnieniach kolegów i koleżanek z serialowych oraz filmowych planów przewija się wątek swoistej wdzięczności. Każdego z wypowiadających się do kamery w pełnometrażowym dokumencie – który trafi do widzów już 7 października – Anna Przybylska obdarowała czymś, co trwa z nim do dziś. Jakąś wciąż odnawialną porcją witalności, szczerości, wrażliwości, humoru, a przede wszystkim życiowej mądrości, która każe cieszyć się każdą chwilą. Doceniać ją, nie zwracając uwagi na złe emocje, i jak najwięcej być z tymi, których się kocha.

TO JUŻ OSIEM LAT

Krystian Kuczkowski i Michał Bandurski, autorzy głośnych filmów o polskich gwiazdach estrady: „Krzysztof Krawczyk – całe moje życie" oraz „Maryla. Tak kochałam", teraz oddają widzom pełnometrażowy dokument pt. „Ania". Obraz, jak podkreślają, zupełnie inny niż poprzednie choćby z tego powodu, że gdy powstawał, bohaterki nie było już wśród nas. Była – to ważne – jej rodzina, bliscy, koledzy z planu. To z nimi i ich wspomnieniami się konfrontowali. Jednocześnie gdy ruszyła realizacja, od śmierci Anny Przybylskiej zdążyło już minąć parę lat. Na tyle dużo, by móc nabrać dystansu do wydarzeń i sytuacji, w których brała udział bohaterka, ale i – jak się okazało – dla wielu zbyt mało, by pogodzić się z jej odejściem.

TAK JĄ ZAPAMIĘTALI

„Twarz dziecka, głos Himilsbacha i te wielkie oczy..." – wspomina Radosław Piwowarski, reżyser, który odkrył Przybylską dla kina. To on powierzył jej rolę Suczki – nastolatki, która w filmie „Ciemna strona Wenus" burzy małżeński spokój pary głównych bohaterów.

Ania miała 16 lat, gdy przyjechała z rodzinnej Gdyni do Warszawy, by dostać się do agencji modelek, ale usłyszała, że jest za niska, za gruba i ma krzywe zęby. Ponieważ jednak przy okazji dowiedziała się, że obok jest casting do filmu, zajrzała i tam.

Po pokazie „Ciemnej strony Wenus" na festiwalu w Gdyni w 1998 r. uznano ją za aktorskie objawienie. Kilka miesięcy później Radosław Piwowarski jako jeden z reżyserów serialu „Złotopolscy" uparł się, by dziewczyna bez zawodowego przygotowania, tuż po liceum, dostała rolę policjantki Marylki. Intuicja znów go nie zawiodła. Widzowie pokochali bohaterkę. Zdarzało się, że podróżni pytali funkcjonariuszy napotkanych na warszawskim Dworcu Centralnym, gdzie mogą znaleźć Marylkę Bakę.

Na planie „Złotopolskich" Ania poznała Pawła Wawrzeckiego, który często podkreślał, że młodziutka Przybylska wniosła na plan świeżość, dobrą energię i radość. Nie straciła tych cech i później, gdy miała już wyrobioną zawodową pozycję. Pozostała urocza i naturalna, po prostu żywe srebro – uważa aktor, który z perspektywy mijających lat do dawnych pochlebnych opinii dodaje: „Dostała od losu wszystko oprócz czasu".

W SŁOŃCE LEĆ

Andrzej Piaseczny, którego od wspólnych zdjęć na planie „Złotopolskich" łączyła z Przybylską serdeczna przyjaźń, przyznaje, że dzięki tej znajomości wiele zrozumiał. Zarówno on, jak i Michał Żebrowski podkreślają w filmie, że Ania o wiele szybciej od nich życiowo i emocjonalnie dojrzała. Dziś widzą to bardzo wyraźnie.

Piasek nie zastanawiał się długo, gdy twórcy dokumentu zaproponowali mu napisanie do niego piosenki. Spodobała mu się muzyka Wojciecha Frycza, syna Jana. Dodał do niej bardzo osobisty tekst i wykonał utwór, który znalazł się w finale filmu (można go także wysłuchać, oglądając teledysk): „Tak się miało stać / Tak być / Zostać tak / W słońce leć / Sama wiesz / Najzwyczajniej to pociąga nas [...] Krzyczeć i tańczyć / Światła nie gasić / Więcej dotykać / Co znika i tak...".

Piaseczny tłumaczy, że nie chciał nagrywać smutnej ballady, bo Ania nie życzyłaby sobie takiego wydźwięku. „Anka to był uśmiech" – podkreśla piosenkarz.

O NICH, O TOBIE

Drugi utwór promujący produkcję – zatytułowany „O nich, o tobie" – można usłyszeć w zwiastunie do filmu. „Patrzę na morze / Szeroki kadr / Przewietrza głowę mi [...] Oddycham głęboko i czekam na świt [...] Może kiedyś się dowiem / Znajdę odpowiedź / Czym się stajemy / Gdy jesteśmy już tam" – śpiewa w nowym singlu Sylwia Grzeszczak.

Tymczasem w dokumencie „Ania" Szymon Bobrowski mówi o tytułowej bohaterce: „Zjawiskowa kobieta, zjawiskowy człowiek". Michał Żebrowski, z którym grała w filmie „Sęp", podkreśla: „Wierzyła, że bycie sobą wystarczy, żeby przekonać

do siebie widza". Piotr Szwedes zapewnia: „Zaczarowała nas wszystkich", a Cezary Pazura, który spotkał Przybylską na planie „Kariery Nikosia Dyzmy", deklaruje: „Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał".

Wspomnienia ludzi związanych z życiem i karierą Anny Przybylskiej (poza już wymienionymi także m.in.: Katarzyny Bujakiewicz, Anny Dereszowskiej, Jana Englerta czy Pawła Małaszyńskiego), a także opowieści jej bliskich (m.in. partnera Jarosława Bieniuka czy córki Oliwii), wsparte materiałami wykrojonymi z prywatnych nagrań, pozwoliły stworzyć poruszający, wielowymiarowy portret. Uwielbiającej życie i realizującej marzenia dziewczyny z Gdyni, którą widzowie pokochali za postać serialowej Marylki i pożegnali wraz z rolą w kinowym „Bilecie na księżyc" Jacka Bromskiego (zagrała tu zjawiskową kobietę, striptizerkę i zarazem kochającą matkę małego chłopca).

Historia tytułowej „Ani" to opowieść o kobiecie spełnionej w każdej z tych ról: aktorki, modelki, partnerki, przyjaciółki i przede wszystkim – co podkreślała zwłaszcza w ostatnich latach życia – mamy. W filmie, jak zapewniają twórcy, usłyszymy zaraźliwy śmiech bohaterki, sama opowie, czym był dla niej sukces, piękno i sens życia. Rodzina zdradzi, jaka była poza kamerami dla swoich najbliższych, dla dzieci (Oliwia Bieniuk mówi, że była mamą kochającą, ale wymagającą). Współpracownicy opowiedzą o jej pracy na planie i karierze zawodowej, przyjaciele zaś o tym, jak ich zaskakiwała i z jakimi wspomnieniami ich zostawiła, gdy po wyniszczającej chorobie odeszła 5 października 2014 r.

RODZINA NAJWAŻNIEJSZA

Kiedy sześć lat temu Michał Bandurski i Krystian Kuczkowski po raz pierwszy zaproponowali rodzinie zrealizowanie filmu dokumentalnego o życiu Anny Przybylskiej, bliscy odmówili. Nie byli gotowi.

Ponad dwa lata później decydujące okazało się zdanie matki, Krystyny Przybylskiej. To ona wybrała koncepcję filmu. Dokument pozwolił jej zobaczyć na ekranie córkę, a nie grającą ją aktorkę.

Zależało jej też, by twórcy przypomnieli widzom nie tylko wystylizowaną piękną kobietę z ekranu, okładek magazynów i kampanii reklamowych, ale też Anię codzienną, dla której najważniejsza była rodzina. Kiedy telewizyjne czy kinowe propozycje okazywały się zbyt czasochłonne, Przybylska odmawiała wzięcia w nich udziału. Mówiła, że nie wywróci swoim bliskim życia do góry nogami z powodu jakiegoś serialu. Zadziwiała takim podejściem fanów i filmowe środowisko. W końcu, zdobywszy pozycję w show-biznesie, zamiast planować rozwój kariery, marzyła o rodzinie. I bardzo wcześnie, niezależnie od produkcyjnych grafików, zdecydowała się na dziecko. Gdy urodziła Oliwię, miała 24 lata. Trzy lata później na świat przyszedł Szymon, po kolejnych sześciu – Jaś. Nie było dla niej problemem wycofać się z zawodu, kiedy Jarosław Bieniuk, ojciec jej dzieci, dostał zagraniczny kontrakt. Do Gdyni wróciła po zakończeniu piłkarskich zobowiązań partnera.

W 2013 r. przeszła operację wycięcia guza trzustki. Na dobre wycofała się z życia publicznego. Do końca miała przy sobie bliskich i widok – z domu – na morze. W ostatnim wywiadzie stwierdzała: „Teraz rozumiem, co znaczy cieszyć się każdą chwilą". Pytana o plany mówiła, że nie chce wybiegać daleko w przyszłość. Myśli krótkoterminowo, ale chciałaby zagrać steraną życiem, zmęczoną, brzydką kobietę. Bo najpiękniejszą rolę już stworzyła. To jej rodzina.

Fot. M. Bielińska sesja VIVA/mat. prasowe

eprasa.pl 5e28128ada

Łukaszowcy wrócili do domu

Po ponad 80 latach wrócił do Polski „nowojorski" projekt Łukaszowców. Cykl siedmiu historycznych płócien jest jedną z nielicznych pozostałości po tej chyba najbardziej niezwykłej grupie artystycznej polskiego międzywojnia

WOJCIECH LADA

Mieli trzy miesiące na stworzenie siedmiu obrazów, ilustrujących ducha historii Polski. Pojedynczo nie byliby w stanie ich ukończyć, tym bardziej że miały to być duże obrazy. Wpadli więc na szalony plan namalowania ich zespołowo. „W tych warunkach postanowiliśmy malować wspólnie wszystkie obrazy jednocześnie. Do tego celu świetnie nadawała się pracownia Pruszcza w Kazimierzu, w której czwórką koni można było zawracać. Toteż w końcu sierpnia zjechało się tam 11 członków bractwa. Zasadą naszego działania było wykonanie poszczególnych faz przez różnych autorów. A więc: kto inny wykonywał szkic, kto inny go rozwijał na kartonie, ktoś inny podmalował na desce i kto inny kończył malowanie. Często jedną fazę opracowywało nawet paru kolegów" – wspominał Jan Zamoyski, jeden z uczestników projektu.

Zdążyli, a efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Kiedy płótna zaprezentowano w Instytucie Propagandy Sztuki, Jan Szeptycki z tygodnika „ABC" pisał:

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5e28128ada

„Nareszcie prawdziwa sensacja. Spodziewano się jej od dawna, ale nikt nie przewidywał, że takie właśnie formy przybierze. Toteż przed historycznymi obrazami, które 11 malarzy Bractwa św. Łukasza wykonało wspólnie na wystawę nowojorską – pełno. Takiego zainteresowania sztuką już od kilkunastu lat nie było".

Wkrótce potem, obrazy odpowiednio zapakowane, pojechały do Stanów Zjednoczonych, gdzie były ozdobą sali honorowej Pawilonu Polskiego na Wystawie Światowej w Nowym Jorku. Do Polski wróciły dopiero teraz, po 83 latach.

PRZYGODY W KAZIMIERZU

Zamoyski wspominał o pracowni Pruszcza w Kazimierzu. Mowa tu Tadeuszu Pruszkowskim, znakomitym malarzu, a jednocześnie wykładowcy w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. On właśnie był tą osobą, dzięki której grono młodych malarzy – jego studentów – postanowiło stworzyć grupę artystyczną, która podjęła się wykonania owych siedmiu dzieł historycznych. W zasadzie nic więcej ich nie łączyło. Malowali różnymi technikami, w różnych stylach, poruszali też zazwyczaj odmienną tematykę. Zbliżyły ich dwa elementy: Pruszkowski i szczera, bardzo bliska przyjaźń. Oba znalazły doskonałe tło w postaci Kazimierza nad Wisłą – cudownego miasteczka, które właśnie dzięki organizowanym tam plenerom malarskim i późniejszym wystawom powstałych tu dzieł stało się jednym z popularniejszych kurortów.

„Miasteczkiem zostaliśmy po prostu oczarowani – przyznawał Zamoyski. – Niemal w zasięgu ręki miało się: bogato urzeźbiony teren ze wzgórzami przeoranymi głębokimi jarami; szeroko rozlaną rzekę z postrzępionymi brzegami i łachami piasku, tworzącymi wspaniałą plażę; statki parowe i pychówki na wodzie, a sieci rybackie rozpięte na brzegu; genialnie wkomponowaną w teren urzekającą architekturę osiedla z górującymi, szlachetnymi sylwetkami kościołów oraz wyjątkowymi w swej wartości plastycznej kamienicami i drewnianymi domkami; ruiny zamku z basztą na górze i zabytkowe spichlerze na dole...".

Malarz dodawał, że zarówno relacje z profesorem, jak i same plenery i zajęcia były dalekie od formalności. „Były i wzajemne odwiedziny, i w zwartych grupach wspinaczki na górę zamkową, i potańcówki w pensjonatach, i pełne podniecenia wymykanie się na randki ze świeżo poznanymi letniczkami" – opowiadał. I właśnie w takiej atmosferze, pod nienachlaną kontrolą Pruszkowskiego, rozwijały się wyjątkowe talenty kilkunastu młodych plastyków. Nikt niczego im nie narzucał: każdy szukał swojego stylu, wzajemnie stymulowali się do eksperymentów i zabaw z formą czy kolorem. W zasadzie jedyną zasadą, którą skutecznie wpoił im profesor, było dbanie o techniczną perfekcję. Artystami byli dzięki talentowi – dzięki nauce mieli stać się również doskonałymi rzemieślnikami.

I to się udało. Kiedy na początku 1928 r. ich prace zostały wystawione w Zachęcie, Antoni Słonimski w swojej „Kronice Tygodnia" na łamach „Wiadomości Literackich" dosłownie rozpływał się z zachwytu. „W Zachęcie wystawiono teraz kilkadziesiąt płócien muzealnej wartości. Co to za młodzi chłopcy, co malują jak diabły, jak stare majstry, jak młode bogi! To uczniowie Tadeusza Pruszkowskiego [...]. To, co zrobił Pruszkowski na czele swoich uczniów, ustanawia nowy rekord umiejętności. Poniżej tego rekordu nie wolno już się będzie znaleźć poważnemu malarzowi, bo stanie się, mówiąc po sportowemu, patałachem. Bractwo św. Łukasza to podniesienie poziomu wymagań, to zdobycz nie do przemilczenia". Nawet cyniczny zazwyczaj Witkacy uznał je za wspaniałe.

Ale nie brakowało też uwag krytycznych. Uczniowie Pruszkowskiego trzymali się zasadniczo malarstwa tradycyjnego, co w czasach modnych prądów światowej awangardy wzbudzało niechęć odważniejszych eksperymentatorów. Choćby ze strony kapistów, takich jak np. Józef Czapski. Co jednak ciekawe, nawet on nie był w stanie powstrzymać się od pochwalenia nadzwyczajnej techniki i po prostu talentu swoich konkurentów.

RZEMIOSŁO I PRZYJAŹŃ

Skąd jednak pomysł na Bractwo św. Łukasza? Zamoyski opowiadał, że w którymś momencie Pruszkowski uznał, że dwóch z nich jest w pełni ukształtowanymi malarzami, spokojnie mogą uzyskać dyplom, opuścić mury uczelni i rozpocząć samodzielną aktywność. Ponieważ byli naprawdę bliskimi przyjaciółmi, wiadomość ta ich poraziła. Uświadomili sobie, że wkrótce drogi ich mogą się rozejść. „Trwożliwe pytanie: »Jak się ułoży nasze życie?«, napełniało nas niepokojem i zmusiło do rozmyślań. Czy mamy pójść w rozsypkę, czy też należy dążyć, aby zadzierzgnięte więzy koleżeńskie zacieśnić jeszcze silniej i pójść w życie razem, wspomagając się nawzajem? Za drugą możliwością opowiedzieli się wszyscy" – wspominał. Z nazwą większego problemu nie mieli. Słowo „bractwo" miało nasuwać skojarzenia z rzemiosłem, a św. Łukasz jest po prostu patronem malarzy.

Ale choć brzmi to wszystko poważnie i niewątpliwie poważne były już wówczas sukcesy łukaszowców, w gruncie rzeczy wciąż byli po prostu młodymi chłopakami, dla których cały ten pomysł bractwa miał również podtekst towarzyski. O panującej w ich kręgu atmosferze wiele mówi choćby taka rymowanka: „Taka jest reguła bractwa / Bez gadania i krętactwa / A kto jej nie uszanuje / Niech nas w dupę pocałuje".

Humory zasadniczo im dopisywały, bo z każdym rokiem wiodło im się coraz lepiej. Otrzymywali też coraz poważniejsze i bardziej intratne zamówienia państwowe, jak choćby dekorację wnętrz transatlantyku MS Batory czy fresk w Wojskowym Instytucie Geograficznym przedstawiający Chrobrego wbijającego pale w Odrę. Nawiasem mówiąc, ten ostatni tak zachwycił polską armię, że generalicja zdecydowała się corocznie asygnować stałą kwotę na zlecenia dla plastyków. Zamoyski np. dostał w ten sposób zamówienie na fresk w kasynie oficerskim w Brześciu. Namalował „Sobieskiego w Jaworowie".

WIELKIE WYZWANIE

Największe jednak zamówienie dotyczyło nowojorskiej wystawy w 1939 r. Było ono tak poważne, że w tym przypadku

eprasa.pl 5e28128ada

Fot. Andrzej Wiktor

Prof. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego, wicepremier, oraz dr Łukasz Gaweł, dyrektor Muzeum Narodowego, podczas otwarcia wystawy

nawet Pruszkowski z mentora przeobraził się w członka bractwa. Oprócz niego do kazimierskiej pracowni zjechali: Bolesław Cybis, Bernard Frydrysiak, Jan Gotard, Aleksander Jędrzejewski, Eliasz Kanarek, Jeremi Kubicki, Antoni Michalak, Stefan Płużański, Janusz Podolski i Jan Zamoyski.

„Wszystkie fazy każdego malowidła opracowano wspólnie, dbając o jednorodność ich wyrazu. Miały cel propagandowy, na siedmiu kapitalnych przykładach ilustrowały ducha narodowej historii. A więc „Chrobry witający Ottona", „Chrzest Litwy", „Nadanie przywileju neminem captivabimus", „Unia lubelska", „Konfederacja warszawska (akt tolerancyjny)", „Odsiecz Wiednia", „Konstytucja 3 maja". Malowano na deskach obciągniętych płótnem, temperą. Każda kompozycja nosiła 11 podpisów, wszyscy byli za nią w równym stopniu odpowiedzialni" – pisał zaprzyjaźniony z Zamoyskim i związany z paryską „Kulturą" krytyk Zbigniew Florczak.

To on 18 grudnia 1938 r. w „Gazecie Polskiej" opowiedział o założeniach cyklu. „Ustalono następujące wytyczne. Obrazy mają być przez szacunek dla Matejki odmienne od jego dzieł historycznych. Ponadto wyraźne, czytelne, jasne, żywe w kolorze, nienaturalistyczne, ostro konturowane, bogate w szczegóły, tłumne, bez rzucanych cieni, malujący mają być sportretowani; zrozumiałe pod każdym względem dla dzieci, dorosłych i malarzy zarówno. Staraliśmy się w miarę sił i możliwości, odpowiedzieć na te postawione sobie liczne zadania. Czy nam się to, i w jakim stopniu, udało – niech kto inny osądzi".

Jak zwykle pojawiły się i głosy krytyczne. Zauważano, że w tej zespołowej pracy zanikły gdzieś indywidualne cechy każdego z malarzy. To prawda, ale czy to rzeczywiście zarzut? Łukaszowcy nauczyli się od Pruszkowskiego być także doskonałymi rzemieślnikami i tak właśnie podeszli do tego cyklu. „Najważniejsze, że obrazy te są oryginalnym przypadkiem triumfu koleżeństwa i głębokiej zawodowej przyjaźni 11 mężczyzn w pełni możliwości twórczych" – jak pięknie ujął to Florczak, dodając coś o wielkim bogactwie narracyjnym i wytrawnej robocie malarskiej.

CZAS BARBARZYŃCÓW

Zasadniczo jednak wszyscy byli cyklem zachwyceni – zarówno w Polsce, jak i Nowym Jorku. I kto wie, jak rozwinęłaby się kariera łukaszowców, gdyby nie wybuchła wojna. Malarze rozproszyli się po świecie, a większość ich dzieł będących w Warszawie uległa zniszczeniu. „Większość naszych prac, które znajdowały się w Warszawie, uległa zagładzie, fresk w Gdańsku został skuty przez kulturtragerów do cegły, a w Instytucie Geograficznym – poważnie uszkodzony. Bractwo zostało po prostu zniszczone fizycznie. Ale uśmiercić nas w sensie artystycznym usiłowano w Polsce dopiero po wojnie" – ponuro zauważał Zamoyski. A Florczak uzupełniał: „Z dorobkiem, ideą i oceną Bractwa św. Łukasza zaraz po wojnie obchodzono się niesprawiedliwie, co więcej – wręcz głupio i po barbarzyńsku. Pewien młody wówczas pracownik Instytutu Sztuki, dziś profesor, oświadczył publicznie, że ci malarze wysługiwali się pieniężnej burżuazji oraz klerowi". Istotnie w socrealistycznej Polsce nie bardzo było miejsce na tego rodzaju sztukę i o łukaszowcach powoli zapominano.

Tymczasem ich największe dzieło przetrwało wojnę, przeżyło socrealizm i pod całkiem niezłą podobno opieką konserwatorską spokojne przebywało w salach Le Moyne College w Syracuse w stanie Nowy Jork. Skąd się tam wzięło? Nie do końca wiadomo. Florczak tłumaczył, że przekazał je tam komisarz nowojorskiej wystawy, Stephen Kyburg de Ropp, do czego upoważnił go polski rząd emigracyjny. Teraz jednak łukaszowcy wrócili, nie bez życzliwości dyrekcji tej instytucji.

* * *

„To jest faktycznie wielki powrót – mówił wicepremier Piotr Gliński podczas konferencji prasowej w warszawskim Muzeum Narodowym. – Tyle lat Polska starała się, żeby łukaszowcy wrócili i łukaszowcy są w domu" – dodawał minister kultury.

Na stałe będzie można podziwiać ich twórczość, gdy powstanie gmach Muzeum Historii Polski. Muzeum Narodowe jest ich tymczasowym przystankiem, gdzie jednak koniecznie trzeba te wyjątkowe obrazy zobaczyć. Od 29 września już można.

Reklama | 34/0822/F

eprasa.pl 5e28128ada

IKONA WYGODY W TWOIM TELEFONIE

Aplikacja IKO ułatwia codzienne sprawy, nie tylko bankowe:

- płać Blikiem i przelewaj na telefon
- kupuj bilety komunikacji miejskiej, płać za parking czy autostradę
- korzystaj z ubezpieczeń np. AC/OC, domu, podróży
- wymieniaj waluty online

Bank Polski
dzień dobry

Pobierz IKO z oficjalnego sklepu z aplikacjami, w Twoim telefonie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Aplikacja IKO stanowi usługę bankowości elektronicznej. Bilety komunikacji miejskiej i opłaty parkingowe są usługami dostępnymi w wybranych miastach i realizowanymi przez operatora aplikacji moBILET. Usługa opłaty za autostrady świadczona jest za pośrednictwem PKO BP Finat. PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Szczegółowe informacje o ubezpieczeniach, w tym o ograniczeniach i wyłączeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdują się w Ogólnych Warunkach Ubezpieczenia poszczególnych produktów dostępnych na www.pkobp.pl. Szczegóły dotyczące funkcji IKO dostępne są na iko.pkobp.pl.

eprasa.pl 5e28128ada

3 MIŁOŚCI

Parszywe czasy

ROBERT TEKIELI

Przyszły parszywe czasy. Pogoda wzoruje się na polityce. Disneyowska wróżka jest czarnoskórym androgynem, wschodnia despotia robi to, co potrafi najlepiej: zabija, torturuje i gwałci, a o nauce Kościoła będą synodalnie decydować niewierzący.

Żeby nie zwariować, przywołuję spotkania z mocą z góry przemieniającą rzeczywistość zła i cierpienia. Na własne oczy widziałem zdrowe ramię zakonnicy, która na afrykańskich misjach uległa wypadkowi, co zaowocowało zmianami troficznymi, których medycyna nie potrafiła wyleczyć. Jej całkowite uzdrowienie było dowodem w procesie beatyfikacyjnym założycielki zgromadzenia zakonnego, do której z prośbą o uzdrowienie siostry Ady modliły się wszystkie zakonnice. Lekarze potwierdzili swoją bezradność. Nie potrafili wytłumaczyć trwałej poprawy jej zdrowia.

Rozmawiałem z w pełni sprawną piękną dziewczyną z południa Polski, w którą uderzyła ciężarówka, doprowadzając ją do stanu wegetatywnego. Komisja lekarska powołana przez sąd biskupi rozpatrujący sprawę beatyfikacji bp. Józefa Sebastiana Pelczara, potwierdziła, że tempa procesu jej rekonwalescencji nauka nie potrafi wytłumaczyć.

Obserwowałem kilkudziesięcioletnią aktywność Izy, która dzięki modlitwie uzyskała pełnię sprawności, mimo iż stwardnienie rozsiane doprowadziło już do paraliżu jednej strony ciała. Remisja z takiego etapu choroby nie jest znana literaturze medycznej.

Rozmawiałem z Danielem, który kosząc mokrą trawę, doprowadził do zwarcia instalacji elektrycznej. Łuk elektryczny, który powstał między jego rękami sprawił, iż nie mógł wypuścić z rąk przewodu przedłużacza. Mięśnie zwierające są bowiem silniejsze od mięśni rozkurczających dłoń. Uratowała go siostra zakonna, wyciągając przewód z kontaktu. Potem okazało się, że takiej siostry w ożarowskim klasztorze nie było. Wszystkie zakonnice w trakcie wypadku modliły się wspólnie w jednym miejscu. Cud był brany pod uwagę w procesie beatyfikacyjnym matki Urszuli Ledóchowskiej, która kiedyś była przełożoną w tym klasztorze. Siostra Maria relacjonowała: – Zobaczyłam Daniela w okropnym stanie, długie rude włosy stały mu dęba, miał przekrwione oczy, poranione ciało i spalone do kości dwa palce prawej ręki. Poza tym jak dotykał klęczników, to one przemieszczały się. Kaplica była w wielkim nieładzie. Zapytałam przerażona, co się stało, a on odpowiedział „prąd" i był zdziwiony, że nic nie wiem, ponieważ widział siostrę, która odciągnęła go od zepsutego przedłużacza.

Te nadprzyrodzone ingerencje wydają mi się dzisiaj bardziej rzeczywiste niż świat, w którym sadomasochizm przestał być dla medycyny zboczeniem, a o pedofilii mówi się, że miłość nie wybiera.

Mariusz pił alkohol przez 17 lat. Stracił rodzinę i dom. Wałęsał się po Polsce, żył na Centralnym w Warszawie. Tracąc życie, spotkał ludzi, którym los beznadziejnego pijaka nie był obojętny. Dzięki ich pomocy trafił przed Najświętszy Sakrament. Od 15 lat nie pije. Ułożył sobie życie.

W listopadowy poranek przed ośmiu laty w Magdalenę Rojkowską uderzył rozpędzony samochód. Miała zmiażdżoną czaszkę, uszkodzoną szczękę, pogruchotaną miednicę. W szpitalu odmawiała koronkę do św. Andrzeja Boboli. Codziennie. Po dwóch tygodniach bez szczególnych komplikacji wyszła do domu. Jest całkowicie samodzielną i sprawną osobą.

Monika prawie rok chodziła ze szkłem w kręgosłupie. – To był przedziwny cud, że przeżyła rok ze szkłem – mówi jej matka. Po jego wykryciu w wojskowym szpitalu przy ul. Szaserów w Warszawie na sali operacyjnej toczyła się bitwa o życie sześcioletniej wówczas Moniki Prusakow. Prof. Donat Tylman nie wiedział, że w czasie wyciągania kawałka szkła z rdzenia kręgowego małej pacjentki był w towarzystwie ks. Jerzego Popiełuszki. Nieżyjący już kapłan trzymał Monikę za rękę i siedział przy niej na taborecie. Córeczka opowiadała: – Byłam na sali z zielonymi kafelkami, wszyscy byli ubrani na zielono, mieli maski, tylko ksiądz Jerzy nie miał. Siedział na taborecie i trzymał mnie za rękę". – Uwierzyliśmy jej, bo dziecko nie mogłoby czegoś takiego wymyśleć – mówi ojciec Moniki, Leszek Prusakow. – Dzisiaj nie pamiętam zbyt wielu szczegółów – mówi 29-letnia Monika Prusakow-Michalak, mama dwojga dzieci. – Pozostał wyraźny obraz młodego mężczyzny, ubranego na czarno z białą koloratką. Wiedziałam, że to ksiądz Jerzy. W moim domu zawsze były jego zdjęcia, przyjaźnił się z rodzicami. Bardzo często chodziliśmy na jego grób – mówiła po latach Monika.

Tym faktom nie da się zaprzeczyć. Rodzą nadzieję, gdy czas parszywieje.

eprasa.pl 5e28128ada

Warte Piotr Litka swoją książką „Zniszczyć księdza" przywołuje temat zasługujący na uporczywe przypominanie. Sprawa zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki pokazuje bowiem ważny rys totalitarnego systemu PRL, którego zbrodniczy charakter rozpływa się dziś w sentymentalnych wspomnieniach młodych wówczas ludzi lub jest skrywany za barejowską ironią cenzurowanych przecież filmów i seriali, niemogących z definicji ukazywać ciemnej strony systemu.

„Zniszczyć księdza" jest portretem mówiących po polsku funkcjonariuszy totalnego aparatu przemocy wychowanych według wzorców z Łubianki. Trudno szukać u Grzegorza Piotrowskiego przejawów przynależności do polskiej wspólnoty powstałej na fundamencie chrześcijaństwa. Jeśli Boga nie ma, wszystko wolno – ta formuła Dostojewskiego opisywałaby morderców księdza Jerzego, tyle tylko że w ich świecie Bóg nie jest choćby negatywnym punktem odniesienia. Jeden z oskarżycieli posiłkowych na procesie funkcjonariuszy SB skazanych za zabójstwo kapłana z Żoliborza, opisywał sataniczną wręcz atmosferę na sali sądowej. Szatan jest porażającą pustką. Jego obecność można wyczuwać również w świecie dostępnym zmysłami.

Sam proces był teatrem politycznym. Służył oskarżeniu Kościoła katolickiego o nawoływanie do przemocy w neostalinowskiej dekadzie lat 80. Jednak proces miał miejsce, co trudno zrozumieć, władze próbowały bowiem dotąd wszelkimi środkami ukrywać przestępstwa stanu wojennego. Zaskakujące były też wyroki. Płk Adam Pietruszka i kpt. Grzegorz Piotrowski zostali skazani na 25 lat więzienia, towarzyszący Piotrowskiemu Leszek Pękala dostał 15, a Waldemar Chmielewski 14 lat.

Jedynym wytłumaczeniem „otwartości" i „praworządności" Jaruzelskiego może być prawdziwość hipotezy, że za zbrodnią kryła się jakaś grupa funkcjonariuszy z co najmniej wiceministrem na czele, podległa innemu niż rządzący ośrodkowi politycznemu. Zabójstwo miało na celu zmuszenie ekipy Jaruzelskiego-Kiszczaka do zmiany polityki wewnętrznej na skrajnie represyjną. Jaruzelski, kryjąc morderców i ich mocodawców, stałby się jednak marionetką w rękach politycznych konkurentów z własnych szeregów. Jedynym wyjściem było więc wskazanie na Służbę Bezpieczeństwa. Z kolei atak na Kościół miał zmniejszyć szok i rozczarowanie wywołane procesem w szeregach funkcjonariuszy resortów siłowych PRL.

Istotne są również inne wątki książki. Po pierwsze, intensywne kontakty rezydenta KGB w Warszawie z Grzegorzem Piotrowskim. Są one zadziwiające ze względu na niską szarżę Piotrowskiego. Relacje z funkcjonariuszami sowieckimi tej rangi byłyby zrozumiałe na poziomie przynajmniej dyrektora departamentu MSW. Po drugie, rola Jerzego Urbana w akcji „zabić księdza". Swoimi artykułami stwarzał on atmosferę realnego zagrożenia dla reżimu Jaruzelskiego ze strony kapłana, urabiając tym samym stosunek funkcjonariuszy systemu do księdza Popiełuszki. I wreszcie po trzecie – prowokacja na Chłodnej, czyli podrzucenie m.in. materiałów wybuchowych do mieszkania kapelana Solidarności. W książce są zebrane nieznane i niepublikowane dotąd materiały archiwalne oraz relacje, dotyczy to w szczególności tej najbardziej perfidnej w całej historii PRL prowokacji Służby Bezpieczeństwa wymierzonej w katolickiego księdza.

Z innych zamieszczonych w książce dokumentów najbardziej zaskoczyło mnie oświadczenie por. Henryka Laskowskiego z Wydziału Zabezpieczenia Komendy Stołecznej MO, płetwonurka, który wydobył zwłoki ks. Jerzego Popiełuszki. Transportował je potem do Białegostoku z innym funkcjonariuszem. Obaj byli uzbrojeni w odbezpieczoną broń maszynową. Laskowski bał się bowiem próby odbicia zwłok kapłana.

Nowych tropów jest w „Zniszczyć księdza" wiele. Książka jest świetnie napisana. Oparto ją na solidnym zestawie źródeł. Jak najbardziej godna jest polecenia.

Robert Tekieli
Polskie Radio

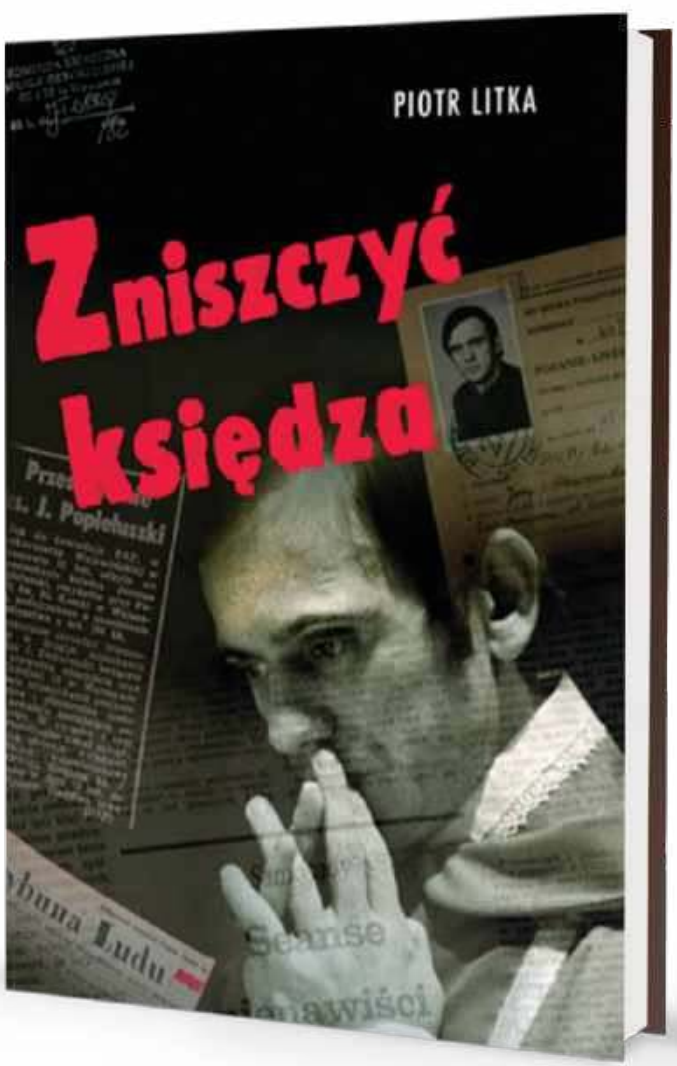

eprasa.pl 5e28128ada

Falstart. „Orlęta. Grodno ’39”

Zbyt wiele rzeczy, osób i zdarzeń zostało pominiętych w tym filmie, stanowczo zbyt wiele

„Jesteście nowymi Orlętami. Postaram się, żeby wasze miasto otrzymało Virtuti Militari i tytuł Zawsze Wiernego” – tymi słowami gen. Władysław Sikorski zwrócił się do pochodzących z Grodna żołnierzy podczas inspekcji polskiego wojska w Związku Sowieckim zimą 1941 r. Wyraził w imieniu wszystkich rodaków zasłużony podziw i hołd dla bohaterskiej walki miasta we wrześniu 1939 r. Obrona Grodna stała się symbolem polskiego oporu wobec agresji sowieckiej, podobnie jak oblężona Warszawa wobec agresji niemieckiej.

Przez kolejne dziesięciolecia Grodno wraz z Wilnem i Lwowem były ze zmieniającym się natężeniem usuwane przez komunistów z naszej pamięci i świadomości. Koniec PRL przyniósł oczywiście zmianę w tym względzie. Można już było swobodnie mówić i pisać o Polsce na wschód od Bugu i Biebrzy, można było tam pojechać. Powstały artykuły i książki, audycje radiowe i telewizyjne, filmy dokumentalne. Osoby, dla których historia jest ważna, mogły już bez przeszkód uzyskać wiedzę o sowieckim ciosie w nasze plecy 17 września 1939 r. Jednak żeby przebić się do powszechnej świadomości było potrzebne dzieło o masowym odbiorze, jak serial telewizyjny lub film fabularny. Dlatego obraz przygotowywany przez Krzysztofa Łukaszewicza i zapowiadany jako pierwszy film o agresji sowieckiej w 1939 r. był tak bardzo oczekiwany.

Czy tym oczekiwaniom sprostał? Reżyser i autor scenariusza zarazem postanowił pokazać nam Grodno oczami 12-letniego, żydowskiego chłopca – Leona Rotmana, ucznia polskiej szkoły. Poznajemy jego dom, rodzinę, przyjaciół, nauczycieli. Czujemy do niego sympatię, boli nas niesprawiedliwość, antysemityzm i wykluczenie, które napotyka na swojej drodze. Jego świat zmienia się w gruzy, kiedy gród nad Niemnem jest bombardowany przez niemieckie samoloty i szturmowany przez sowieckie czołgi.

eprasa.pl 5e28128ada

Taka perspektywa niestety bardzo zawęża obraz historyczny. Nie ma w nim miejsca na postaci dowódcy Grupy Operacyjnej „Grodno", gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego, ani prezydenta miasta Witolda Cieńskiego, którzy je opuścili, kiedy byli mu najbardziej potrzebni. Nie ma kierującego obroną komendanta Rejonowej Komendy Uzupełnień mjr. Benedykta Serafina ani wiceprezydenta Romana Sawickiego. Twórca filmu mógł przecież zagrać tymi rolami dla podkreślenia najważniejszego wtedy dylematu: bić się czy nie bić o miasto, przejść do konspiracji czy pójść w niewolę – a jeżeli tak, to w którą? Brakuje w filmie ukazania grozy położenia Grodna między nacierającą Armią Czerwoną i Wehrmachtem bez nadziei na pomoc. Nie widzimy również walki o pl. Batorego, o cmentarze prawosławny i katolicki, polskich kontrataków i nocnych wypadów za Niemen. W filmie o obrońcach Grodna nie ma nawet 13-letniego Tadeusza Jasińskiego, umierającego na rękach matki, ani Stanisława Skarżyńskiego, kawalera Orderu Virtuti Militari w wojnie polsko-bolszewickiej, który zniszczył pierwszy czołg Sowietów w Grodnie, a później został zamordowany przez NKWD. Zbyt wiele rzeczy, osób i zdarzeń zostało pominiętych w tym filmie, stanowczo zbyt wiele. Miasta Elizy Orzeszkowej broni w filmie tak niewiele osób, że widz może zapytać, czym właściwie zasłużyło w oczach naczelnego wodza na Virtuti...

Bardzo dużo miejsca Krzysztof Łukaszewicz poświęcił za to antysemityzmowi w polskim Grodnie. Widzimy to zjawisko w tamtejszej szkole i na ulicach miasta. Widzimy złych falangistów i uprzedzonych pedagogów. Nawet nasi żołnierze przerwy w walce wykorzystują na opowiadanie kpiarskich dowcipów o Żydach. Antysemityzm w II Rzeczypospolitej oczywiście występował i nikt znający historię nie może temu zaprzeczyć, ale czy był to rzeczywiście główny problem miasta w 1939 r.? Żydowskiemu chłopcu antysemityzm z pewnością zatruwał życie, ale nasuwa się pytanie o zasadność wyboru przez reżysera takiej, a nie innej perspektywy narracyjnej, skoro powoduje ona zniekształcenie całości obrazu.

> „Orlęta. Grodno '39" nie jest dziełem złym. Dobrze, że powstało, ale... za wcześnie. Nie udźwignęło roli pierwszego polskiego filmu o agresji sowieckiej w 1939 r.

Są w tym filmie rzeczy znakomite. Jest arcypolski pułkownik kawalerii (w tej roli Antoni Pawlicki), ale jest też żydowska mame (Jowita Budnik), posługująca się zarówno językiem polskim, jak i jidysz. Jest wojna prawdziwa, bez patosu, za to z całym swoim horrorem i bezwzględnością. Jest scena wręcz malarska, kiedy głównemu bohaterowi we śnie ukazuje się ukochana dziewczyna, by po chwili zamienić się w postać martwej kobiety. Oglądamy wyśmienite kreacje aktorskie – Feliksa Mateckiego jako Leosia Rotmana i jak zawsze autentycznego Bartłomieja Topę jako plutonowego Grenia. Do atutów filmu trzeba też zaliczyć muzykę Michała Lorenca i zdjęcia Tomasza Wójcika.

Osobno chcę podziękować reżyserowi za scenę tworzenia przez Sowietów filmu propagandowego pokazującego „wyzwolenie" przez nich Grodna. Wydarzenie jest oczywiście inscenizowaną tragifarsą, ale nigdy nie dość przypominania, że kłamstwo było i jest najważniejszą bronią z komunistycznego arsenału. Polacy znający historię lub po prostu pamiętający PRL wiedzą to doskonale, warto jednak było wskazać to młodym widzom.

„Orlęta. Grodno '39" nie jest dziełem złym. Dobrze, że powstało, ale... za wcześnie. Nie udźwignęło roli pierwszego polskiego filmu o agresji sowieckiej w 1939 r. Temat pojawiał się już wprawdzie w polskim kinie, jak chociażby w „Katyniu" Andrzeja Wajdy i „Wołyniu" Wojciecha Smarzowskiego, ale stanowił tam tylko element większej całości. Teraz mieliśmy prawo spodziewać się obrazu kompletnego, podręcznikowego, przywracającego nam część utraconej pamięci. „Orlęta..." takim filmem niestety nie jest. Wybrane przez Krzysztofa Łukaszewicza spojrzenie oczami 12-letniego chłopca na to nie pozwoliło. Pozwolę sobie na porównanie do filmów – toutes proportions gardées – o tematyce obozowej. „Ostatni etap" Wandy Jakubowskiej oraz „Pasażerka" Andrzeja Munka i Witolda Lesiewicza powiedziały nam o niemieckim Auschwitz-Birkenau to, co najważniejsze w sposób klasyczny i spójny, pozwalający ustalić proporcję rzeczy. Dzięki temu byliśmy przygotowani na tak szczególne i wgniatające w fotel dzieło jak „Kornblumenblau" Leszka Wosiewicza. Czy możemy wyobrazić sobie kolejność odwrotną?

O naszej walce z agresorem niemieckim w 1939 r. powstało wiele filmów. Nie wątpię, że powstaną kolejne o ciosie w plecy zadanym Rzeczypospolitej przez Moskali. Na razie „Wołyń" pozostaje wciąż najwybitniejszym polskim filmem historycznym.

Artur Kolęda
Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

eprasa.pl 5e28128ada

Adamski

Wegezombie po polsku

Kino

Jestem zaskoczony, że ten film tak mocno podbił serca widowni ostatniego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. „Apokawixa" nie tylko zdobyła Złoty Pazur za odwagę spojrzenia, ale zebrała w większości entuzjastyczne recenzje od krytyków. Co prawda, publiczność swoją nagrodę przyznała biografii ks. Jana Kaczkowskiego „Johnny" (to ciekawe, że polscy widzowie nagrodzili film o katolickim księdzu, a nie transgresywny horror), ale to o „Apokawixie" rozmawiano w Gdyni z największym entuzjazmem. Ba, to entuzjazm ponadideowy, skoro konserwatysta Piotr Zaremba, z którym nieraz toczę boje na temat horrorów, jest tym filmem zauroczony. O wiele bardzie (o zgrozo!) niż ja – ultrafan takiego kina.

Skąd wynikał mój dystans do filmu Xawerego Żuławskiego, który już wyraziłem w jednej z recenzji? Zaremba zarzucił mi zblazowanie typowe dla krytyków filmowych. To jednak nie ono stoi za moim – do pewnego stopnia – rozczarowaniem „Apokawixą". Jestem wielkim entuzjastą podgatunku, jakim jest slasher. Uwielbiam też kino exploitation i body horror. W każdym z tych podgatunków pojawia się wiele horrorów klasy B i C, które chwalę mimo ich jawnych ułomności. Widzę przecież wady pierwszego polskiego slashera „W lesie dziś nie zaśnie nikt" Bartosza M. Kowalskiego, ale broniłem tego filmu za doskonałą żonglerkę gatunkiem i pasję, jaką reżyser ma do przeszczepiania tego *stricte* amerykańskiego horroru na polski grunt. Czy chodzi więc o to, że „Apokawixa" nie spełnia moich oczekiwań jako zaangażowane kino zombie, które jego twórca George M. Romero szpikował przecież podskórnie treściami społecznymi, rasowymi czy ekonomicznym? Czy problem leży w niewystarczającym rozwinięciu psychologicznym poszczególnych postaci, do którego przyzwyczaili nas twórcy serialu „The Walking Dead"? No, ale przecież Żuławski nakręcił pastisz i poszedł drogą znakomitych „Zombieland" i „Wysypu żywych trupów", a nie gniewnych dzieł Romero.

Odsuńmy więc na bok spuściznę amerykańskiego kina o zombie, zapomnijmy o znakomitym slasherowym szyderstwie z pokolenia Z, które wciąż jest na naszych ekranach, czyli „Bodies Bodies Bodies" Haliny Rejin, i skupmy się na samym dziele Żuławskiego, wypływającego na dziewicze terytoria apokalipsy zombie nad Bałtykiem. Ten film trzeba oceniać w oderwaniu od klasyki gatunku, skoro jest w polskim kinie dziełem przecierającym szlaki. Oto dostajemy opowieść o grupie warszawskich licealistów, którzy zmęczeni pandemią i ciągłym lockdownem, wyprawiają w nadmorskiej willi jednego z nich (kapitalnie irytujący Mikołaj Kubacki) melanż życia. Dionizje naćpanego tabletami pokolenia Z zamieniają się w koszmar, po tym jak pływające w Bałtyku sinice łączą się z toksynami wylewanymi z fabryki krwiożerczego kapitalisty (Tomasz Kot). Mieszanka wywołuje wirusa zombie, który momentalnie dociera na imprezę zblazowanych i upojonych dzieciaków.

Choć nadal stoję na stanowisku, że Żuławski nie do końca dostarcza to, co w założeniu filmu obiecuje (finałowa bitwa z zombie nie ma werwy i bezczelnego szaleństwa „Zombieland", a rys psychologiczny poszczególnych postaci jest naskórkowy nawet jak na kino zombie), to jednak w kilku obszarach muszę łagodniej spojrzeć na „Apokawixę", niż zrobiłem to tuż po gdyńskim pokazie. Żuławski trafił ze swoim zombie ekohorrorem tuż po zatruciu Odry, wpisując się jeszcze mocniej w debatę o ociepleniu klimatu. Jest też ten zombie pastisz próbą diagnozy stanu ducha pokolenia Zooma, uwięzionego przez dwa lata w domach przez pandemię COVID-19 i uderzeniem w zapatrzonych w kult mamony beneficjentów III RP. Żuławski dobrze też prowadzi młodą obsadę (poza świetnym Kubackim, Waleria Gorobets, Natalia Pitry, Alicja Wieniawa-Narkiewicz, Mariusz Urbaniec, Aleksander Kaleta, Mikołaj Matczak, Marta Stalmierska, Monika Mikołajczak, Oskar Wojciechowski), którą wspiera weteran Cezary Pazura, wcielająca się w kibolkę (brawa za ironiczne spojrzenie na rolę jej brata Mateusza w „Furiozie) Matylda Damięcka i kradnący show w każdej scenie fantastyczny Sebastian Fabijański jako mieszkający w lesie totalnie pokręcony muzyk-druid. Ten film daje po prostu dwie godziny dobrej zabawy, choć podejrzewam, że przez portretowane pokolenie może zostać za pewne elementy uznany za boomerski.

Mnie cieszy jednak to, że Żuławski powoli znajduje swój własny język kina i wyrywa się z objęć legendarnego ojca Andrzeja. Nie ma w „Apokawixie" histerii „Mowy ptaków" i rozedrgania „Wojny polsko-ruskiej". Żuławski brawurowo nawiązuje wizualnie do „Kanału" Wajdy i „Na srebrnym globie" swojego ojca. Bezczelnie bawi się więc ikonografią polskiej klasyki, wciskając ją w zombie rozwałkę. Dla miłośnika gatunku najważniejsze jest jednak coś innego. Nikt tak uroczo nie pokazał wegańskiego zombie, który nawet będąc chodzącym trupem, dba o planetę. Za to kciuk więcej!

„APOKAWIXA" W KINACH

eprasa.pl 5e28128ada

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Landrynkowy ksiądz

„Johnny" skradł serca gdyńskiej widowni bardziej niż zombie szaleństwo Żuławskiego, solidne wojenne filmy, seria feministycznych psychodram, perełka mistrza Skolimowskiego, którą recenzowałem tutaj dwa tygodnie temu, czy anglojęzyczny zwycięzca Złotych Lwów w reżyserii Smoczyńskiej. Skąd taka reakcja na biografię ks. Jana Kaczkowskiego? To istotne pytanie, które zresztą bezpośrednio rzutuje na moją ocenę filmu Daniela Jaroszka.

„Johnny" jest spojrzeniem na życie, działalność i śmierć ks. Jana oczami Patryka Galewskiego (nagrodzony za rolę na festiwalu Piotr Trojan), który trafia do hospicjum prowadzonego przez Kaczkowskiego (Dawid Ogrodnik) w ramach prac społecznych, zamiast odbywać karę więzienia. Relacja chłopaka z ulicy i charyzmatycznego duchownego nie tylko zamienia się w głęboką przyjaźń, ale ma wymiar duchowy. Patryk dostrzega w pracy ks. Jana ewangeliczną siłę, a dotknięty glejakiem duchowny musi zmierzyć się z lękiem przed śmiercią.

Piotr Trojan i dosłownie przeistoczony (*nomen omen*) w ks. Kaczkowskiego Dawid Ogrodnik dają kapitalny aktorski koncert. Ogrodnik jest nieraz zbyt technicznym aktorem, ale tutaj widać jego pełne zrośnięcie się z rolą. Każdy grymas twarzy, głos i gestykulacja ożywiają ks. Kaczkowskiego. Trojan tworzy jeszcze ciekawszą rolę, bo jego bohater doznaje radykalnej przemiany, co siłą rzeczy intryguje bardziej niż stojąca niezachwianie na fundamentach wiary postać ks. Jana. Szkoda, że te dwie kreacje są ostatecznie przykryte mdlącym lukrem. „Johnny" w finale osuwa się bowiem w irytującą landrynkowość z wzniosłą muzyką. Jaroszek zbyt mocno dociska pedał gazu, oblewając ostatni akt łzami i patosem. „Johnny" ma manierę kina TVN-owskiego. Jest zbyt kolorowy, zbyt jednowymiarowy i zbyt ckliwy. Nie chodzi już o to, że nie zobaczymy w filmie twarzy ks. Kaczkowskiego, który nazywał aborcję „eugenicznym faszyzmem", a z biskupem Grzegorzem Rysiem (w filmie mamy obraz dobrego ks. Jana *vs* skostniały episkopat) koncelebrował mszę św. na Przystanku Jezus. Nie spodziewałem się po tym filmie ukazania każdego aspektu nauki ks. Kaczkowskiego, ale liczyłem, że dostanę opowieść mniej manipulującą emocjami widza.

Niemniej jednak nie odrzucam tego filmu. Cieszę się z każdego obrazu, który pokazuje duchownego Kościoła katolickiego jako herosa. To coraz rzadsze w kinie dotkniętym antyklerykalizmem. „Johnny" to kino pokrzepiające, ewangeliczne i po prostu mądre. Jest takie jak internetowe kazania ks. Jana Kaczkowskiego – podtrzymuje na duchu i koi. Pociesza zarówno tych, których choroba poniewiera, jak i tych, którzy widzą cierpienie bliskich. Ten film zrobi sporo dobrego w percepcji widza bombardowanego tak często ekranowym mrokiem. „Johnny" jest filmem o świetle. Świetle wiary, sile ducha i o zaufaniu Bogu. Mimo jego irytujących wad trudno takiego spojrzenia nie polecać.

„JOHNNY" W KINACH

eprasa.pl 5e28128ada

Baltic Pipe: koniec ery rosyjskiego gazu

To jest historyczny dzień – mówił prezydent Polski Andrzej Duda na uroczystości w Filharmonii Szczecińskiej związanej z uruchomieniem gazociągu Baltic Pipe. I nawet przeciwnicy polityczni i sceptycy muszą podzielać tę opinię

eprasa.pl 5e28128ada

AGNIESZKA ŁAKOMA

Rurociąg łączący Polskę przez Danię z norweskimi złożami gazu kończy definitywnie trwającą od zakończenia II wojny światowej erę zależności Polski od importu rosyjskiego gazu. Zależności, której nawet rozpad Związku Sowieckiego i transformacja ustrojowa w Polsce nie zmieniły. Uruchomienie gazociągu Baltic Pipe to tak naprawdę drugi – po gazoporcie w Świnoujściu uruchomionym w 2016 r. – kluczowy element w planie odzyskiwania suwerenności w dostawach gazu. Bo tylko mając swobodę wyboru dostawcy surowców i różne drogi ich transportu, można mówić o faktycznej dywersyfikacji, a właśnie ta idea dała podstawę do planowania Baltic Pipe, choć nie dla wszystkich była i jest oczywista.

POLSKIE MARZENIE

Od soboty 1 października gazociągiem Baltic Pipe płynie norweski gaz do naszego kraju. Uroczystego i symbolicznego otwarcia dokonali prezydent Andrzej Duda, premierzy Danii – Mette Frederiksen i Polski – Mateusz Morawiecki, odkręcając zawór na rurociągu.

W opinii prezydenta Dudy gazociąg Baltic Pipe przez dziesięciolecia był polskim marzeniem, a gazowe uzależnienie od Rosji było spuścizną po czasach komunizmu.

Zdaniem premiera Mateusza Morawieckiego uruchomienie polsko-duńskiego rurociągu kończy erę rosyjskiej dominacji w sferze gazu i rozpoczyna nową epokę suwerenności i wolności energetycznej oraz zwiększonego bezpieczeństwa. „Polska już nigdy nie będzie musiała obawiać się szantażu rosyjskiego" – dodał Morawiecki.

W ub.r. Polska sprowadziła z Rosji niemal 10 mld m³ gazu, czyli połowę zużywanego przez nasz kraj. Przez trzy dekady od czasu transformacji rosyjski Gazprom miał dominującą pozycję jako dostawca dla Polski.

JEST INACZEJ NIŻ 20 LAT TEMU

Realizacja Baltic Pipe to w praktyce powrót do idei sprzed ponad 20 lat, czyli projektu służącego dywersyfikacji źródeł i dróg dostaw gazu do Polski, którą chciał zrealizować rząd Jerzego Buzka. A za przygotowanie planów odpowiadali Piotr Naimski, Piotr Woźniak i wicepremier odpowiedzialny za gospodarkę Janusz Steinhoff. Postanowili nawiązać współpracę z Duńczykami i Norwegami, tak by powstało najpierw połączenie gazociągowe z Danią, potem z Norwegią i w efekcie do Polski mógłby płynąć gaz szelfu norweskiego.

> Polska strona była odpowiedzialna za budowę 275 km podmorskiego odcinka gazociągu, pokryła większość kosztów budowy jednej z tłoczni, a także wybudowała rurociągi rozprowadzające gaz już na terenie naszego kraju

Ustalono szczegóły i wiosną 2001 r. wszyscy partnerzy podpisali deklarację w sprawie dostaw gazu do naszego kraju, ostateczna umowa została zawarta we wrześniu tego samego roku. Dostawy miały się rozpocząć w 2004 r. z Danii – po 2–2,5 mld m³ rocznie. Po wybudowaniu odcinka rurociągu ze złóż norweskich w 2008 r. – po 2,5 mld m³, a w latach 2011–2024 dostawy miały wzrosnąć do 5 mld m³ rocznie. I co istotne – norweski Statoil miał wybudować rurociąg na własny koszt. Liczył bowiem, że oprócz Polski będą z niego korzystać także inne kraje. Choć ustalono zakres prac i harmonogram dostaw, to następny rząd SLD-PSL, którym kierował Leszek Miller, uznał je za nieopłacalne. A Gazprom zyskał pewność dominującej pozycji w dostawach do Polski.

Temat Baltic Pipe powrócił niemal natychmiast po wygranych wyborach przez Zjednoczoną Prawicę, a za inwestycję znów odpowiadał Piotr Naimski jako pełnomocnik ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. W czasie uroczystości w Szczecinie dziękował za odwagę prezydentowi RP i za jego zaangażowanie w projekt, w który mało kto wierzył.

„Bez wsparcia dyplomatycznego i politycznego, w tym pierwszym okresie tak ważnego, trudno byłoby przekonać naszych partnerów w Oslo i Kopenhadze, że ten projekt ma sens" – mówił Piotr Naimski.

Bo zawsze powrót do projektu raz zarzuconego nie jest łatwy, zwłaszcza jeśli trzeba usiąść do stołu z partnerami dobrze pamiętającymi, co stało się z pierwszą umową.

„Tłumaczyłem na różne sposoby, że jest inaczej niż 20 lat temu i że w 2001 r., gdy postkomunistyczna partia wygrała wybory, sytuacja była gorsza niż w 2016 r., gdy ta formacja nie miała żadnego znaczenia w naszym życiu politycznym – wspominał Piotr Naimski. – I myślę, że to było przekonujące dla naszych partnerów" – dodał.

Polski operator Gaz-System i duński Energinet zawarły odpowiednie umowy i – co szczególnie ważne – udało się je wykonać, choć Duńczycy jeszcze przez kilka tygodni będą kończyć prace po swojej stronie. Tym samym nadrzędny cel wyznaczony w 2016 r., którym było zakończenie współpracy z rosyjskim Gazpromem w grudniu 2022 r., czyli wraz z wygaśnięciem umowy jamalskiej po blisko 30 latach jej obowiązywania – został osiągnięty.

Zakończenie budowy gazociągu na czas, czyli zgodnie z planem, nabrało nowego znaczenia po 24 lutego br., gdy Rosjanie zaatakowali Ukrainę. I pół Europy przyznało rację Polsce, która ostrzegała, że Kreml wykorzystuje surowce jako narzędzie szantażu – do osiągania celów politycznych.

W POSZUKIWANIU GAZU

Baltic Pipe jest uruchamiany w specyficznej, bo kryzysowej sytuacji na rynku. Rosjanie zakręcili gazowy kurek wielu państwom unijnym, traktując ten krok

Fot. Przemysław Keler/KPRM

eprasa.pl 5e28128ada

jako odwet za nałożone przez wspólnotę sankcje po napaści na Ukrainę. Polska i Bułgaria jako pierwsze zostały pozbawione dostaw rosyjskich jeszcze pod koniec kwietnia, potem lista odciętych od rosyjskiego gazu wydłużała się stopniowo, aż znalazły się na niej także te kraje, które były najbardziej przez lata zaprzyjaźnione gospodarczo i politycznie z Moskwą, czyli Niemcy, Włosi i Holendrzy. Efekty są oczywiste – gaz drastycznie zdrożał, a jego notowania na giełdach europejskich biją rekordy. Na dodatek pojawiły się poważne obawy, czy błękitnego paliwa wystarczy tej zimy zwłaszcza w krajach, w których energetyka jest w dużej mierze oparta na gazie.

Europa znalazła się zatem w położeniu, w którym od dawna nie była, a rządy poszczególnych krajów wyruszyły w świat na poszukiwania gazu, który zastąpiłby rosyjski import.

W takich okolicznościach, gdy budowa Baltic Pipe była na ukończeniu, część polityków pytała, czy uda się wypełnić rurociąg. Nie jest tajemnicą, że wydobycie na szelfie norweskim ze złóż, w których udziały ma Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo, nie wystarczy, bo to (razem z koncesjami Grupy Lotos) ok. 3,5 mld m³ gazu rocznie. A to właśnie PGNiG, rezerwując większość (80 proc.) zdolności przesyłowych rurociągu, będzie na razie jedynym użytkownikiem systemu Baltic Pipe. Umowa opiewa na okres 2022–2037. Spółka zdołała jednak zawrzeć na kilka dni przed otwarciem rurociągu wieloletni kontrakt z koncernem Equinor (wcześniej był to Statoil) na dostawy po 2,4 mld m³ gazu rocznie.

NORD STREAM NIE DO UŻYTKU

Gdy w Goleniowie trwały uroczystości związane z otwarciem Baltic Pipe, władze Szwecji i Danii poinformowały o wyjątkowym wycieku gazu z rurociągu Nord Stream 1 i Nord Stream 2. Z kolei władze w Oslo ostrzegły pracowników platform wiertniczych o lotach tajemniczych dronów, sugerując zachowanie ostrożności. Wyciek gazu z wielkich rurociągów, zwłaszcza jeśli przynajmniej jeden z nich skutecznie przez dekadę przetłoczył setki miliardów metrów sześciennych gazu, musi budzić zdumienie i wywołać wątpliwości, trudno też uznać to za przypadkową usterkę techniczną. Tym bardziej że premier Szwecji Magdalena Andersson poinformowała o wykryciu dwóch wybuchów, a sejsmolodzy duńscy i szwedzcy zarejestrowali dwie potężne eksplozje w pobliżu wycieków, z których druga, większa, odpowiadała wartości ponad 100 kg dynamitu. Wielu ekspertów i polityków uważa, iż mogło dojść do aktu sabotażu.

Bez względu na to, czy uda się ustalić, kto stoi za tym sabotażem, nikt już ani w Brukseli, ani w Berlinie nie powinien mieć żadnych wątpliwości, że w tym roku gaz rosyjski przez Bałtyk do Niemiec nie popłynie. I nie wiadomo, czy po tak poważnych uszkodzeniach Nord Stream jeszcze będzie działał. Era rosyjskiej dominacji na europejskim rynku gazu dobiega końca. To też finał planów Niemiec, by stać się hubem rosyjskiego gazu na Starym Kontynencie. Jeszcze rok temu Gazprom pokrywał ponad 39 proc. zapotrzebowania importowego Unii Europejskiej.

Baltic Pipe w liczbach

- Rurociąg łączący Polskę z Danią i Norwegią ma 900 km długości.
- Faktyczna budowa rozpoczęła się w 2019 r.
- Koszt inwestycji to ponad 1,6 mld euro, z czego 821 mln euro miał wydać duński operator gazociągów – firma Energinet, a Gaz-System – 784 mln euro. Ostatecznie koszty po stronie duńskiej wzrosły z powodu opóźnień do 1 mld euro.
- Inwestycja zyskała 266 mln euro dofinansowania z funduszy unijnych, ponieważ znalazła się na liście PCI, czyli projektów o znaczeniu wspólnotowym.
- Ostatecznie polski operator odpowiadał za ułożenie i sfinansowanie części, czyli 275 km, podmorskiego odcinka gazociągu, a także pokrył większość kosztów budowy jednej z tłoczni i wybudował rurociągi rozprowadzające gaz już na terenie Polski.
- Baltic Pipe będzie mógł transportować 10 mld m³ gazu rocznie.
- Oficjalna informacja o tym, że operatorzy Gaz-System i Energinet analizują wspólnie możliwości budowy połączenia między polskim i duńskim systemem przesyłowym, pojawiła się w marcu 2016 r.
- W tym samym roku opracowano studium wykonalności, a ostateczne decyzje inwestycyjne zapadły w listopadzie 2018 r. Potem ruszyła budowa.
- Niestety, w połowie ub.r. po stronie duńskiej prace wstrzymano ze względu na protesty ekologów i problemy z pozwoleniami środowiskowymi. Dlatego teraz jeszcze do całkowitego zakończenia prac Duńczycy muszą zrealizować dwa odcinki gazociągu, co ma nastąpić w listopadzie. Potem Baltic Pipe osiągnie planowaną przepustowość, a zatem i tak miesiąc wcześniej, niż przewidywał harmonogram.

Reklama | 52/0922/F
Fot. Krystian Maj/KPRM

eprasa.pl 5e28128ada

PODLASKIE FORUM EKONOMICZNE

11-12 października 2022, Białystok

Marszałek Województwa Podlaskiego Artur Kosicki zaprasza do udziału w jednym z największych wydarzeń organizowanych w Polsce, poświęconych współpracy z partnerami z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej.

Dwa dni spotkań i debat

Rozmowy nt. współpracy polsko-azjatyckiej

17 paneli tematycznych
70 prelegentów

1000 uczestników

Tematyka Forum koncentruje się na współpracy gospodarczej Polski z Azją, bezpieczeństwie ekonomicznym, gospodarce cyfrowej oraz wyzwaniach gospodarczych.

Rejestracja trwa do 10 października 2022

forum.investinpodlaskie.pl

Organizator

Podlaskie

Współorganizator

Agencja Rozwoju Regionalnego ARES Suwałki

Partner strategiczny

KGHM Polska Miedź

Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

eprasa.pl 5e28128ada

Świat sportu bez Rosji jest lepszy

Głosy wsparcia dla Moskwy są na szczęście nieliczne i od razu dyplomatycznie wyciszane, bo w cywilizowanym świecie nie ma zgody na to, czego ci zbrodniarze dopuszczają się na Ukrainie

Z Kamilem Bortniczukiem, ministrem sportu i turystyki, rozmawia Marcin Wikło

Jak to jest być ministrem sportu w czasie, gdy Polska ma najlepszą tenisistkę na świecie, najlepszego piłkarza i najlepszego żużlowca?

Kamil Bortniczuk: Na pewno jest przyjemnie być ministrem w czasach, gdy sportowcy odnoszą sukcesy. To oczywiste, ale to też forma zobowiązania, bo ja każdy ten ich sukces traktuję jako osobiste wyzwanie. Przywołam tutaj czwarte miejsce koszykarzy na mistrzostwach Europy, nie było medalu, ale chyba nikt nie zaprzeczy, że to duże osiągnięcie. Na jego bazie chcemy zbudować system, który pozwoli nam cieszyć się z sukcesów w tej dyscyplinie znacznie częściej. Tak w przeszłości było choćby z dobrze skonsumowanymi wynikami siatkarzy, skoczków narciarskich czy piłkarzy ręcznych.

Czy przejęcie organizacji Eurobasketu w 2025 r. ma być krokiem w tym kierunku?

Niewątpliwie tak. To, że wzięliśmy na siebie nie tylko obowiązek, ale także honor zorganizowania u siebie rozgrywek jednej z grup turnieju, ma być wydłużeniem horyzontu sukcesu tej dyscypliny. Dzisiaj jesteśmy w europejskiej czwórce, jak wiemy od działaczy – to się przekłada na zainteresowanie koszykówką. Polska młodzież bardzo chce grać po tym, jak zobaczyła walkę naszych reprezentantów najpierw w Pradze, a potem w Berlinie. Duży turniej w naszym kraju będzie świetną promocją dyscypliny i okazją do zobaczenia najlepszych koszykarzy na świecie. Mamy więc dobry czas, trzeba go wykorzystać na intensywne sianie, by za kilka, kilkanaście lat cieszyć się żniwami, czyli silną kadrą zbudowaną na młodzieży, która dzisiaj zainteresowała się koszykówką.

Doskonały występ na ostatnim turnieju zanotował Mateusz Ponitka, wróży mu się karierę być może nawet NBA. Czy w Polsce liczymy na „ponitkomanię"?

Zachęcam, by takie emocje wyrażać ostrożnie. Gdybyśmy zdobyli medal, pewnie byłoby o to łatwiej. Najsilniejsza emocja u polskich kibiców była jednak krótka i związana przede wszystkim z pokonaniem mistrzów Europy, czyli Słowenii. Mówiąc uczciwie, nie można tego jeszcze porównać do pasma sukcesów Adama Małysza, Igi Świątek, Roberta Lewandowskiego czy Bartosza Zmarzlika. Ale przed koszykówką rysuje się pewna szansa, która dla mnie i prezesa PZKosz jest zadaniem do wykonania.

Czy istnieje świat sportu bez Rosji i Białorusi?

Zdecydowanie tak. Myślę, że ten świat jest nawet lepszy. Weselszy, spokojniejszy, mniej uwikłany w doping czy korupcję na poziomie zarządów związków i federacji. Nie wiem, czy ktokolwiek tęskni za Rosją w światowym sporcie.

Czyli jest zgoda na to, że te agresywne państwa po prostu wyeliminować całkowicie?

Na razie ciągle taka zgoda jest. Ale też podkreślę, że to się samo nie stało. To była ogromna praca dyplomatyczna, którą wykonaliśmy na samym początku. Ja w ramach Unii Europejskiej, a mój brytyjski odpowiednik w krajach Wspólnoty Narodów (Commonwealth of Nations) i w relacjach transatlantyckich. Tę emocję udaje nam się utrzymać na tyle silną, że nikt poważny w światowym sporcie nie mówi o powrocie Rosji do tego grona. Warto odnotować choćby takie decyzje, jak ta UEFA, że Rosjanie nie wystartują w eliminacjach do Euro 2024, czyli na samym turnieju też ich nie będzie. A UEFA to nie była najbardziej chętna federacja do tego, żeby z Rosją walczyć. Chodzi oczywiście o zaangażowanie Gazpromu w sponsoring, ale też udział rosyjskich działaczy w europejskim futbolu.

A Moskwa tak to po prostu przyjmuje?

Myślę, że dotkliwa jest dla nich – i dobrze – taka perspektywa, że przez co najmniej dwa lata nie będą mieli dostępu do poważnych rozgrywek. Dlatego sączą swoją propagandę najobficiej w krajach odległych od Europy. W Azji czy Afryce przekonują, że to, co się dzieje na Ukra-

eprasa.pl 5e28128ada

Fot. Andrzej Wiktor

inie, to konflikt lokalny. A przecież konfliktów lokalnych na świecie jest wiele i z ich powodu nikt nikogo z niczego nie wyklucza. Rosja pokazuje się tutaj jako niesprawiedliwie potraktowane państwo, wręcz pokrzywdzone. Głosy wsparcia dla Moskwy są na szczęście nieliczne i od razu dyplomatycznie wyciszane, bo w cywilizowanym świecie nie ma zgody na to, czego ci zbrodniarze dopuszczają się na Ukrainie. Tego będziemy się trzymać.

Bez Rosji można się obejść, ale co będzie ze sportem, gdy nie będzie w nim rosyjskich pieniędzy? Do tej pory to były gigantyczne kwoty.

W sporcie w ogóle jest ogrom pieniędzy, które płyną z różnych źródeł. Największe kwoty pochodzą jednak ze źródeł publicznych, z budżetów krajowych czy spółek powiązanych z tymi budżetami. Dlatego, że dotyczą dyscyplin popularnych, ale zazwyczaj raz na cztery lata, w latach olimpijskich. To nie jest łakomy kąsek dla reklamodawców prywatnych, którzy chcieliby nieustannej atencji widzów. Uważam, że jeżeli w najpopularniejszych i najbardziej medialnych dyscyplinach – bo w ich przypadku mówimy o potencjalnym uzależnieniu od rosyjskich finansów – tych pieniędzy będzie nieco mniej, to one nie ucierpią. Ich budżety są konstruowane w oparciu o wielu sponsorów. Sytuacja będzie nawet trochę zdrowsza, bo przecież rosyjskie pieniądze nie są czyste, miejmy tego świadomość.

Pojawiają się głosy, że rząd Zjednoczonej Prawicy traktuje sport po macoszemu. Przez jakiś czas nie było nawet oddzielnego ministerstwa. Jak pan odpowie na taki zarzut?

Swoją pracą udowadniamy, że niezależnie od tego, jaką gębę próbuje nam się przyprawiać, sport jest dziedziną nam bardzo bliską. W rządzie jest wielu sportowców, nawet jeśli nie uprawiają sportu czynnie, to są do niego naprawdę pozytywnie nastawieni. Jest na to masa dowodów. Decyzje polityczne pomagają organizować w Polsce najważniejsze wydarzenia. Świetnie wypadły odebrane Rosji mistrzostwa świata w siatkówce, mimo że organizacja nastąpiła w ekspresowym tempie. Wraz z premierem Mateuszem Morawieckim już zapowiedzieliśmy, że będziemy ubiegali się o możliwość organizacji kolejnych siatkarskich wydarzeń, na czele z kolejnymi mistrzostwami świata. Przejęliśmy też mistrzostwa Europy w innej olimpijskiej dyscyplinie, czyli w rugby siedmioosobowym. Też wyszły doskonale dzięki pracy Polskiego Związku Rugby, ale też dzięki wsparciu politycznemu. Będą w Polsce zawody rangi mistrzostw świata w piłce ręcznej (wraz ze Szwecją) czy siatkówce kobiet (wraz z Holandią). No i przede wszystkim w przyszłym roku zorganizujemy największą imprezę sportową świata, czyli Igrzyska Europejskie w Krakowie. Niektórzy je wyszydzają, ale powiedzmy prawdę – w 2023 r. nie będzie większego wydarzenia sportowego na świecie. Głosy, że to nic nieznacząca impreza, mogą pochodzić tylko od zawistników albo etatowych krytyków wszystkiego, co się dzieje w ostatnich latach w Polsce.

Czy rząd jest zainteresowany jakąś dziedziną, czy nie, można zmierzyć w bardzo łatwy sposób. Ile pieniędzy jest w budżecie państwa na sport?

W 2015 r., gdy Zjednoczona Prawica przejmowała władzę, budżet resortu sportu rozumiany jako część budżetowa oraz fundusz rozwoju kultury fizycznej wynosił niespełna 1 mld zł. W październiku ub.r. przejmowałem ministerstwo z wynegocjowanym na 2022 r. budżetem w wysokości 1,6 mld zł. A zamkniemy ten rok dzięki różnym naszym aktywnościom i pieniądzom z rezerw budżetowych, które otrzymujemy właśnie dzięki temu, że rząd wysoce ceni sobie sprawy sportu, z wynikiem ponad 2 mld zł. A w projekcie na przyszły rok

eprasa.pl 5e28128ada

przyjętym przez Radę Ministrów mamy niemal 3,5 mld zł. Ponad dwukrotny wzrost w ujęciu rok do roku. To mówi samo za siebie.

Czyli pieniądze są, ale na co zostaną spożytkowane?

Na trzy filary, którymi jako Ministerstwo Sportu i Turystyki się zajmujemy: infrastrukturę, upowszechnianie, wyczyn. Przy czym największy wzrost będzie dotyczył infrastruktury. Po pierwsze, 800 mln zł będzie przeznaczonych na największy program budowy i rozbudowy obiektów sportowych w historii Polski. Chodzi o budowę tysiąca hal lekkiej konstrukcji, czyli możliwych do zbudowania w kilka miesięcy, na terenach małych miast i na obszarach wiejskich. To będzie uzupełnienie największej luki, jaką mamy zdiagnozowaną w polskim systemie infrastruktury sportowej, czyli braku pełnowymiarowych obiektów sportowych przy szkołach. To będzie program dwuletni, 800 mln zł w 2023 r. i 1,2 mld zł w 2024 r. Ruszamy od stycznia przyszłego roku. To przedsięwzięcie największe, ale przecież będziemy także kontynuować choćby program Tenisowa Polska, dotyczący kortów, czy Sportowa Polska, mający na celu budowę każdej innej infrastruktury sportowej. A to nie koniec naszych pomysłów.

A gdy już będą budowane obiekty, jak sprawić, by polska młodzież chciała z nich korzystać?

Rzeczywiście, upowszechnianie sportu jest niezwykle istotne w związku z cywilizacyjnymi wyzwaniami, z którymi musimy się konfrontować. Trzeba odciągać młodych ludzi od niespecjalnie wartościowych alternatyw dla boisk, czyli konsol, tabletów czy smartfonów. To drugi filar naszej działalności, na który także proporcjonalnie będziemy przeznaczali coraz więcej pieniędzy, a więc będziemy realizować więcej programów upowszechniających, angażując w nie rzesze naszych byłych i obecnych mistrzów. Ruszymy też bardzo mocno z programami aktywizacji ruchowej seniorów. Trzecim filarem jest finansowanie sportu wyczynowego, czyli pomoc w przygotowywaniu naszych kadr czy to seniorskich, czy młodzieżowych do występów w najważniejszych imprezach albo wręcz finansowanie samego występu.

Mówił pan o problemie braku obiektów sportowych przy szkołach wiejskich czy w mniejszych miastach. Z czym to się wiąże, jak wówczas wyglądają zajęcia sportowe?

Bywa, że lekcje wychowania fizycznego są prowadzone w bardzo siermiężnych warunkach. Ubolewam nad tym, ale ciągle mamy w Polsce szkoły, gdzie za salę gimnastyczną muszą robić dostosowane doraźnie sale lekcyjne albo korytarze z przykręconymi do ścian drabinkami. Uznaliśmy więc, że jako kraj jesteśmy już na takim etapie rozwoju, że powinniśmy ten deficyt zniwelować, i to w szybkim czasie. Cel jest ambitny, zrobimy to w dwa lata.

> W przyszłym roku zorganizujemy największą imprezę sportową świata, czyli Igrzyska Europejskie w Krakowie. Niektórzy je wyszydzają, ale powiedzmy prawdę – w 2023 r. nie będzie większego wydarzenia sportowego na świecie

Gdy rozmawialiśmy na początku roku, mówił pan o przygotowywanym wspólnie z Ministerstwem Edukacji i Nauki przełomowym systemie informatycznym, który miał pozwalać wyławiać talenty sportowe w bardzo wczesnym etapie. To działa?

To jest idea, z którą przyszedł do mnie Sebastian Chmara, wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Pomysł pochodzi od Słoweńców, którzy w swoim małym kraju go wdrożyli i – jak wiemy – w wielu dyscyplinach mogą być wzorem dla dużo większych państw. Narzędzie informatyczne mamy kupione i gotowe do pracy. Przypomnę, że chodzi o bazę danych, do której dostęp mieliby z jednej strony nauczyciele WF, a z drugiej – trenerzy i działacze sportowi. Od początku roku szkolnego ten program działa już w dwóch województwach: opolskim, z którego pochodzę, i lubelskim, z którego pochodzi minister Przemysław Czarnek. Wdrażamy ten pomysł wspólnie i wspólnie bierzemy za niego odpowiedzialność. Od przyszłego roku szkolnego program „Sportowe talenty" będzie obligatoryjny dla szkół w całym kraju. Podstawa programowa wychowania fizycznego w klasach 4–8 i w szkołach ponadpodstawowych będzie poszerzona o cztery testy badające kompetencje sportowe: szybkość, skoczność, wytrzymałość i siłę. Te wyniki będą wpisywane w bazę danych i będą dostępne dla trenerów, którzy ocenią, czy któreś dziecko może mieć wybitne predyspozycje do uprawiania danej dyscypliny. Po uzyskaniu zgody rodziców, będzie można takiemu uczniowi zaproponować dalszą ścieżkę rozwoju w klubie.

To pomysł, który może okazać się naprawdę dobrą inwestycją, o ile w przyszłości ktoś go nie przerwie.

Wspierają nas wybitne postacie sportu, członkowie działającego wspólnie ze mną zespołu doradców. Część z nich będzie z nami jeździła na spotkania z wuefistami i dyrektorami szkół: Otylia Jędrzejczak, Sebastian Chmara, Marcin Możdżonek czy Andrzej Supron – to tylko przykładowe nazwiska. Myślę, że to może być krok milowy w rozwoju polskiego sportu. Projekt powinien być traktowany w kategorii polskiej racji stanu, ponadpartyjnie, ponadpolitycznie, zupełnie poza bieżącym sporem i należy go kontynuować przez długie lata bez względu na to, kto rządzi czy będzie rządził. Choć głęboko wierzę, że to my będziemy te programy kontynuować, bo wybory w 2023 r., również dzięki temu, co robimy w sporcie, wygra Zjednoczona Prawica.

Autopromocja

eprasa.pl 5e28128ada

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

400 lat pięknej historii klasztoru w Kartuzach – od fundacji w 1382 r. po zabór dóbr przez króla pruskiego w 1772 r.

100 książek w prezencie

Książkę **„Kartuzja Kaszubska"** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **265 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA SIECI i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 5e28128ada

MIJIN MOK*

O Kraju Spokojnego Poranka

Jak wygląda koreańskie randkowanie i jego faza sseom? Co łączy legendarnego Lecha z Dangunem? Jak i kiedy nosi się hanbok? Dlaczego tylu koreańskich uczniów i rodziców decyduje się na hagwony? Czym jest uczucie han i czy przenika takie produkcje, jak „Squid Game" lub „Parasite"? Jak brzmi K-pop i czy piosenka o kimchi może być równie charakterystyczna jak samo danie? Na te i wiele innych pytań odpowiada książka „7736 km. Pomiędzy Koreą Południową a Polską", która ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa Otwartego.

Tytułowe 7736 km to dystans, który Mijin Mok – najbardziej rozpoznawalna (za sprawą popularnego kanału na YouTube) Koreanka w naszym kraju – pokonuje za każdym razem, kiedy odwiedza Kraj Spokojnego Poranka. I kiedy z niego wraca. W swojej debiutanckiej książce pokazuje, że mieszkańców Korei i Polski całkiem sporo łączy. Na przykład historyczne zawirowania wynikające z położenia geopolitycznego.

Oczywiście są też odrębności – choćby w budowaniu medialnego wizerunku. W Korei musi być on nieskazitelny. Tamtejszym gwiazdom i idolom nie wybacza się potknięć. A zasady panujące w szkołach? Polscy uczniowie mogliby je uznać za rygor. Albo – wydawałoby się rozpowszechniona już na świecie koreańska kuchnia. Okazuje się, że potrafi niejednym daniem zaskoczyć. Podobnie jak związane z nią rytuały.

„Korea na mapie może wydawać się malutka w porównaniu do Polski, jednak choć jest trzy razy mniejsza od kraju położonego nad Wisłą, to na tak małej powierzchni mieszka ponad 50 mln ludzi" – podkreśla Mijin we wstępie, dodając, że sama tylko stolica, Seul, liczy ok. 9,5 mln mieszkańców.

Autorka wychowała się w sąsiadującym z Seulem 2-milionowym Inczonie – aglomeracji, w której znajduje największe w Korei międzynarodowe lotnisko. To tutaj lądują wszystkie zagraniczne samoloty, w tym także te z Warszawy. I to z tego lotniska Mijin wyruszyła kilka lat temu na roczne stypendium do Polski, by po jakimś czasie zostać w naszym kraju na stałe.

Wcześniej ukończyła filologię polską, marketing kultury oraz nauczanie języka koreańskiego na Koreańskim Uniwersytecie Języków Obcych w Seulu. Podkreśla, że kiedy rozpoczynała studia polonistyczne w Korei, nic nie wiedziała o Polsce ani o Polakach. Nie spodziewała się też, że język polski okaże się tak trudny do przyswojenia.

Mimo początkowych problemów wytrwała na wybranym kierunku. Wspomina, że pierwsze ocieplenie relacji z Polską nastąpiło, gdy zapisała się do uniwersyteckiego zespołu tańca ludowego Mazurek. Jednak kompletnie przepadła w czasie rocznej wymiany studenckiej w 2013 r., którą odbyła na uniwersytecie w Poznaniu. 12 miesięcy w Polsce – jak podsumowuje – pozwoliło jej poznać polską kulturę i Polaków. Wtedy też zakochała się. Nie tylko w jedzeniu, tradycji, gościnności i krajobrazie, ale również w Polaku. W 2014 r. poznała swojego obecnego męża – Bartka.

Dziś Mijin Mok jest wykładowczynią języka koreańskiego na Uniwersytecie Wrocławskim. Prowadzi własną szkołę językową oraz popularny kanał w social mediach pod nazwą Koreanka. „W swoich filmikach staram się w zabawny i przystępny sposób pokazywać różnice oraz podobieństwa w polskiej i koreańskiej rzeczywistości" – podkreśla. Stąd wziął się też pomysł na tę książkę.

„Korea Południowa nie stoi tylko kimchi, Samsungiem oraz przystojnymi idolami i pięknymi idolkami. To kraj o długiej historii i bogatej kulturze. Postaram się opowiedzieć o Korei tak, aby z perspektywy osoby mieszkającej w Polsce można było ją jak najlepiej zrozumieć" – deklaruje, zapraszając do lektury.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorka książki „7736 km. Pomiędzy Koreą Południową a Polską"*

eprasa.pl 5e28128ada

SŁODKO-SŁONY

Przedwojenny dżem

ANNA MONICKA

Po ubiegłorocznym remoncie wciąż jeszcze nie skończyliśmy porządkować książek. Zdecydowanie łatwiej było wtaszczyć kilkadziesiąt kartonów do garażu, niż je z niego wyjąć i sensownie poukładać na półkach. Robię to więc z doskoku, zazwyczaj gdy czegoś szukam. Kilka dni temu trafiła mi się perełka. Pożółkła, częściowo bez okładki, czymś zalana dawno temu. „Podręcznik przerobu owoców i warzyw" Andrzeja Meringa wydany przez Gebethnera i Wolffa w 1924 r.!

Nie mam bladego pojęcia, skąd się u mnie wzięła. Na pierwszej stronie dedykacja: „Wiosenny prezent dla żony", 30 kwietnia 1937 r., podpis darczyńcy nieczytelny. To nie książka kucharska, lecz dzieło naukowe z rysunkami i opisami różnych pras, płuczek, maszyn do ubijania masy owocowej na pastyły, kotłów, autoklawów, najprzeróżniejszych obieraczek i maszyn do zamykania słojów... Normalna kuchnia nigdy nie pomieściłaby tego całego ustrojstwa, chyba że żona ofiarodawcy zawiadowała całym zakładem przemysłowym, jakim był przedwojenny dwór, a i to nie każdy. To nie „Jedyne praktyczne przepisy" czy „365 obiadów" Lucyny Ćwierczakiewiczowej, która chciała kobietom ułatwić życie. Tu ukłonem w ich kierunku jest chyba tylko porządek alfabetyczny smakołyków czekających w kolejce na przerobienie. Małżonek zrobił swojej ukochanej okrutny prezent, sugerując delikatnie, jak ma spędzić czas letniej i jesiennej obfitości. Przyznam – puściłam wodze fantazji – on siedzi z fajeczką w fotelu i czyta gazetkę, a ona od rana do wieczora dryluje, obiera ze skór, kręci korbą maszyny płuczącej, miesza w garze, zakręca, suszy...

Ponieważ ja akurat zakończyłam tygodniowy bój z pomidorami, bo odparowywane w piekarniku mają jednak smak i zapach znacznie lepszy do sklepowych (poza tym są przyprawione pyszną oliwą, czosnkiem, majerankiem, cynamonem), a przede mną węgierki, więc od razu udałam się na koniec podręcznika w poszukiwaniu ciekawych przepisów. Znalazłam jeden – na dżem, który robi się z dwóch partii owoców: pierwsza to gotowane w całości (bez pestek) w ulepie, druga – przetarte na purée, ze śliwek uprzednio obranych ze skórki. Na szczęście jest na to patent – trzeba je zamoczyć we wrzątku, a następnie w lodowatej wodzie. Skórka pęka i łatwo schodzi. Jutro to sprawdzę.

Fot. Shutterstock

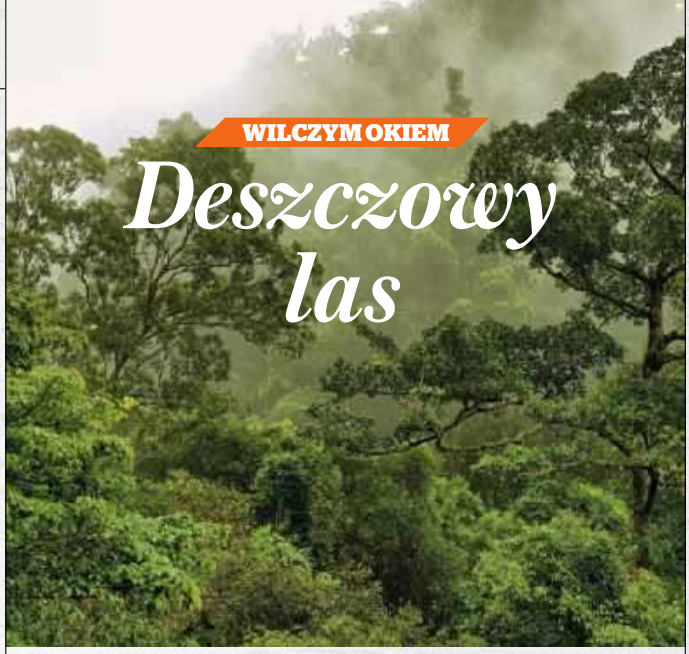

WILCZYM OKIEM

Deszczowy las

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wyprawa do deszczowego lasu to osobna kategoria leśnych wypraw. Deszczowy las to określenie, które w botanice czy też fitosocjologii opisuje tropikalne zbiorowisko roślinne – np. tropikalny deszczowy las Amazonii czy Kotliny Konga.

Tu użyte jest z rozmysłem. W naszym przypadku pod pojęciem deszczowego lasu kryje się las podczas deszczu – to samo zbiorowisko drzew, a jednak miejsce zupełnie inne od tego, które znamy z wyjść w słoneczne dni. Kiedy pada deszcz, las się zmienia.

Nigdzie indziej nie odczujemy tak silnego przesycenia wilgocią. Nie tylko powietrza, ale całej przestrzeni: wszystkich warstw roślinności od koron drzew, podszytu, krzewów, runa, mchów i porostów po ściółkę i parującą glebę. Leśna gęstwina o swoistym mikroklimacie jednocześnie generuje opady, przechwytuje kropelki z przeciągających mgieł, które skapują z liści i igieł, wchłania wodę, przepuszcza przez wielowarstwowy filtr i oddaje krystalicznie czystą.

Deszcz przenosi las w inny wymiar: oddzielony od reszty świata, odrębny jak odległa wyspa odseparowana wodami oceanu. Pozornie znane dąbrowy, sosnowe bory, olsy, łęgi, świerczyny, buczyny i grądy stają się miejscem na wpół mitycznym, lecz istniejącym naprawdę, jak góry Ngong widziane oczyma Karen Blixen. To, co w pogodny deszcz jest spacerem, podczas deszczu zamienia się w przygodę.

Zmiana dokonuje się także w zachowaniu dzikich ssaków. Większość zwierząt tej gromady jako podstawowe zmysły wykorzystuje węch i słuch. Człowiek jako wzrokowiec należy do wyjątków. Szum deszczu, a także dźwiękoszczelna i ograniczająca rozprzestrzenianie się zapachów deszczowa kurtyna sprawiają, że leśne ssaki stają się mniej ostrożne.

Najwyraźniej widać to w zachowaniu kopytnych. Płochliwe zazwyczaj sarny i jelenie, pasąc się podczas deszczowej pogody, dają się podejść znacznie bliżej niż w bezdeszczowy dzień. Opady zachęcają też dziki, by porzucić swoje dzienne mateczniki, w których czekały na nadejście zmroku, i buchtować w rozmiękłym podłożu, kąpać się w babrzyskach i znaczyć pnie, ocierając nadmiar błota z sierści o szorstką korę.

eprasa.pl 5e28128ada

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polskie wrota na Bałtyk

Gdy przez ponad dwa lata codziennie oglądało się w internecie filmy z budowy przekopu Mierzei Wiślanej (szczególne podziękowania dla filmowców, operatorów dronów – Toma i pracowników regionalnej telewizji Żuławy TV), to siłą rzeczy tworzył się pewien osobisty związek z tą wielką i oczekiwaną dla Polski inwestycją. Jeżeli dodamy do tego prywatne żeglarskie pragnienia korzystania z jedynego na Zalewie Wiślanym wolnego polskiego okna na Bałtyk, to jest oczywiste, że właśnie teraz trzeba było tam popłynąć i zobaczyć wszystko na własne oczy.

Program uroczystości państwowych otwarcia przekopu 17 września 2022 r. wykluczył jednak obecność żeglarzy. Ale dzień później pojawiły się pierwsze jachty, z których jeden o nazwie S/Y Coala z Gdańska (kpt. Kinga Płazińska, Tomasz Kaczorowski, Anna i Michał Jaroccy) jako pierwszy dokonał przejścia przez śluzę, oczywiście za zgodą Kapitanatu Portu Nowy Świat. Wcześniej zaliczył też kontrolę Straży Granicznej (sprawdzono dokumenty, uprawnienia, zabezpieczenia itd.) i kilkugodzinne nocne bujanie się na wzburzonych wodach Zatoki Gdańskiej, gdyż kapitanat zaczyna swoją służbę o 6.30 rano. Dopiero wtedy zaprasza do śluzowania. W dzienniku pokładowym S/Y Coala zapewne odnotowano to historyczne wydarzenie, że jacht był pierwszym, który przepłynął nowym kanałem żeglugowym z Zatoki Gdańskiej na Zalew Wiślany. Pierwszą jednostką, która dokonała tego samego, ale od strony Zalewu Wiślanego, była olbrzymia tratwa oznaczona jako POL JP2 z wizerunkiem św. Jana Pawła II, z... pielgrzymami z Torunia – tak nazwali się żeglarze, których tratwa stoi w Kątach Rybackich. Dopiero za nimi ruszyła cała armada łodzi i łódek. Do wtorku 20 września było ich już ponad 100.

Także mojej załodze nie udało się pierwsze wpłynięcie w kanał od strony Zalewu Wiślanego, gdyż kapitanat nie mógł potwierdzić czasu śluzowania po naszym zamiarze krótkiego halsowania po zatoce i zapowiedzi ponownego wejścia na Zalew Wiślany. Trzeba było nocować w porcie Kąty Rybackie. Sądzę, że te pierwsze logistyczne, a raczej biurokratyczne, problemy nowego portu szybko miną, jak mija gorączka związana z uroczystościami otwarcia kanału, i kapitanat będzie dobrze wspominany przez wszystkich. Dodam, że plan przejścia kanału z zalewu na zatokę i z powrotem udał się doskonale następnego dnia, a załoga dostała nawet okolicznościowe pocztówki.

Każdy chyba widział ogrom tej inwestycji, precyzję wykonania przekopu, śluzy, dwóch ruchomych mostów i oryginalnego budynku kapitanatu portu. Śluzowaniu towarzyszył tłum ludzi dosłownie z całej Polski. Oni też śledzili relacje z prac i autentycznie identyfikowali się z tą budową. W oczekiwaniu na przejście, przycumowani do betonowej kei, toczyli „Polaków rozmowy". Dobrze zapamiętano absurdalne wypowiedzi polityków opozycji: o „naturze, gdyby tylko chciała, to byłby przekop" (Kidawa-Błońska), o „idiotycznym pomyśle", jakim jest przekop, „gdzie będzie można pływać na łódkach i kajakach" (Sławomir Neumann), „gigantomanii" (Rafał Trzaskowski) oraz o stanowisku marszałka województwa pomorskiego z PO, raczej nieprzychylnych idei budowy przekopu.

Tymczasem już widać, że przekop jest wielką atrakcją dla turystów. Zawitały liczne wycieczki szkolne. Skoro pojawili się w porcie, to zapewne będą chcieli wiosną czy latem przyszłego roku wpłynąć w śluzę od zatoki albo od strony zalewu. W pobliskim Tolkmicku już od dawna zapraszano turystów na rejsy do przekopu, a teraz będą to rejsy przez przekop.

Kanał przez Mierzeję Wiślaną to oczywisty silny impuls dla miejscowego biznesu. Pojawia się coraz więcej łódek czarterowych. Szkutnik z Tolkmicka Mariusz Idzikowski cieszy się z nowych zamówień i co ciekawe – właściciele trzymający łódki w portach morskich chcą się teraz przenieść nad Zalew Wiślany (taniej i bezpieczniej). Dotąd spokojne, małe i raczej biedne zatoczkowe miejscowości, w odróżnieniu od bogatszych, pełnych turystów na Mierzei Wiślanej, a więc Pasłęk, Nowa i Stara Pasłęka, Braniewo, Frombork, Kadyny, Suchacz, przestaną się wyludniać, gdyż będzie praca i zarobek. Najwięcej oczywiście zyska Elbląg, do którego tor wodny drążą zgodnie dwie pogłębiarki, polska i niemiecka. Urobek w postaci piasku jest transportowany rurami pod ciśnieniem, podtrzymywanymi na wodzie przez pływaki, do 200-ha wyspy dla ptactwa. Trochę to zabolało miejscowych rybaków, którym zmniejszył się akwen łowiecki, ale sądząc po ilości tyczek podtrzymujących sieci, których jest ogrom na zalewie, ryb im nie zabraknie.

Wciąż wydaje się niezałatwiona sprawa bezpiecznego dojścia do portu w Elblągu, nad rzeką Elbląg, oddalonego 6 km od zalewu. Oczywiście władze samorządowe chciałyby, by wszystko wykonały i zapłaciły władze państwowe. Te jednak muszą nadal finansować pogłębienie torów na zalewie oraz od strony Zatoki Gdańskiej. Samorządowcy jakby nie chcieli pamiętać, że to właśnie oni są głównym beneficjentem tej wielkiej udanej polskiej inwestycji, która spowoduje, że Elbląg stanie się czwartym co do wielkości polskim portem morskim.

www.wojciechreszczynski.pl

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Złupić kierowców

Gdyby za bezpieczeństwo na drogach brał się ktoś całkiem normalny, to rozpocząłby od audytu dróg, a ściślej od ich oznakowania. Zlikwidowałby znaki wzajemnie się wykluczające i zdecydował, czy rozległe pole kukurydzy po lewej stronie i łan pszenicy po prawej stronie szosy to jest na pewno teren zabudowany.

Przyjąłby zasadę, że szeroka dwupasmówka biegnąca przez miasto, z chodnikami i ścieżką rowerową po bokach, z kładkami, przejściami podziemnymi, z sygnalizacją świetlną jest szansą na rozładowanie korków, jeśli tylko pozwoli się tam jechać szybciej niż 70 km/h, np. 90 km/h. Zweryfikowałby też sens i skuteczność fotoradarów.

Do mojego osiedla jedna z dróg prowadzi przez las. Wzdłuż niej idzie szeroki chodnik odgrodzony od jezdni metalowymi, masywnymi pasami o wysokości 80 cm. Na tym odcinku nie ma żadnego przejścia dla pieszych, po obu stronach drzewa i ograniczenie do 50 km/h. Po co? Dla pieniędzy! Bo w to stałe miejsce stacjonowania chłopców z „suszarkami".

Z prędkości pojazdów zrobiono czarnego luda, demona i bandytę. A to z kolei posłużyło do uzasadnienia łupieżczych kwot mandatów i dało przestrzeń do wręcz rozbójniczego karania kierowców. Ostatnie nowelizacje świadczą o tym najdobitniej. Mam wrażenie, że za chwilę jedynym bezpiecznym korzystaniem z auta będzie jego pchanie, bo wszystko inne będzie karalne.

Temu wszystkiemu towarzyszy niebywała hipokryzja. Przekonuje się nas, że mandaty zmuszą kierowców do wolniejszej jazdy. Otóż, nie! Mają one taką samą moc perswazyjną jak drastyczne ilustracje na opakowaniach papierosów mające odstraszyć palaczy. W żaden sposób jednak nie zmniejszyła się liczba sięgających po tytoń. Tu chodzi po prostu o zwyczajną kasę. Nikt mi nie wmówi, że młodzian z radarem, który wystawia mi mandat i przyznaje punkty, robi to dlatego, że zależy mu na moim życiu, chociaż gęba aż mu się klei od takich frazesów. On po prostu wyszedł na łowy, a ja jestem zwierzyną.

Miałem taką sytuację, że policjant zatrzymał mnie na prostej drodze, gdy przekroczyłem dozwoloną tam prędkość. Nie było mandatu, ale pouczenie: „O tej porze nie było to niebezpieczne, ale w południe ruch będzie większy i trzeba będzie bardziej uważać". Niewiarygodne? Ale to było w okolicach Nottingham... U nas, w identycznej sytuacji, zapłaciłem mandat i dostałem cztery punkty karne, bo zamiast 70 km/h jechałem 80. Gdy zapytałem policjantkę, czy moja jazda była niebezpieczna, czy komuś zagrażałem, odparła: „Mnie to nie obchodzi".

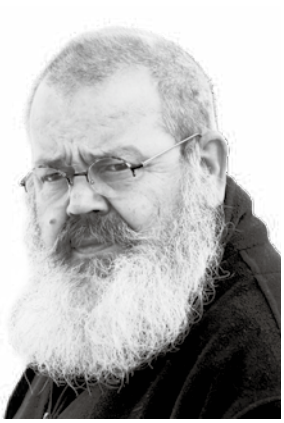

Aleksander Nalaskowski

Mam wrażenie, że za chwilę jedynym bezpiecznym korzystaniem z auta będzie jego pchanie, bo wszystko inne będzie karalne

Otóż nie prędkość jest przyczyną wypadków, lecz jej niedostosowanie do warunków jazdy. Policja nie może być rabusiem, ale faktycznie winna dbać o komfort użytkowników dróg. Trzeba zrezygnować z wytyczania granic obszaru zabudowanego do niebotycznych rozmiarów, bo to usypia czujność kierowców, którym kazano uznać drogę przez las jako arterię miejską.

No tak, ale wówczas, gdyby trzeba było interpretować przepis, policjanci nie mogliby być tylko cyborgami nakładającymi bezmyślnie kary, lecz myślącymi sędziami drogowymi. Ale to już chyba przestrzeń utopii.

Mam prawo jazdy od 45 lat. Ponad 40 nieprzerwanie jestem czynnym kierowcą. Nigdy nie spowodowałem wypadku, mandatów zapłaciłem niewiele, z punktami nie mam problemu. System informatyczny pozwala funkcjonariuszowi sprawdzić te dane na miejscu zatrzymania. Czyż te informacje nie powinny mu posłużyć do interpretacji mojego „przestępstwa"? Czy moje kompetencje i doświadczenie są naprawdę okolicznością, którą można zignorować i oceniać mnie jak nastolatka z trzymiesięcznym stażem za kierownicą tatusiowego audi? Naprawdę tak trudno jest pomyśleć?

I jeszcze jedna sprawa. Moim zdaniem w obowiązującym prawie mamy do czynienia z naruszeniem rzymskiej zasady *ne bis in idem*, czyli nie karać dwa razy za to samo. A czy nakładanie mandatu i jednoczesne przyznawanie punktów karnych nie jest właśnie podwójnym karaniem? Dlaczego nie mam wyboru między punktami a mandatem? Skąd ta dwukrotna sankcja? To już tak wolno?

eprasa.pl 5e28128ada

JAN POSPIESZALSKI

Walka z religią w szkole. To już było!

Kilka dni temu ruszyła inicjatywa organizacji Same Plusy i Strajku Kobiet uświadamiająca rodziców, jak wypisać dziecko z lekcji religii

Dla osobistych wrogów Pana Boga nowy rok szkolny zaczął się pracowicie. Jeszcze na długo przed 1 września Stowarzyszenie Waga oraz Wydział Rozwoju Społecznego Urzędu Miejskiego w Gdańsku zorganizowały ankietę zbierającą informacje na temat prowadzenia zajęć wychowania do życia w rodzinie i lekcji religii w kontekście przygotowań do wydania poradnika równego traktowania.

Ankieta była skierowana do rodziców dzieci w wieku szkolnym i nauczycieli, a pytania dotyczyły np. obecności symboli czy elementów religijnych w szkole i podczas uroczystości szkolnych. Pytano również, w jaki sposób dyrekcja szkoły powinna składać życzenia oraz czy dyrektor szkoły powinien uczestniczyć w wydarzeniach o charakterze religijnym. Ankieta zawierała także pytania, na które odpowiedzi można było udzielić w wielostopniowej skali. Przykładowo: „Proszę wskazać, na ile zgadza się Pan(i) ze zdaniem: Sytuacja, w której był(a)by Pani delegowany(a) do odprowadzenia uczniów/sprawowania opieki nad uczniami podczas rekolekcji wielkopostnych, ingeruje w Pana(i) wolność światopoglądową". Inne pytanie, również z możliwością wyboru odpowiedzi: „Proszę wskazać na skali od 1 do 5, jaki jest wpływ przygotowań do I Komunii Świętej na prowadzenie zajęć w szkole (np. lekcji wychowawczych)". Pierwszą sugerowaną odpowiedzią w ankiecie była: „1. Zdecydowanie negatywny".

Kilka dni temu ruszyła inicjatywa organizacji Same Plusy i Strajku Kobiet uświadamiająca rodziców, jak wypisać dziecko z lekcji religii. Od 19 września po Polsce jeździ furgonetka z hasłem: „#Żegnaj Religio – stop nienawistnej indoktrynacji w polskiej szkole. Najwyższy czas, by rodzice się przebudzili i przestali posyłać dzieci na religię!". Organizatorzy oświadczają: „Będziemy informować o szkodliwości lekcji religii prowadzonych w polskich szkołach, możliwości rezygnacji z uczestnictwa w tych zajęciach oraz praw ucznia i rodzica w sytuacji opresji religijnej ze strony szkoły". Według organizatorów katecheza to lekcja nienawiści, ponieważ prowadzący – katecheci i księża – szczują uczniów na osoby LGBT+.

Z kolei witryna eDziecko, czyli podstrona portalu gazeta.pl, bierze na tapetę podręcznik do religii „W poszukiwaniu wolności", a w nim rozdział o transpłciowości. Autorka Magdalena Woźniak, cytując obszerne fragmenty podręcznika, oburza się, że w ogóle kwestie seksualności człowieka mogą być źródłem rozważań religijnych. Polemika z zawartymi tam treściami dla autorki jest okazją do prezentacji tzw. definicji naukowych, które przypominają manifesty ideologiczne. Np. transpłciowość to: „określenie zbiorcze na osoby, których tożsamość płciowa, ekspresja płciowa i/lub zachowania różnią się od tych kulturowo związanych z płcią, do której zostały przypisane w momencie urodzenia". Ani słowa o kwestiach biologicznych. Problemem jest, jak czytamy, niewłaściwe przypisanie przy urodzeniu. Autorka mocą swojego autorytetu stwierdza: „Naukowym faktem pozostaje również to, że transpłciowość jest wrodzona i nieodwracalna". Pani Woźniak nawet nie wie, że tym stwierdzeniem naraża się genderowym ideologom, którzy już dawno zadekretowali, że płeć jest subiektywnym odczuciem i może być dowolnie zmieniana (genderfluid).

Tymczasem ostatnio ukazały się przełomowe badania wskazujące na indukującą rolę mediów społecznościowych. W Polsce tematem zajmuje się fachowo Instytut Ona i On oraz psycholog Agnieszka Marianowicz-Szczygieł. A szwedzka badaczka Lisy Littman opisała zespół nagłej dysforii płciowej (ROGD), sugerując, że może pojawiać się on pod wpływem internetu i mediów społecznościowych. Zespół Pang (2020) porównał liczbę publikacji medialnych na temat gender i transgender z liczbą napływających pacjentów do klinik w Wielkiej Brytanii i Australii – i uzyskano właściwie identyczne wykresy. Np. w Szwecji, gdzie już dawno afirmuje się LGBT+, tylko w ostatnich ośmiu latach nastąpił lawinowy wzrost zgłoszeń do klinik tranzycji. Nawet liberalni seksuolodzy twierdzą, że mamy do czynienia ze swoistą epidemią.

Ponieważ zarówno katecheza, jak i wychowanie do życia w rodzinie blokują rewolucję tęczowej antropologii, dziś neomarksiści tak jak ich poprzednicy w latach PRL walczą z krzyżem i religią w szkołach.

eprasa.pl 5e28128ada

Na ratunek Słońce Peru

Jerzy Jachowicz

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny", redagowany przez badaczy fizyki molekularnej, dotarł do listu, który środowisko skupione wokół miesięcznika idei „Kultura Neolewicowa" przesłało utajnioną pocztą elektroniczną na ręce Donalda Tuska. Oto ten list.

Szanowny Panie Przewodniczący,
zmodyfikowane pierwsze zdanie Manifestu komunistycznego w swojej możliwie najbardziej koszmarnej wersji realizuje się na naszych oczach: „Widmo krąży nad Europą. Widmo faszyzmu". Najpierw Szwecja, teraz Włochy. To nie mogło nie wstrząsnąć postępową częścią polskiego społeczeństwa, którą reprezentujemy. Nie wyobrażamy sobie, by za rok w Polsce nastąpiła podobna katastrofa. Grozi nam to, że taka klęska cofnie nasz kraj do zamierzchłych czasów ponurego średniowiecza kulturowego. A promieniująca nowoczesność wraz z wbudowanymi w nią osiągnięciami awangardy obyczajowej zostanie przesłonięta cieniem spiczastych, gotyckich budowli na cześć fałszywych bożków.

W Panu i Pana talentach cała nasza nadzieja. Jedynie Pan jest zdolny nie dopuścić do takiego upadku. Pozwalamy sobie przedłożyć Panu w pewnej dyskrecji niniejszy apel, ponieważ doszły do nas niepokojące wieści. Mianowicie, że Pan się waha. Że Pan się lęka, iż nie podoła. Jakby tego było mało, jakieś osoby Panu bliskie – ale nie więzami krwi połączone – podsycają tlący się w Panu ogień zwątpienia. Nigdy nie popadaliśmy w euforię zachwytów, oceniając skądinąd pożyteczną czasami instytucję teściowej. Nie przecenialibyśmy jednak jej opinii. Tym bardziej że często wiek i nadmiar obowiązków – co odnotowujemy z prawdziwą sympatią i uznaniem – też wpływa na ich wypaczenie.

Prosimy nie ulegać tym niczym nieuzasadnionym podszeptom. Ufamy, że jak przed laty Polskę oświetli Pan blaskiem swojej najlepszej wersji – Słońca Peru.

Szanowny Panie Przewodniczący, chcielibyśmy przy tej okazji sprostować pewien mit krzywdzący nasz zespół redakcyjny i grono odbiorców. Nieprawdą jest, że wszyscy są związani ze środowiskiem LGTB+. Są wśród nas także najzwyklejsi biseksualiści.

Atuty późnego debiutu

Adam Ciesielski

Michał Barański, rozchwytywany nie tylko w kraju kontrabasista jazzowy, długo zwlekał z autorskim debiutem płytowym. Wreszcie zaproponował efektowne połączenie muzyki synkopowanej z polskimi i hinduskimi brzmieniami etnicznymi.

Album „Masovian Mantra" wyszedł jako 88. płyta w słynnej serii „Polish Jazz", zainaugurowanej w latach 60. XX w. krążkiem Warszawskich Stompersów, m.in. z jazzowymi aranżacjami rodzimych tematów ludowych. Przez ponad półwiecze podobnych prób w różnych wydawnictwach było więcej, by wspomnieć choćby „Bandoska in Blue" Jana Ptaszyna-Wróblewskiego czy „Kujaviak Goes Funky" Zbigniewa Namysłowskiego. Jeśli zaś chodzi o inspiracje azjatyckie, to odzwierciedlają je choćby nagrania Tomasza Stańki w Tadż Mahal, czy rewelacyjne efekty współpracy Sławomira Kulpowicza z hinduskimi mistrzami sitara.

Barański nawiązuje do tych doświadczeń. Posługując się hinduskimi praktykami wokalno-perkusyjnymi, konfrontuje je z mazowieckimi mazurkami i melodiami kurpiowskimi. Obiecujący jest już sam początek, kiedy wiejska recytacja tajemniczego (pojawia się tylko raz) Dziadka Tadka w utworze tytułowym płynnie przechodzi w klimaty orientalne czy jazzrockowe. Nastroje zmieniają się zresztą jak w kalejdoskopie, znaczone takimi tematami jak „Leciały Zurazie", „Pilica" czy „13 Lakes". Zabawa wciąga przyjaciół lidera, wśród których jest wokalistka Olga Stopińska, klawiszowiec Michał Tokaj, saksofonista Kuba Więcek, lirnik Joachim Mencel, akordeonista Jan Smoczyński, perkusista Łukasz Żyta, tablista Bodek Janke i skrzypek Kacper Malisz.

Obok Barańskiego najwięcej pola do popisu ma Shachar Elnatan – izraelski wirtuoz gitary, którego rodzina wywodzi się ponoć spod Płońska. Doskonale czuje on nasze klimaty ludowe, a jego solówki i wokalizy wzbogacają brzmienie zespołu, przywodząc na myśl muzykę Pat Metheny Group z lat 80. XX w.

Finałowy utwór „My Mazurka" Michał Barański zadedykował pamięci Zbigniewa Namysłowskiego – jednego ze swoich mistrzów i pioniera twórczego mieszania jazzu z polską muzyką ludową. Piękny gest.

Michał Barański, „Masovian Mantra", Wyd. Warner/Narodowe Centrum Kultury

eprasa.pl 5e28128ada

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Szok po szoku

Widmo prawicy krąży nad Europą

We Włoszech wybory wygrał blok centroprawicowy, w którym największą siłą są Bracia Włosi. Premierem po raz pierwszy może zostać kobieta, liderka tego ugrupowania, Giorgia Meloni. Europa jest w szoku. Przecież przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ostrzegła Włochy przed konsekwencjami podobnego wyboru: „Jeśli sprawy pójdą w trudnym kierunku, wspominałam o Węgrzech i Polsce, to mamy narzędzia". Te narzędzia szefowa z Brukseli trzyma w skrzynce „zagłodzenie". My już wiemy, jak tych narzędzi używa. Węgrzy też już wiedzą.

Ryszard Makowski

Lewactwo spod znaku komunizmu zachowało się przewidywalnie, wrzeszcząc, że we Włoszech do władzy doszli faszyści. Akurat termin „faszyści" ostatnio zdewaluował się do szczętu. Rosjanie zaatakowali Ukrainę, szukając tam faszystów. Faszystą okazał się nawet prezydent Zełenski, który akurat jest Żydem, tak... że... tak.

I tu następuje szoku ciąg dalszy. Ustępujący włoski premier Matteo Renzi dla CNN o Giorgii Meloni: „Jest moją rywalką, będziemy nadal z sobą konkurować, ale we Włoszech nie ma ryzyka powrotu faszyzmu. To fake newsy". Tak się zachowuje przedstawiciel partii przechodzącej do opozycji. Kultura, kurtuazja. Poczucie wspólnoty interesu. I tutaj automatycznie jawi się nasze rodzime podwórko. Szef opozycji ma twarz stężałą od kłamstw, szczękościsk nienawiści, nieusuwalne bruzdy zdrady na fizjonomii i jedyne, na co go stać, to szczucie Brukseli na Polskę. Ale za to on jest pupilkiem pani Ursuli von der Leyen. Ona już go mianowała premierem w Polsce. Będzie w szoku po wyborach w 2023 r.

eprasa.pl 5e28128ada

Michał Korsun prezentuje: Dyplomatołek

Wycinki z przeszłości

Siedem cudów świata starożytnego skłaniało kolejne pokolenia do tworzenia własnej podobnej listy. Co dzisiaj byśmy na nią wstawili? Ciekawy temat na artykuł. W 1915 r. redakcja „Rocznika Gebethnera i Wolffa" przytacza takie zestawienie stworzone przez jedno z amerykańskich pism technicznych na podstawie rozesłanej do naukowców ankiety. Czytamy w nim: „Naczelne miejsce zajmuje pierwiastek rad, z którym nieśmiertelnie związane jest imię naszej rodaczki p. Curie-Skłodowskiej. Dalej następuje telegraf bez drutu, mianowany »cudem świata nowożytnego«. Aeroplan zajmuje trzecie miejsce. Spokrewniony z nim aerostat (balon sterowy) tworzy czwarty »cud«. Promienie »X« także zaliczono do »cudów świata«. Telefon, wydający się już nam czymś zwyczajnym, zajmuje miejsce szóste. Listę zamyka rozbiór widmowy (spektralny)".

To ostatnie to badanie składu chemicznego ciał na podstawie widma, które dają świecące ich pary i gazy.

Zamieszczona obok ilustracja pochodzi z tego samego artykułu.

(mk)

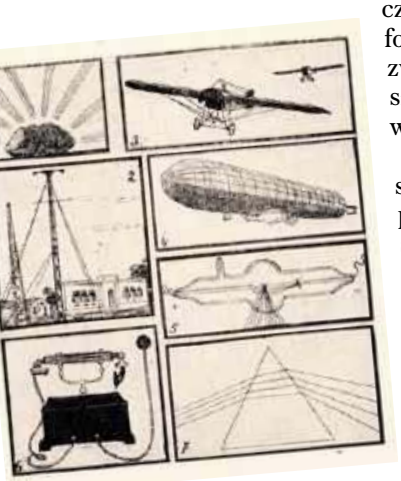

Tamten kieliszek, to wino...

Leszek Długosz

Oczywiście nie ma na to papierów, ale wedle przekazu dawno zmarłego mojego przyjaciela naczynko to było własnością Racheli. Tej z „Wesela". W łańcuchu przekazów pokoleniowych teraz jest pod moją pieczą. Proponuję państwu napełnić go jakimś stosownym, zacnym trunkiem. Zapewniam – to działa!

Kieliszek Racheli

Na Złotej Górze u wejścia do Ojcowskiej Doliny
Jest dom
– Sad przy nim
(Raczej pusty)
– Kilka jabłoni
Na zielonej murawie róż parę krzaków
– Mały salonik
Od pospolitej ciżby leśnego chaosu
Enklawa elegancji oddzielona płotem...

W październikowe popołudnie
– I niczym w młodopolsko-bronowickich czasach
Piliśmy wino na tarasie...

Patrzyłem, jak w zmierzchającym świetle
Herbaciane dopalały się róże
(U Weissa, u Pankiewicza – tak na płótnach
Kwitną)
Rozmowa szła o drobiazgach
I o tym, co będzie
Krzyżowały się głosy męskie i kobiece
Sentymentalnie porozumiewał u się pointy
– Czułem, jak się rozmijamy
– Jak siwieją me skronie
Jak skręcają
I w swoim tempie biegną
Niezależnie i nieuchronnie

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 5e28128ada

OD A DO ZYBERTOWICZA

„46 sekund”

Kształt świata społecznego zawsze jest efektem gęstego, często mało przejrzystego splotu licznych procesów – spontanicznych i sterowanych

Przesłania, które niesie z sobą taki tytuł książki Xaviera Messinga, nie rozumiem. Ale wydana niemal dwa lata temu pozycja jest bardzo ważna. W obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę widać to znacznie lepiej niż wcześniej.

Jednak w naszej epoce myślenie ludzkie zostało tak ukierunkowane, iż więcej czasu poświęcamy rzeczom nieistotnym aniżeli ważnym. Co np. łączy filmiki z uroczymi kotkami i wulgarne filmy porno? Łatwość dostępu do jednego i drugiego oraz zadziwiająca siła, z jaką potrafią pożerać ludzki czas, odwracając uwagę naszych mózgów od spraw istotnych.

Czytając Messinga, można lepiej zrozumieć, dlaczego Zachód tak bardzo uległ maszynie rosyjskiej wojny informacyjnej. Dlaczego dopiero agresja na Ukrainę spowodowała, iż głośno zaczęto mówić o moskiewskim finansowaniu zachodnich organizacji ekologicznych oraz zatrudnianiu byłych kluczowych polityków państw UE przez firmy podległe prezydentowi Putinowi. Całymi latami formułowane racjonalne przestrogi na ten temat nie trafiały do zachodnich środowisk opiniotwórczych. Być może dlatego Messing – znawca skrytych operacji manipulacyjnych – sięgnął po narrację powieściową. Czyżby myślał tak: skoro racjonalne argumenty nie docierają, to spróbuję uruchomić ludzką wyobraźnię, sięgając po środki typowe dla komunikacji artystycznej?

W powieściowym 2010 r. szef rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego mówi do oficera, któremu zleca rozległą, psychologiczną operację specjalną: „Nic tak nie rozkłada zachodnich społeczeństw jak umiejętne generowanie potrzeb i wpuszczanie ich w konsumpcyjny model życia. Niech to właśnie konsumpcjonizm będzie ich nową ideologią. Ich religie trzeba ośmieszyć. Tradycyjny model rodziny zniszczyć i spowodować, by na poziomie płci była to kwestia umowna. Kiedy płeć człowieka staje się umowna, to wszystko w jego życiu zaczyna być umowne. Istotnym dla nich symbolom należy nadać negatywny wydźwięk, a wszelkiego rodzaju autorytety należy zdeprecjonować i ostatecznie zniszczyć. W ten sposób skutecznie pozbędą się tradycyjnego systemu wartości i przeoczą przekraczanie czerwonych linii prawdziwego cywilizacyjnego zagrożenia egzystencjalnego”.

Zgadzając się z powyższym, zgłaszam istotną korektę. Na gruncie analiz socjologicznych i ekonomicznych od dawna wskazuje się, że konsumpcyjny model życia to niezbędne ogniwo kapitalistycznego rozwoju. Kapitalizm bowiem jest jak rower: musi być w ciągłym ruchu, by się nie przewrócić! Kapitalizm sam wpuszcza ludzi w taki model życia, gdyż – to korzyść dodatkowa – odpolityczniając ludzi, łatwiej nimi manipulować.

W pewnych ramach można wpływać na ów model życia, np. promując te formy konsumpcji, które degradują człowieka, rozrywają więzi międzyludzkie, formują postawy hedonizmu, egoizmu i hiperindywidualizmu. Do jakiego stopnia rosyjskie operacje specjalne się do tego przyczyniły – to nadal pozostaje do zbadania. Ciągle bardzo mało wiemy. No właśnie: „mało”. Tu jest klucz do problemu, do którego znalezienia „46 sekund” może być przydatne. Co mam na myśli?

Kształt świata społecznego zawsze jest efektem gęstego, często mało przejrzystego splotu licznych procesów – spontanicznych i sterowanych. Jeśli chcemy ocalić demokrację zachodnią, powinniśmy umieć oddzielić, które z jej schorzeń powstały autonomicznie, wewnętrznie, a które „zawdzięczamy” moskiewskim operacjom. Jest to jednak zadanie, z którym nie są w stanie uporać się ani same nauki społeczne, ani też same tajne służby. Metodami nauk społecznych nie sposób określić, które z wyglądających naturalnie toków zdarzeń, mają w tle obcą agenturę. Z kolei najbardziej nawet sprawni oficerowie operacyjni i ich przełożeni zwykle mają zbyt małą wiedzę historyczną i wyobraźnię socjologiczną, by dobrze odczytać naturę procesów wielkoskalowych. Stąd potrzebna współpraca dwóch światów: naukowego i operacyjnego.

Książka Messinga daje tu pewne podpowiedzi. Potrzeba jednak, by zawarte w niej spostrzeżenia i tezy zostały poddane pogłębionej analizie.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 5e28128ada

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

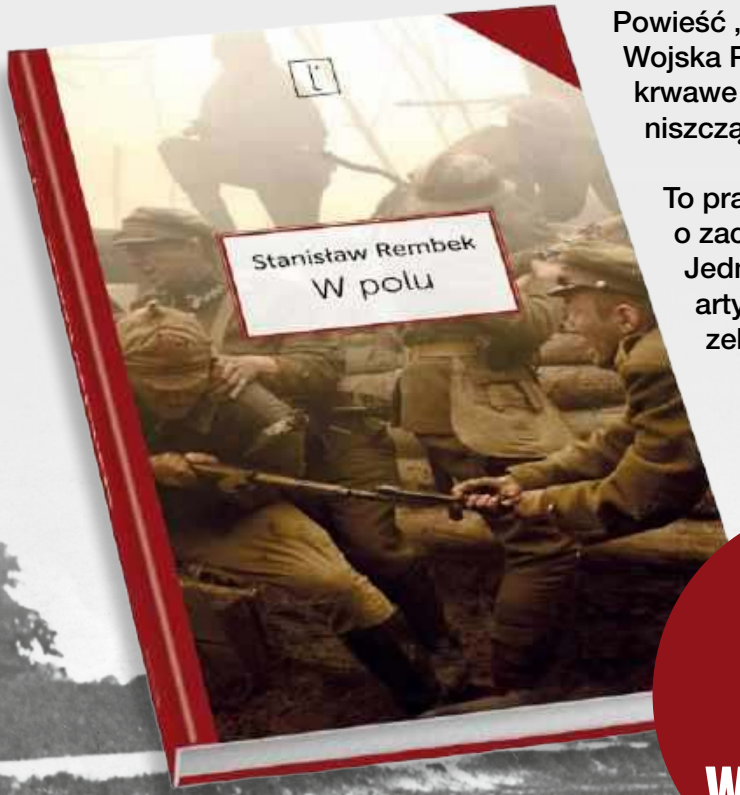

Powieść „W polu” przedstawia dzieje kompanii Wojska Polskiego w czasie wojny polsko-bolszewickiej: krwawe walki, grozę, brutalność i chaos, ale także niszczący wpływ na ludzką psychikę.

To prawdziwy obraz Polaków, którzy zaciekle walczyli o zachowanie dopiero co odzyskanej niepodległości. Jednym z nich był Stanisław Rembek – ówczesny artylerzysta, a później pisarz, którego książki zekranizowali Andrzej Wajda i Juliusz Machulski.

100 książek w prezencie

Fot. NAC

Książkę **„W polu”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 5e28128ada

Poznaj najlepszych **polskich sportowców**

w dyscyplinach bardziej i mniej znanych:

- najważniejsze wydarzenia w karierze
- sukcesy na światowych arenach
- medale, puchary, nagrody
- pasje nie tylko sportowe

Czytaj na:

wPolityce.pl/sport

PARTNER CYKLU:

ORLEN

eprasa.pl 5e28128ada